GAZETAPOLSKA.PL

ŁYSIAK: SZCZEPIONKOWE WOJNY

NAWALNY – zabójczy śmiech z Putina

Strefa Wolnego Słowa

GAZETA POLSKA

#TYGODNIK NIEPODL #W KAŻDĄ ŚRODĘ W TWOIM KIOSKU

CZAS NA EUROPĘ PO POLSKU

CENA 5.99 PLN (w tym 8% VAT) www.gazetapolska.pl nakład 71 058 indeks 320919 #05 (1434) 03/02/2021

ISSN 1230-4581

Ty prenumerujesz!
My dostarczamy!

~~311~~
TERAZ TYLKO
180
złotych
rocznie*

SZYBKO » WYGODNIE » BEZPIECZNIE

Zamów już DZIŚ!
online » www.prenumerata.swsmedia.pl
telefonicznie » 605 900 002

Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o.o.
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa
Konto prenumeraty » 82 1240 5963 1111 0010 3867 3017

GAZETA POLSKA

*Kupując roczną prenumeratę tygodnika "Gazeta Polska" koszt pojedynczego egzemplarza wynosi jedynie 3,46 pln. Cena regularna wynosi 5,99 pln.

FELIETON { WRÓG LUDU }

Tomasz
Sakiewicz

STRAJK KOBIET, **FACEBOOK, DEMOKRACJA**

Czy zastanawiali się Państwo, skąd bierze się radykalizacja protestów na ulicach? Jak to się dzieje, że pojawiły się zjawiska, z którymi nie mieliśmy do tej pory na większą skalę do czynienia? Ataki na kościoły, poniżanie duchownych, szydzenie z Jana Pawła II czy księdza Popiełuszki? Dzieje się tak, mimo że większość Polaków jest tym przerażona, nie chce głosować na partie, które popierają takie działania, a bogaci sponsorzy niezbyt mocno mogą się pochwalić swoim wsparciem dla radykałów. Agresywni demonstranci ze strajku kobiet wyglądają, jakby zostali wyjęci z innej planety, i nie do końca rozumieją, gdzie są. Tak na szczęście jest w Polsce. W USA ta grupa okazała się dużo większa, choć też nie stanowi większości społeczeństwa. Raczej tę większość terroryzuje.

Współczesne społeczeństwa demokratyczne rozwinęły się dzięki wolności mediów. Pomiędzy społeczeństwem a władzą stali przedstawiciele tej pierwszej grupy, czyli dziennikarze. Oczywiście ponieważ jedni popierali władzę, a inni nie, to i żurnaliści musieli się różnić. Na tym polega zdrowy pluralizm. Po II wojnie światowej nastąpiło silne zachwianie proporcji, liberalna lewica zdobyła przewagę w większości mediów, co ułatwiało przemiany społeczne i propagowanie idei dalekich od tradycyjnego społeczeństwa. Jednak odbywało się to powoli i stosunkowo subtelnie. Media przez swój zasięg były powszechnie oceniane i musiały się liczyć z krytyką. Zresztą konserwatyści doskonale potrafili wykorzystywać media: choćby Ronald Reagan.

Internet początkowo wiele tu nie zmienił. Przyspieszył obieg informacji i ich zasięg. Był więc błogosławieństwem dla rozwoju demokracji, o czym przekonał się choćby PiS, który nie mając silnych telewizji, doskonale w 2015 roku wykorzystał internet, propagując kontent powstający w tradycyjnych konserwatywnych mediach.

Sytuację zmieniło powstanie burzliwie rozwijających się mediów społecznościowych. Wydawało się, że nie ma nic bardziej uczciwego i demokratycznego jak osobista możliwość zamieszczania informacji i włączenia się do dyskusji. Gdyby tak było naprawdę, w mediach społecznościowych nastąpiłyby podobne procesy jak w pozostałych mediach. Ludzie od jednych odsuwaliby się, a drugich wspieraliby, kierując się rozumem, sercem i sumieniem. Okazało się jednak, że dokonano tam jednej z najgorszych manipulacji. Ludzie o konserwatywnych poglądach nagle zaczęli mieć ograniczony dostęp do siebie, a za to utworzono algorytmy wspierające propagowanie radykalnej lewicy. Niezależna.pl, mając na jednym z takich portali społecznościowych 250 tys. obserwujących, dociera do 5 tys. tych, którzy są obserwującymi. Zainteresowani nawet nie wiedzą, że ograniczono im informację. Odwrotnie dzieje się z mediami o lewicowych poglądach. A skala problemu jest tak ogromna jak zasięg mediów społecznościowych. Największy z nich, Facebook, ma zasięg 2 mld ludzi, Twitter ponad 300 mln. Pomijam już to, co stało się z prezydentem Trumpem, kiedy użytkownika mającego 80 mln obserwujących, po prostu zablokowano.

> *Zapewnienia o zabezpieczeniu wolności słowa nic nie będą znaczyć, jeżeli sami się w to nie włączymy.*

Dlaczego tak się dzieje? Bo ludzie dali się nabrać, że mają do czynienia z neutralnymi politycznie platformami cyfrowymi, na których dostają swobodę dyskusji. Złapano ich w pułapkę, która często wycina użytkowników z pozostałych informacji (oni sądzą, że wszystkie otrzymują tak jak wcześniej), a nawet manipuluje się ich emocjami. Na takie działania oczywiście najbardziej podatni są młodzi ludzie, których próbuje się zamienić w stado agresywnych trolli. Większość z nich traci dystans i agresję uprawianą w internecie zaczyna przenosić na ulicę.

Jaka jest na to rada? W demokratycznym kraju nie da się wyłączyć internetu, i nie wolno tego zrobić. Trzeba tworzyć konkurencję. Zapewnienia o zabezpieczeniu wolności słowa nic nie będą znaczyć, jeżeli sami się w to nie włączymy.

W ekspresowym czasie stworzyliśmy własny portal społecznościowy Albicla. W ciągu dwóch tygodni od uruchomienia na tyle go usprawniliśmy, że istotnie nie różni się od innych portali tego typu. Teraz przed Państwem, a szczególnie politykami i menedżerami, pytanie: na ile serio traktują swoje zapewnienia o walce o wolność słowa? Czy poświęcą na to 15 minut dziennie? Jeśli nie, to o czym mówimy...

albicla.com/TomaszSakiewicz

W numerze

KRAJ
6 Czas na Europę po polsku
Piotr Lisiewicz
10 Prosowiecki etyk od mediów
Grzegorz Wierzchołowski
18 Cocomo ze striptizem u wiceprezesa PZPN
Piotr Nisztor

WYWIAD NUMERU
22 Koniec z niemocą w MSZ
Z ministrem Zbigniewem Rauem rozmawia Tomasz Sakiewicz

SPOŁECZEŃSTWO
28 On żył, czuł, słyszał, prosił o pomoc
Z prof. Janem Talarem rozmawia Hubert Kowalski
32 Szczepionkowe wojny
Tomasz Łysiak
36 Koktajl za 9 tysięcy zł
Jacek Liziniewicz
38 Amantadyna we wczesnym stadium COVID-19 ma szansę powodzenia
Z prof. Konradem Rejdakiem rozmawia Grzegorz Wszołek

PUBLICYSTYKA
42 Czerwone serce obywatela Owsiaka
Witold Gadowski
46 Hołownia z nogą na minie
Krzysztof Wołodźko

ŚWIAT
52 Nawalny – zabójczy śmiech z Putina
Piotr Grochmalski
56 Sport kobiecy szansą dla mężczyzn
Maciej Kożuszek

GOSPODARKA
64 Rekordy w budownictwie mimo pandemii
Maciej Pawlak

ŚRODOWISKO
86 Morsowe życie
Jacek Liziniewicz

SPORT
92 Na ratunek Paulo Sousa
Leszek Galarowicz

Tajemnice Sławomira Neumanna
Dorota Kania

Stałe

1 Tomasz Sakiewicz
4 ZYZIU NA KONIU HYZIU
13 Jerzy Targalski
13 Dawid Wildstein
21 Krzysztof Karnkowski
21 Jacek Liziniewicz
26 W INTERNETACH
31 Tomasz P. Terlikowski
41 Joanna Lichocka
48 Ryszard Czarnecki
49 Józef Wieczorek
59 WIEŚCI Z UE
63 ROSJA NA WESOŁO
68 KLUBY „GP"
70 KRYMINALNI
81 Tadeusz Płużański

96 KULINARIA
98 PLASTUSIOWY KOMENTARZ BARBARY PIELI
94 MOTO
100 OBURZAJĄCA KRZYŻÓWKA LISIEWICZA
103 Marcin Wolski
103 Tomasz Łysiak
104 Katarzyna Gójska
105 Michał Rachoń

Marzenie o byciu chamem
Dawid Wildstein

Etiopska beczka prochu
Antoni Rybczyński

Mali więźniowie z Przemysłowej
Hubert Kowalski

Strefa Wolnego Słowa

Albicla.com

Szczepan
Lisiewicz

ZYZIU NA KONIU HYZIU

Stary ślizgacz prof. Andrzej Rzepliński nazwał nie tak dawno protestujących pod kościołami hołotą. Teraz po ogłoszeniu uzasadnienia wyroku Trybunału Konstytucyjnego zgodnie ze swą ślizgaczowatą naturą ogłosił: „To nie jest wyrok!", by zrehabilitować się za poprzednią wypowiedź. Wszystko u ślizgacza jak za dawnych czasów: niby sekretarz POP PZPR, ale w Solidarności też był. Wydaje się, że emerytowanego ślizgacza instynkt nieco zawodzi, bo dziś inne czasy i inna dynamika sporów. Dla lewaków został tym od hołoty, dla nas tym od niebyłego wyroku nielegalnego Trybunału. A może by tak dogadać się taktycznie z lewakami, żeby wspólnie dowalić Rzeplińskiemu?

Tytuł portalu Gazeta.pl: „Anne Applebaum: W rządzie Bidena są ludzie, którzy doskonale wiedzą, co się dzieje w Polsce". Znaczy się dziewczynka z przedszkola nakablowała komu trzeba, ale zamiast trzymać język za zębami, co byłoby w jej interesie, musi się tym pochwalić innym. Na dodatek niechcący wysypując się, że nie są to znajomi wysoko postawieni, co każdy doświadczony dziennikarz pozna po ogólnikowości sformułowania „w rządzie Bidena są ludzie".

W tej chwili główny przekaz polskiej dyplomacji podszeptywany administracji Bidena powinien brzmieć: Radek Sikorski był ministrem w rządzie tego strasznego PiS, którym teraz tak was straszy. Wiadomo, ci Polacy ciągle się kłócą między sobą. Wszelkie pojękiwania Zdradka, że wtedy to był inny PiS, będą niewiarygodne zarówno w Polsce, jak i w Ameryce.

Szkopy z Der Onet zatroszczyły się o karabinek „Grot" Wojsk Obrony Terytorialnej. Z artykułu zrozumiałem tyle, że „na wypadek Niemca" – jak mawiają u mnie w Wielkopolsce – może on nie wypalić. Napada ci na ojczyznę Szwabisko, chcesz takie odstrzelić, a „Grot" ci się „przegrzewa" i „zapiaszczony zacina". No to walisz w łeb kolbą rodaka prezesa Axel Springer. Niestety ta „może przy uderzeniu pęknąć". Niemiec mimo to ucieka i odkłada kolejny atak na później, ale i to niedobrze – bo

Główny przekaz polskiej dyplomacji podszeptywany administracji Bidena powinien brzmieć: Radek Sikorski był ministrem w rządzie strasznego PiS, którym teraz tak was straszy. Wszelkie pojękiwania Zdradka, że to był inny PiS, będą niewiarygodne zarówno w Polsce, jak i w Ameryce.

„Ogromne usta, w których wyglądałam jak trans, zdecydowanie zmalały"
Blanka Lipińska, Instagram

karabinek może w tym czasie zardzewieć. Ponadto zawieść może „zespół suwadła" odpowiadający – pisze Der Onet – za „zaryglowanie komory". Gdzie szukać ratunku? Co możemy zrobić, by „w razie W" znowu Niemiec nie pluł nam twarz? Pod koniec artykułu mimochodem możemy się dowiedzieć: „Cena karabinka niemieckiego HK wynosi 9 tys. 700 zł, ale jest on w pełni sprawny i przeszedł wszystkie niezbędne testy". No więc „Grot" z radomskiego „Łucznika" na złom i kupujmy droższy niemiecki karabinek HK! Nawet nazwa brzmi sympatycznie. Jak Hakata.

Jest absolutnie pewne, że za rządów PO artykuł Der Onet „Szokujący raport o karabinku Grot. Jest tak zły, że zagraża żołnierzom" odniósłby taki właśnie skutek. Ale nie wydaje się, by tylko o kasę i miejsca pracy się tu rozchodziło. Gdy „Gazeta Polska" przyznała niedawno nagrodę za rok 2020 Wojskom Obrony Terytorialnej, napisałem, że ten „nowoczesny, polski karabinek, który zawdzięcza swą nazwę generałowi Stefanowi »Grotowi« Roweckiemu", stał się ich symbolem, częścią ich tożsamości. Der Onet powołuje się w swej publikacji na licznych ekspertów, na czele z generałem Mirosławem Różańskim, który w 1989 roku był dowódcą kompanii w czasie manewrów z bratnią Armią Czerwoną „Przyjaźń 1989". To ja chociaż na jednego się powołam, żeby nie wyjść na kompletnego głupa. Ekspert jest doświadczony i nazywa się Jan Pietrzak. Naszą sytuację geostrategiczną Polski charakteryzuje on następująco: „Nasza pierwsza lekcja polskiej geografii: Tutaj wschód, tam zachód, Szkopy i Kacapy. Dwa wraże plemiona, postrach Europy, złowieszcze, ponure, Kacapy i Szkopy". Jakiej nowoczesnej broni obecnie one używają? Doświadczony ekspert diagnozuje: „Ich media tu szczują, mieszają i kłamią, atak propagandy jak bombowy nalot".

FOT. MARTIN LAHOUSSE/CC BY-SA 3.0, HTTPS://WWW.FACEBOOK.COM/LIPINSKABLANKA

To jest koniec Blanki Lipińskiej! Nie pomogą powieści erotyczne, a nawet fakt, że pani ta pracowała w „Zatoce Sztuki" w Sopocie, gdy według Sylwestra Latkowskiego dochodziło tam do pedofilii. Oto „pisarka" pochwaliła się pozytywnymi zmianami w swoim wyglądzie po „podcinaniu dziąseł": „ogromne usta, w których wyglądałam jak trans, zdecydowanie zmalały". To transwestyci są jednak odstręczający?

Tytuł wywiadu z posłem Franciszkiem Sterczewskim z Poznania, niekiedy nazywanym „Frankiem" oraz „aktywistą miejskim": „Na wsi mieszka też elektorat opozycyjny, ale często to tylko jeden dom. Czasami musisz postawić się całej wsi". Trafna diagnoza! Tylko wypadałoby dodać, panie pośle, że niemal zawsze jest to dom byłego esbeka albo jego dzieci. Ewentualnie lokalnego lekarza lub sędziego, znanego z wymuszania łapówek.

Czy lewacy reprezentują w Polsce ludzi wykluczonych, żyjących w biedzie? No dobra, odpowiedź na to pytanie jest zbyt oczywista, ale czy reprezentują biednych trochę bardziej niezależni (do niedawna) anarchiści ze skłotów? Jest na to prosty test: ilu jest robotników oraz zwykłych pracowników wśród lewaków? Ilu wśród anarchistów? A ilu wśród kibiców piłkarskich? Wśród lewaków nie będzie żadnych, wśród anarchistów niewielu (ale czasem szczerych i porządnych), wśród kibiców są tysiące, w tym naturalni liderzy robotniczych środowisk.

Czy kogokolwiek zdziwił fakt, że Konfederacja nie poparła uchwały Sejmu w sprawie Aleksieja Nawalnego? A czy ktokolwiek z Państwa nie potrafiłby przewidzieć z wyprzedzeniem tłumaczeń liderów Konfederacji w tej sprawie? Że Korwin wypowie się jak oczywisty rosyjski agent wpływu, natomiast Winnicki będzie obłudnie lawirował? Jaka jest różnica między beatyfikacją CDU przez Tuska i płaszczeniem się przed Putinem przez Winnickiego? Po mojemu tylko taka, że Winnicki jest popychadłem trochę bardziej niebezpiecznego wroga Polski niż jego brat bliźniak Tusk.

Trudno o bardziej oczywisty dowód sklejający Konfederację z resztą totalnej opozycji, niż skład gości w programie Moniki Jaruzelskiej. A ściślej w willi Jaruzelskiego, w ramach rehabilitacji jej posiadacza, czyli anulowania wstrętnych manifestacji antykomunistycznej Ligi Republikańskiej. Że milutko z Korwinem, Michalkiewiczem, Braunem, Mentzenem, Wielomskim, Karoniem, Warzechą i oczywistą prawicową jaruzelszczyzną, no a za chwilę równie przyjacielska pogawędka z Hołownią. Nieważne, czy ma rządzić prawica czy lewica, byle nie rządził obóz niepodległościowy, czyli PiS, a przebrana jaruzelszczyzna. **GP**

Mirosław **Andrzejewski**
{ RODZINA WACIAKÓW }

Piotr
Lisiewicz
Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO
albicla.com/PiotrLisiewicz

CZAS NA EUROPĘ PO POLSKU

ANI LEWACKA, ANI PUTINOWSKA, TYLKO TA Z JANA PAWŁA II

Polska stała się krajem, do którego Szwedzi czy Holendrzy uciekają, by nie odebrano im dzieci, przed eutanazją, islamem i cenzurą. W Polsce nie zabija się nienarodzonych dzieci, również tych niepełnosprawnych. A ze Wschodu trafiają do nas tysiące zagrożonych przez reżim Łukaszenki. Świadomi własnych niedoskonałości powiedzmy to głośno: w tych dniach wypełnia się proroctwo Jana Pawła II o roli Polski w Europie. Polska pokazuje, że wybór, jaki mają choćby Francuzi, między lewactwem i sponsorowanym przez Putina nacjonalizmem, nie musi być jedynym. Czas na Europę po polsku, opartą na głębi dziedzictwa JPII. Jeśli polskie państwo postawi na tę ideę, zdziwimy się, jak szybko stanie się ona atrakcyjna dla milionów Europejczyków wszystkich narodowości.

Modliłem się na gruzach getta warszawskiego w bolesnym upokorzeniu uczuć chrześcijańskich. Modliłem się na zgliszczach Warszawy w rozeznaniu, że już nigdzie i nigdy nie będę szczęśliwy. Boże przepływających obłoków i rosnących miast, nie daj mi się modlić na ruinach Paryża" – te słowa napisał krótko po wojnie Tymon Terlecki, pisarz i czołowy publicysta polskiej emigracji, którego myśl najbardziej przypomina to, co jako papież głosił później 15 lat od niego młodszy Karol Wojtyła.

„W imię Boga za naszą i waszą wolność"

Zdolność do wprowadzania w życie uniwersalnych idei była w historii polską

POWRÓT DO KORZENI

Polacy potrzebni są Zachodowi, by go na nowo ewangelizować i by Europa wróciła do korzeni.

FOT. JAN MOREK/PAP

specjalnością. „W imię Boga za naszą i waszą wolność” – tak brzmiało XIX-wieczne hasło, potem powtarzane w krótszej wersji „Za wolność naszą i waszą”. Polska stała się dzięki tej idei atrakcyjna w Europie – dla najbardziej twórczych i samodzielnie myślących umysłów. Węgrzy, Francuzi, Włosi, a nawet Rosjanie z tym hasłem na ustach wspierali polskie powstania. Wypisywano je na sztandarach ze znakiem czerwonego krzyża na białym tle.

To z Polski wyszło w 1981 roku „Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej”, o którym Breżniew mówił: „To niebezpieczny i prowokacyjny dokument. Słów w nim niewiele, lecz wszystkie biją w jeden punkt. Jego autorzy chcieliby posiać zamęt w krajach socjalistycznych”.

Dziś Polska, idąc pod prąd głównego europejskiego nurtu, otwiera oczy wielu Europejczykom, którzy patrzą z niedowierzaniem: to tak można? Można osiągać gospodarcze sukcesy i jednocześnie nie poddawać się terrorowi politycznej poprawności? Można tak po prostu ogłosić, że nie chcemy u nas aborcji niepełnosprawnych dzieci i rządząca partia, choć poddana znanej im z własnego kraju presji ulicznej dziczy, nie traci władzy, a po krótkich perturbacjach odzyskuje poparcie? Można nie godzić się na eutanazję, na odbieranie dzieci, na inwazję nieszanujących naszej kultury imigrantów? I można nie popadać przy tym w szowinistyczne skrajności, nie obniżać własnej wartości ciasnymi nacjonalizmami?

Polska pokazuje, że można i jest jej z tym do twarzy. Może dlatego, że nasza historia nie jest historią kolonialnych podbojów, napastniczych wojen, a nasz poeta Jan Lechoń pisał: „Wiem, że nie ucisk i chciwe podboje, / Lecz wolność ludów szła pod Twoim znakiem, / Że nie ma dziejów piękniejszych niż Twoje / I większej chluby niźli być Polakiem”.

Ucieczki do Polski – Szwecja, Holandia, Włochy i brytyjski dramat

O tym, co – czasem niepostrzeżenie dla nas samych – stało się z Polską w ciągu ostatnich pięciu lat, mówią najprościej czyny konkretnych ludzi. Takich jak Denis Lisow, Rosjanin, któremu w Szwecji odebrano córki. Powodem miała być choroba ich matki, u której pojawiły się objawy schizofrenii. Odebrane dzieci trafiły do zastępczej rodziny muzułmańskiej, a ojciec mógł je widywać raz w tygodniu. Gdy złożył wniosek o ponowne objęcie opieki nad swoimi córkami, szwedzka służba socjalna odmówiła mu ze względu na… brak posiadania stałego zajęcia. Lisow przed barbarzyństwem uciekł do Polski.

Jak Conrad i Katya z Holandii, którzy uciekli z autystycznym 7-letnim dzieckiem do Polski po tym, jak w środku nocy ich syn Martin został im odebrany przez holenderską opiekę społeczną, bo sąsiedzi stwierdzili, że rodzice zaniedbują dziecko. Takich jak Szwed, który uciekł ze swojej ojczyzny wraz z 11-letnim synem, który umieszczony został w tak zwanej rodzinie dyżurnej, gdzie był według jego relacji ofiarą przemocy.

Oczywiście to, że do Polski wyjeżdżają tysiące Białorusinów, obawiających się represji Łukaszenki, zrozumieć stosunkowo najłatwiej. Ale fakt, że Polska staje się spokojną przystanią dla ludzi ze Wschodu i Zachodu, pokazuje naszą oryginalność, bo przecież ofiary Łukaszenki nie uciekałyby do kraju rządzonego przez prorosyjskich nacjonalistów.

Wieloma spośród tych, którzy dotychczas nie zwracali na opisywane zjawiska uwagi, wstrząsnąć mogła sprawa Polaka w śpiączce, którego brytyjski sąd nie pozwolił przewieźć do Polski i poddać leczeniu w klinice „Budzik” Ewy Błaszczyk. W efekcie zagłodzony Polak zmarł. Nie w jakimś państwie odległym nam kulturowo. Teoretycznie, przynajmniej do niedawna, w cywilizacyjnie nam bliskim. Gdzie pracuje wielu Polaków. W mediach przypomniano, że tylko dzięki interwencji córek, które odnalazły w szpitalu w Neapolu Mamę, która uległa wypadkowi lub została pobita, nie podzieliła ona losu Polaka z Plymouth. Włoscy lekarze zrezygnowali z walki o jej życie, gdy była w śpiączce. A potem wybudziła się z niej.

Głęboko wierzę, że większość Europejczyków myśli o opisanych wyżej sprawach podobnie jak Polacy. Tylko tkwią w narzuconym im paraliżu.

Trener Sousa, czyli tak też nas widzą w Europie

W ostatnich dniach doszło do wydarzenia być może błahej wagi – wypowiedzi nowego trenera reprezentacji Polski, Portugalczyka i katolika Paulo Sousy. Selekcjoner, a w przeszłości wybitny piłkarz, powiedział, że ważne są dla niego słowa papieża Jana Pawła II: „Nie lękajcie się”. „To kraj pełen wiary, w którym rodzina jest najważniejsza. Dlatego starajmy się razem zbudować zespół, właśnie z wiarą i przekonaniem, że zwyciężymy” – powiedział o Polsce. I odniósł także do piłki nożnej słowa: „Modlę się z wami, żeby nigdy, ale to nigdy się nie poddawać. Nigdy nie tracić nadziei, nigdy nie wątpić”.

Ze względu na masowy odbiór tych słów wielu Polaków, którym wmówiono, że

FOT. ANDRZEJ HREHOROWICZ/RAP

jesteśmy w Europie postrzegani jako ciemny, zacofany kraj, musiało mocno się zdziwić, iż życie jest jednak bardziej skomplikowane. A przez kibiców słowa te zostały przyjęte bardzo przychylnie.

To, co rzuca się dziś w oczy w Europie, to zagubienie zwykłych ludzi. Poczucie, że to, co jest, prowadzi do upadku, ale jednocześnie nie ma wiarygodnej alternatywy. Zarówno wsparcie dla niszczącej europejską tożsamość lewicy, jak i popieranych przez Rosję nacjonalistów, jest dla świadomego swych korzeni Europejczyka czymś upokarzającym. Ale nazbyt często innych propozycji nie ma. I Europejczyk popiera destrukcję własnej kultury tylko po to, by nie rządził u niego promoskiewski nacjonalizm. Albo – odwrotnie…

Bo to, co było zakorzenione, co odwoływało się do najpiękniejszych europejskich tradycji, padło ofiarą totalitaryzmów, podziału kontynentu, erozji kultury masowej, wreszcie rozmaitych sił niszczycielskich. Dlatego Europejczyk tęskni, ale sam nie potrafi już nazwać tego, za czym tęskni.

„Wytrwać w kulturze europejskiej na przekór jej samej”

Spróbujmy więc wytłumaczyć prawdziwe źródła tej tęsknoty. Wizjoner Tymon Terlecki ostrzegał w 1948 roku, że to samo, co doprowadziło do zniszczenia przemocą polskiej państwowości, grozi europejskiej kulturze: „Nim dojdzie do starcia, nim przyjdzie uderzenie na koronę, cios w sam pień europejskiego drzewa – odbędzie się atak, powolny, sekretny, systematyczny, na jego korzenie”. Czuł, że podział Europy, będący tragedią dla jego ojczyzny uwięzionej za Żelazną Kurtyną, jest tragedią dla całego kontynentu: „Usiłowany mord cywilizacyjny na Polsce stanowi takie samo pogwałcenie normy moralnej jak dzieciobójstwo. Kultura europejska ciężko zapłaci za to, co się stało i co się dzieje”. A utrata przez Europę takich miast jak „Wilno, Lwów, Kowno, Ryga, Tallin” to nie „incydent lokalny”, lecz „ubożenie całej kultury europejskiej, świadome oddawanie stanowisk”.

> *Dziś Polska, idąc pod prąd głównego europejskiego nurtu, otwiera oczy wielu Europejczykom, którzy patrzą z niedowierzaniem: to tak można?*

Jako Polak Terlecki podkreślał „wierzytelność” Polski wobec Zachodu: „pięć milionów umarłych, ani jednej zdrady”. Tymczasem Polskę zdradzili nie tylko zachodni sojusznicy. Zdradziła ją kultura zachodnia. Ale to nie powód do kapitulacji, tylko dodatkowy impuls do działania: „Heroizm (…) jest prosty: wytrwać w kulturze europejskiej na przekór jej samej (…). Wytrwać – bo kultur nie zmienia się jak partii politycznych, jak żurnalowych fasonów, jak bielizny”. Jednocześnie, jako realista, rozumiał, że czeka nas sytuacja, w której „możemy być Europejczykami, uczestnikami wspólnoty chrześcijańskiej tylko za cenę obronienia i zachowania swojej odrębności”.

„Jedność wartości fundamentalnych w wielości kultur narodowych”

Na czym powinna polegać w 2021 roku Europa zbudowana w oparciu o dziedzictwo Jana Pawła II? Gdy poparł on wejście Polski do UE, jego argumentacja bliźniaczo przypominała słowa Terleckiego o naszych

nierozerwalnych więziach z zachodnią kulturą. Zrobił to mimo istnienia wśród polskich katolików eurosceptyków.

Ale poparł nie dlatego, byśmy mieli w UE rozmywać swoją tożsamość, podporządkowywać się silniejszym, respektować polityczną poprawność. Nie, Polacy potrzebni są Zachodowi, by go na nowo ewangelizować i by Europa wróciła do korzeni. „Kościół w Europie potrzebuje świadectwa wiary Polaków" – mówił. Z pewnością rozważany nie tak dawno na łamach tygodnika „Do Rzeczy" wariant polexitu nie jest tym, czego oczekiwałby dziś od nas nasz papież. Z całą pewnością nie byłby zwolennikiem putinowskich nacjonalizmów.

W książce „Pamięć i tożsamość" Jan Paweł II pisał o tym: „Dlaczego mówiąc o Europie, zaczynamy od ewangelizacji? Przyczyna, być może, tkwi po prostu w fakcie, że ta ewangelizacja stworzyła Europę, dała początek cywilizacji narodów i ich kulturze. Szerzenie wiary na kontynencie sprzyjało tworzeniu się poszczególnych narodów europejskich, zasiewając w nich ziarna kultur o różnorakich rysach, ale powiązanych wspólnym dziedzictwem wartości zakorzenionych w Ewangelii. W ten sposób rozwijał się pluralizm kultur narodowych na fundamencie wartości uznawanych na całym kontynencie. Tak było w pierwszym tysiącleciu i tak w jakiejś mierze, pomimo podziałów, było również w drugim tysiącleciu: Europa żyła jednością wartości fundamentalnych w wielości kultur narodowych".

Dalej wskazywał na ogromne zagrożenia wynikające z zejścia z tej drogi: „Dlaczego w tym miejscu naszych rozważań o Europie odwołujemy się do Chrystusowej przypowieści o szczepie winnym i o latoroślach? Chyba właśnie dlatego, że ta przypowieść pozwala nam najlepiej wyjaśnić dramat europejskiego oświecenia. Odrzucając Chrystusa, a przynajmniej nie biorąc pod uwagę Jego działania w dziejach człowieka i kultury, pewien prąd myśli europejskiej dokonał jakiegoś wyłomu. Pozbawiono człowieka „szczepu winnego", tego zaszczepienia w Krzewie, które zapewnia osiągnięcie pełni człowieczeństwa. Można powiedzieć, że w jakościowo nowej formie, przedtem niespotykanej, a przynajmniej nie na taką skalę, otwarto drogę do przyszłych wyniszczających doświadczeń zła".

„Wspólny dom" musi mieć spoiwo

Dalej Jan Paweł II przewidywał obecne kłopoty Europy i zagubienie Europejczyków, mających budować jedność kontynentu: „Nie można tego robić, odcinając się od tych korzeni, z których wyrosły narody i kultury Europy, i od wielkiego bogactwa minionych wieków. Jakże można liczyć na zbudowanie »wspólnego domu« dla całej Europy, jeśli zabraknie cegieł ludzkich sumień wypalonych w ogniu Ewangelii, połączonych spoiwem solidarnej miłości społecznej będącej owocem miłości Boga?".

Jan Paweł II nie traktował tych idei czysto teoretycznie, tylko starał się z nimi docierać do decydentów współczesnego świata. 3 czerwca 1997 roku w Gnieźnie, w obecności głów państw z Europy Środkowej, wygłosił homilię z okazji 1000. rocznicy śmierci św. Wojciecha. Słuchały go głowy państw: Polski, Czech, Litwy, Niemiec, Słowacji, Ukrainy i Węgier. A on mówił do nich: „W imię poszanowania praw człowieka, w imię wolności, równości, braterstwa, w imię międzyludzkiej solidarności i miłości wołam: nie lękajcie się! Otwórzcie drzwi Chrystusowi! Człowieka nie można zrozumieć bez Chrystusa. Dlatego mur, który wznosi się dzisiaj w sercach, mur, który dzieli Europę, nie runie bez nawrotu ku Ewangelii. Bez Chrystusa nie można budować trwałej jedności".

Jako puentę odnotujmy, że dziś nie ma postaci, która byłaby poddana ostrzejszym atakom niż Jan Paweł II. Już nie liderzy PiS, nie Jarosław Kaczyński ani Antoni Macierewicz, lecz nasz papież wzbudza najwięcej bełkotliwych bluzgów sił zła w internecie. Zapewne dlatego, że wbrew tym, co mówili, że niebawem zostanie zapomniany, jest dziś bardziej aktualny niż za życia. I to jego idee, poniesione przez Polaków i ludzi dobrej woli w Europie, mogą niebawem zmienić europejski układ sił. **GP**

KONDOLENCJE

Z głębokim smutkiem i żalem zawiadamiamy o śmierci założyciela i długoletniego Przewodniczącego Klubu Gazety Polskiej w Sierpcu

ŚP.

Bogdana Wierzbickiego

Wyrazy szczerego współczucia i słowa otuchy dla całej rodziny

Ryszard Kapuściński, prezes Klubów „Gazety Polskiej",
oraz
Członkowie Klubów „Gazety Polskiej"

Z głębokim żalem przyjąłem wiadomość o śmierci

ŚP.

Bogdana Wierzbickiego

Założyciela i długoletniego Przewodniczącego Klubu „Gazety Polskiej" w Sierpcu.

Łączę się w bólu z pogrążoną w żałobie Rodziną.

Tomasz Sakiewicz

PEAN

W 1972 roku Bańkowicz w tekście poświęconym komunistycznemu świętu 22 lipca pisał: „Świętujemy ten dzień w przekonaniu, że pokojowa ofensywa wspólnoty socjalistycznej, w której uczestniczy także Polska, przynosić będzie nowe sukcesy”.

PROSOWIECKI ETYK OD MEDIÓW

ŚWIAT WEDŁUG RYSZARDA BAŃKOWICZA

Grzegorz **Wierzchołowski**
RED. NACZELNY NIEZALEZNA.PL
albicla.com/GrzegorzWierzcholowski

FOT. GRZEGORZ JAKUBOWSKI/KPRM

Ryszard Bańkowicz, szef Rady Etyki Mediów – od wielu lat atakującej i pouczającej konserwatywne media – wychwalał w latach 70. „głoszone przez państwa socjalistyczne, przez Polskę, idee umacniania powszechnego bezpieczeństwa i utrwalania atmosfery odprężenia". A jako „ekspert" od polityki zagranicznej, jeżdżący za PRL po całym świecie, chwalił organizację pracy w sowieckich kombinatach, potępiając jednocześnie wyzysk robotników w Holandii.

Gdy „Gazeta Polska", piórem niżej podpisanego, ośmieliła się zauważyć, że obecny marszałek województwa pomorskiego Mieczysław Struk (PO) ma w kwestii przekopu Mierzei Wiślanej takie same poglądy jak Moskwa, a do tego przedstawia je na łamach kremlowskiego Sputnika, Rada Etyki Mediów nie posiadała się z oburzenia. W oświadczeniu REM stwierdzono m.in., że „autor artykułu i redakcja, która opublikowała tekst o tak prymitywnie propagandowym zamierzeniu, naruszyli trzy zasady dziennikarskiej etyki zawodowej zapisane w Karcie Etycznej Mediów".

Ostatnio Rada Etyki Mediów krytykowała też wielokrotnie TVP, twierdziła również, że prezydent Gdańska Paweł Adamowicz był „obiektem oszczerstw".

Kto stoi na czele REM, roszczącej sobie prawa do dzielenia dziennikarzy na „dobrych" i „złych"? Od 2011 roku jej przewodniczącym jest urodzony w 1939 roku dziennikarz Ryszard Bańkowicz. W oficjalnym biogramie umieszczonym w jego książce „Cyprysy na wietrze" z 1972 roku czytamy o nim: „Reporter tygodnika »Świat«, a od 1969 r. »Dookoła świata«, łączy zainteresowania problemami zagranicznymi i krajowymi. Pisał o pracy poszukiwaczy ropy naftowej w Baszkirii i o życiu kopenhaskich rodzin-komun, uczestniczył w wiecu organizacyjnym Czarnych Panter w nowojorskim Harlemie i w demonstracji studentów Oksfordu przeciwko wojnie wietnamskiej, opisywał (...) rozwój węgierskich miast i zwalczanie analfabetyzmu w Meksyku".

Świętujemy idee socjalistyczne

W tym samym 1972 roku właśnie w czasopiśmie „Dookoła świata" ukazał się artykuł Ryszarda Bańkowicza zatytułowany „Nasze miejsce". Poświęcony był Narodowemu Świętu Odrodzenia Polski – obchodzonemu w PRL co roku 22 lipca, a ustanowionemu przez komunistów na pamiątkę rocznicy ogłoszenia Manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego w 1944 roku. Przewodniczący obecnej Rady Etyki Mediów pisał w owym tekście: „Świętujemy więc dzień lipcowy w świadomości, że głoszone przez państwa socjalistyczne, przez Polskę, idee umacniania powszechnego bezpieczeństwa i utrwalania atmosfery odprężenia, a także rozwijania międzynarodowej współpracy, zyskują dziś coraz to nowych zwolenników w świecie kapitalistycznym. Świętujemy ten dzień w przekonaniu, że pokojowa ofensywa wspólnoty socjalistycznej, w której uczestniczy także Polska, przynosić będzie nowe sukcesy, że nadal umacniać się będzie na świecie przeświadczenie o nieodwracalności zmian terytorialnych, o tym, że jedynym – twórczym i ożywczym – rozwiązaniem, jakie pozostaje współczesnemu światu, jest oparcie stosunków między państwami różnych systemów polityczno-ekonomicznych o zasadę pokojowego współistnienia i współpracę gospodarczą".

10 lat później, gdy komuniści wprowadzili w PRL stan wojenny, a ZSRS okupował Afganistan, Bańkowicz chwalił Chińską Republikę Ludową za zmianę kursu wobec Związku Sowieckiego na mniej konfrontacyjny. W jego artykule w „Głosie Pomorza" z 1982 roku czytamy: „Procesy polityczne w Chinach świadczyć mogą, iż nowy kurs wytknięty przez kierownictwo pekińskie jest rzeczywiście czymś więcej niż zmianą haseł i priorytetów. Naczelnym celem staje się modernizacja, uczynienie z Chin silnego państwa socjalistycznego. [...] Ten właśnie pragmatyzm zaczyna skłaniać dziś przywódców chińskich do prób zmiany postawy wobec ZSRR. Zrozumiano więc najwyraźniej w Pekinie, że przeobrażenia wewnętrzne wymagają atmosfery stabilizacji i spokoju, która nie może stać się udziałem społeczeństwa bez złagodzenia napięcia na granicy ze Związkiem Radzieckim, najdłuższej granicy lądowej świata. Utrzymywanie tego napięcia służyć mogło tylko całkowicie odmiennym celom, paraliżowaniu procesu reform, było straszakiem zewnętrznego zagrożenia. Przekonali się też Chińczycy, że kurs na zbliżenie z Zachodem, z Waszyngtonem, nie daje efektów, jakich spodziewali się jego sternicy [...]".

Bańkowicz pisał dalej: „Także w dziedzinie ekonomicznej pomoc zachodnia – choć licząca się w gospodarce Chin – nie rekompensowała tego, co dawać może współpraca z ZSRR. (...) Trzon przemysłu Chin powstał w latach pięćdziesiątych dzięki współdziałaniu z ZSRR, wielu ekspertów twierdzi, że był to najbardziej dynamiczny okres rozwoju ChRL. Każda rzeczowa i dokonana bez uprzedzeń analiza możliwości wcielenia w życie konstruowanych obecnie programów musi wskazać na fundamentalne znaczenie wymiany ze Związkiem Radzieckim – towarowej, surowcowej, energetycznej, technicznej, naukowej".

Kapitalistyczni wyzyskiwacze

W 1968 roku ukazała się książka Ryszarda Bańkowicza „Oczy na Meksyk", będąca relacją z jego wyprawy do tego kraju. Z publikacji dowiadujemy się m.in., że meksykańska „Partia Ludowa, zbliżona do komunistów [w rzeczywistości nie zbliżona, lecz komunistyczna – przyp. red.] (...) umie ocenić właściwie posunięcia, zmierzające do umocnienia politycznej

i rozszerzenia ekonomicznej niezawisłości Meksyku".

W książkę – przy okazji wzmianki o podpisaniu przez Meksyk traktatu o zakazie broni jądrowej w Ameryce Łacińskiej – wpleciono też pochwałę planu Rapackiego z końca lat 50., czyli korzystnej dla Związku Sowieckiego inicjatywy rozbrojenia nuklearnego Europy Środkowej. „Przeciwnicy polskich inicjatyw pokojowych, oponenci Planu Rapackiego, twierdzili zawsze, że ujęcie tych projektów w formuły prawne wiąże się z trudnościami nie do pokonania. Układ Ameryki Łacińskiej odbiera więc tym oponentom argumenty" – przekonywał Bańkowicz. „Oczy na Meksyk" to także pochwalne wzmianki o komunistycznej rewolucji kubańskiej i atak na meksykański „kler, który był największym, najbardziej bezwzględnym właścicielem ziemskim" i „bogacił się dzięki pracy niewolników".

Podobne wtręty znajdujemy w wydanej w 1972 roku książce „Cyprysy na wietrze", poświęconej sytuacji politycznej na Cyprze. Bańkowicz – strasząc greckimi „faszystami" z NATO – pisze w niej, że „rząd grecki wszczął wymierzoną przeciwko Makariosowi [prezydent Cypru w latach 1960–1974 – przyp. red.] i cypryjskim siłom postępowym ofensywę propagandową, do której włączyły się rozmaite organizacje społeczne Grecji i emigrantów cypryjskich. (...) Rząd greckich pułkowników imputował komunistom Cypru, że chcą oni »wykorzystać rozwój wypadków do rozniecenia wojny domowej i spowodowania innych niebezpiecznych komplikacji o międzynarodowych następstwach«".

Inna publikacja Bańkowicza – „Z różą w zębach" z 1977 roku – to cykl artykułów, felietonów i komentarzy o świecie. Obecny szef Rady Etyki Mediów pochyla się w niej m.in. nad problemem wyzysku młodych robotników w kapitalistycznej Holandii (artykuł „Jak okraść nastolatka"). „W trosce o swoje fabrykanci sięgają po tandetną moralistykę (...). Prywatny przedsiębiorca chętniej widzi w rękach robotnika łopatę niż pieniądze za pracę. A ponieważ holenderskie związki zawodowe (...) nie reprezentują ich stanowiska w rokowaniach z fabrykantami, tym łatwiejszy jest wyzysk młodych". Z innego tekstu w książce przebija podobna troska o całą zachodnią młodzież. „Działacze organizacji młodzieżowych Wspólnego Rynku, nie tylko zresztą ugrupowań młodej lewicy, domagają się dyskusji nad problemami, przed którymi stoi bezrobotna młodzież. Za każdym razem odpowiadano im, że władze EWG mają dziesiątki pilniejszych spraw do załatwienia (...). O braku pracy dla młodych pisze też obszernie prasa amerykańska" – alarmuje Bańkowicz.

Książka „Z różą w zębach" rzuca światło na „wyzysk" robotników nie w Polsce, w której w 1976 roku brutalnie tłumiono wystąpienia pracownicze, lecz w... kapitalistycznej Korei Południowej.

„Z różą w zębach" rzuca także światło na „wyzysk" robotników w innym państwie. Nie, nie w Polsce, w której w 1976 roku brutalnie tłumiono wystąpienia pracownicze, lecz w Korei. I to nie w Północnej, lecz w... dynamicznie rozwijającej się wówczas kapitalistycznej Korei Południowej. „Na przedmieściach miast bezrobotni budują rudery z blachy i tektury. Strajki są zabronione, a jakakolwiek prezentacja postulatów robotniczych jest niemożliwa. (...) W tych warunkach reprezentantami walczących robotników stają się nieliczni postępowi przedstawiciele kleru" – informuje polskiego czytelnika Bańkowicz.

Sowiecki szampan najlepszy

Ale nie wszędzie było aż tak źle, bo w artykule obok („Z kosmosu – do frezarki") Bańkowicz dowodzi, iż „załogi kombinatu hutniczego w Niżnim Tagile, kopalni rudy żelaza w Wysokogorsku i innych uralskich zakładów tak umiejętnie wykorzystywały liczne spotkania z maturzystami dla zaprezentowania specyfiki swojej pracy, że szkoły przyzakładowe zostały zarzucone tu podaniami o przyjęcie. Praca w tych zakładach uważana jest dziś przez młodzież za wyróżnienie".

W 1976 roku dobrze żyło się też węgierskim robotnikom. „Na Węgrzech prowadzone były badania socjologiczne dotyczące problemów życiowych i zawodowych robotników zatrudnionych w wielkich zakładach przemysłowych. (...) 2/3 ankietowanych wyraziło zadowolenie ze swej pracy i ze swojego zakładu. Tylko 10 proc. nie jest zadowolonych i z charakteru, i z miejsca pracy" – czytamy w książce Bańkowicza.

Promyk nadziei błysnął też nad Italią. „Burmistrz Gabbuggiani, który objął urząd w 1975 r., jest pierwszym komunistą na tym stanowisku we Florencji. Członkowie Włoskiej Partii Komunistycznej, którzy stoją na czele magistratów także kilku innych największych miast kraju, udowodnili – a przyznają to nawet ich przeciwnicy – swoją kompetencję i sprawność organizacyjną" – wskazuje Ryszard Bańkowicz.

Z pracą w uralskim kombinacie czy węgierskim zakładzie przemysłowym oraz z kompetencjami włoskich komunistów równać może się tylko jedno: sowiecki szampan. „Wytwarzaniem szampana zajmuje się obecnie w ZSRR 27 fabryk, ale zakłady w Abrau-Djurso nadal mają najwyższą renomę. W bieżącym roku opuści je ponad cztery miliony butelek szampana, nazywanego przez niektórych zachodnich odbiorców »zwycięzcą Francuzów«" – ogłasza Bańkowicz. I objaśnia, że sowiecki szampan zasłużył na ten tytuł, gdyż „otrzymał nagrodę Grand Prix, jak i złoty medal" na międzynarodowych targach odbywających się – uwaga – na Krymie. Swe wywody autor kończy błyskotliwym spostrzeżeniem: „Triumfalny salut z korków na chwałę radzieckiego szampana mile dźwięczy znawcom win w kilkudziesięciu krajach świata". **GP**

{ WIDZIANE ZE ŚMIETNIKA HISTORII }

FELIETON

Jerzy **Targalski**

NAWALNY – BRONIĆ **CZY PRZEMILCZEĆ**

Po aresztowaniu Aleksieja Nawalnego i demonstracjach w jego obronie zaznaczyły się w Polsce dwa skrajne stanowiska. Narodowi wielbiciele Rosji i Putina nagle odkryli KGB i stwierdzili, iż nie powinniśmy występować w obronie Nawalnego, gdyż stoją za nim służby i staniemy się ofiarą nowej operacji „Trust". W wewnętrzne sprawy Rosji nie należy się przecież wtrącać. Po przeciwnej stronie ustawili się piewcy Nawalnego – jutrzenki wolności i demokracji w Rosji. Jak wiadomo bowiem, tylko Putin przeszkadza ludowi rosyjskiemu w budowie demokracji. Nie ulega wątpliwości, że Nawalnym posługuje się jakaś frakcja siłowików, gdyż inaczej skończyłby jak Niemcow albo Politkowska. Wobec Polski Nawalny reprezentuje stanowisko rosyjskiego nacjonalizmu tak samo groźne jak Putin. Stara pseudoalternatywa: Denikin czy Lenin – i tak Polski ma nie być. To nie znaczy jednak, że mamy ułatwiać Putinowi życie, jak chcą jego wyznawcy. Zdając sobie sprawę, że Nawalny jest takim samym wrogiem naszego państwa i aspiracji jak Putin, powinniśmy te wewnętrzne walki lub ich inscenizację wykorzystać. Potępiając metody stosowane wobec Nawalnego, wskazujemy na zagrożenie rosyjskie bez obaw, że nam przyczepią twarz rusofobów. Pod tym szyldem zwalczanie moskiewskiego zagrożenia jest bezpieczne i utrudnia zbliżenie Rosji do niemieckiej Unii. Drugi powód, dla którego trzeba potępiać represje reżimu rosyjskiego, to ich powszechny charakter. Są stosowane wobec każdego. Putin musi wiedzieć, że represje mają swoją cenę i że będzie musiał ją zapłacić, co osłabi jego pozycję. Jeśli zaś obrona Nawalnego przyczyni się do zaostrzenia walk frakcyjnych w Rosji, to tym lepiej. Optymalnie byłoby, gdyby wszystkie frakcje wzajemnie się wybiły.

{ LUBIĘ DINOZAURY }

FELIETON

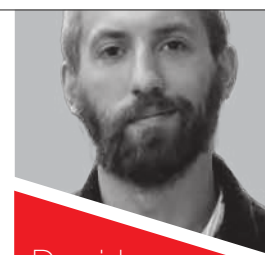

Dawid **Wildstein**

PODZIĘKUJMY **TRZASKOWSKIEMU**

Prezydent stolicy uznał za stosowne przyozdobić Pałac Kultury i Nauki symbolem Strajku Kobiet – błyskawicą. Było w tym coś naprawdę paskudnego. Potężny moloch Stalina, dodatkowo „upiększony" znakiem mającym kojarzyć się z agresją i walką. Pozostawiając jednak z boku kwestie symboliczne, jest też pozytyw tego typu inicjatyw Trzaskowskiego. Jego działania bardzo często odsłaniają intencje czy poglądy, które – z perspektywy interesu jego partii – powinny być ukryte. Jest tak i tym razem. Wrzucenie symbolu Strajku Kobiet, inicjatywy, która znacznej części Polaków się nie podoba, która kojarzona jest z agresją i wulgarnością, jest też bardzo konkretną wypowiedzią tego polityka. Używając retoryki strajku – każe on „wyp***alać" każdemu, kto nie ma jego poglądów. Nie udaje, że chce być prezydentem wszystkich mieszkańców. Nie udaje, że chce reprezentować Polaków. Być może takie są zresztą intencje Trzaskowskiego. Pokazać środkowy palec większej części Polski, licząc na to, że większość warszawiaków, zwłaszcza coraz większa grupa przyjezdnych, chcąca jak najszybciej zrzucić z siebie odium Polski „B" i prowincji, zachwyci się czymś takim. Będzie zadowolona z tak agresywnej deklaracji politycznej, bowiem leczy ona ich kompleksy. Pozwalając, docelowo, Trzaskowskiemu na wszystko. Na największe afery, na kolejne blamaże, na zalewanie miasta szambem i awarie ogrzewania w największe mrozy. W myśl zasady, że najważniejsze jest poczucie bycia lepszym, ważniejsze nawet od jakości życia. A poza tym nie czas żałować pękających rur, gdy trzeba walczyć z faszyzmem. Być może ta strategia Trzaskowskiego okaże się słuszna i z czasem uda mu się, na wzór Gronkiewicz, stworzyć własną satrapię, z wiernymi poddanymi, którzy zaakceptują wszystko. Niemniej na pewno nie jest to działanie, które przysporzy zwolenników Platformie, która, bądź co bądź, nadal walczy o władzę nad całą Polską. I za to możemy Trzaskowskiemu podziękować.

TAJEMNICE SŁAWOMIRA NEUMANNA

NIE TYLKO NIEPRAWIDŁOWOŚCI W OŚWIADCZENIACH MAJĄTKOWYCH

Śledztwo w sprawie oświadczeń majątkowych Sławomira Neumanna, byłego szefa klubu Platformy Obywatelskiej, zatacza coraz szersze kręgi. Jak ustaliła „Gazeta Polska", śledczy planują kolejne czynności, a jedną z nich jest międzynarodowa pomoc prawna dotycząca przepływów finansowych. W tle są kontakty posła PO z lokalnym biznesem, a cała sprawa jest kolejną odsłoną co najmniej kontrowersyjnej działalności pomorskiej Platformy.

Dorota **Kania**
albicla.com/DorotaKania

Śledztwo w sprawie podejrzenia złożenia nieprawdziwych oświadczeń majątkowych przez Sławomira Neumanna prowadzi Prokuratura Okręgowa w Jeleniej Górze. – Postępowanie jest prowadzone w sprawie i dotyczy nieprawidłowości, do jakich miało dojść w oświadczeniach majątkowych posła na Sejm RP, a także w rozliczeniach przydzielanej mu dotacji na rozliczenia biura poselskiego – mówi nam prok. Tomasz Czułowski, rzecznik prasowy prokuratury Okręgowej w Jeleniej Górze.

Sprawa jest pokłosiem kontroli przeprowadzonej przez Centralne Biuro Antykorupcyjne, które w 2019 roku zawiadomiło prokuraturę o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez posła Sławomira Neumanna.

– Nieprawidłowości, które wyjaśnia prokuratura, miały dotyczyć m.in. nieujawnienia przez posła składników jego majątku: samochodu, obciążeń finansowych w postaci kredytu. Wyjaśniane są także rozbieżności w rozliczeniach finansowych z dotacji, która była przeznaczona na prowadzenie biura poselskiego. W ramach tego śledztwa są prowadzone czynności dowodowe, gromadzona dokumentacja, przesłuchiwani są świadkowie – mówi prok. Czułowski.

Samochód, podróże, prezenty

Sprawa nieprawidłowości oświadczeń majątkowych posła Neumanna wyszła na jaw w trakcie innego śledztwa – dotyczyło ono działań byłego szefa klubu PO w sprawie prywatnej kliniki okulistycznej w czasie, gdy był on sekretarzem stanu w Ministerstwie Zdrowia.

Kontrola Centralnego Biura Antykorupcyjnego dotyczyła prawdziwości i prawidłowości oświadczeń o stanie majątkowym z lat 2013–2018 składanych przez Sławomira Neumanna jako posła i jako wiceministra zdrowia. Trwała ona od września 2018 do czerwca 2019 roku. Po kontroli CBA okazało się, że Sławomir Neumann nie wpisał do oświadczenia majątkowego samochodu kupionego przez żonę za 49 tys. zł (Mazdy 3 z 2014 roku), a według złożonego oświadczenia nie mieli wystarczających środków na taki zakup. Według CBA w niejasnych okolicznościach spłacane było zadłużenie na kartach kredytowych, zaś dotacje przeznaczone na działalność biura poselskiego miały być traktowane jako dodatkowy dochód.

Według naszych ustaleń, CBA zgromadziło dokumentację świadczącą o tym, że pieniądze były wydawane na luksusowe

FOT. MARCIN GADOMSKI/PAP

EKSTRA KASA

CBA ustaliło, że dotacje przeznaczone na działalność biura poselskiego Neumanna miały być traktowane jako dodatkowy dochód i – według naszych ustaleń – wydawane na luksusowe alkohole, drogie perfumy czy egzotyczne podróże.

alkohole, drogie perfumy czy egzotyczne podróże. Intensyfikacja wydatków następowała m.in. przed świętami Bożego Narodzenia – pieniędzmi z konta poselskiego, które były przeznaczone na działalność poselską (m.in. funkcjonowanie biura), płacono za zakup luksusowych towarów czy wspomniane wyżej wyjazdy zagraniczne do egzotycznych krajów.

Po ujawnieniu nieprawidłowości Sławomir Neumann wysłał do Polskiej Agencji Prasowej oświadczenie, w którym stwierdził, że „zawiadomienie złożone przez CBA do prokuratury, w związku z moim oświadczeniem majątkowym, traktuję jako czysto polityczną sprawę", dodając, że „nie wyklucza wstąpienia na drogę sądową".

Mimo pozornego wygaszania aktywności „na pierwszej linii" Sławomir Neumann w dalszym ciągu ma ogromne wpływy w pomorskiej Platformie.

Kontakty w biznesie

W październiku minionego roku TVP Info opublikowało nagrania ze spotkania w 2017 roku Sławomira Neumanna z aktywem partyjnym w Tczewie, które odsłoniły kulisy brutalnej politycznej gry wewnątrz PO – na nagraniu zarejestrowano także tzw. doktrynę Neumanna: „Jeśli będziesz w Platformie, będę cię, k***a, bronił jak niepodległości", „w Tczewie są same p***eby, rzygam Tczewem", „KOD jest niczym, to żadna siła, przybudówka" – mówił szef klubu PO-KO Sławomir Neumann w kuluarowych rozmowach partyjnych.

Po publikacji nagrań rozpętała się burza, która doprowadziła do dymisji – 6 października 2019 roku Naumann zrezygnował z funkcji przewodniczącego klubu parlamentarnego PO-KO.

Byli działacze partyjni PO wskazują, że mimo pozornego wygaszania aktywności „na pierwszej linii", Sławomir Neumann w dalszym ciągu ma ogromne wpływy w pomorskiej Platformie, zwłaszcza w swoim rodzinnym mieście, czyli Starogardzie Gdańskim. Wśród wspierających go osób są lokalni biznesmeni, którzy mają bardzo silne lokalne (i nie tylko) wpływy, a zażyłe kontakty datują się od wielu lat, konkretnie od 1994 roku, kiedy

to Sławomir Neumann związał się z samorządem w Starogardzie Gdańskim: był m.in. radnym i członkiem Zarządu Miasta, zaś w latach 2002–2007 pełnił funkcję radnego powiatu i starosty starogardzkiego. Jednocześnie był zapalonym piłkarzem – o swojej sportowej pasji mówił wielokrotnie.

Ustaliliśmy, że Sławomir Neumann zna się doskonale m.in. z lokalnym potentatem z branży deweloperskо-budowlanej Mariuszem Szwarcem, wiceprezesem Starogardzkiego Klubu Biznesu – od jego firmy jest wynajmowany lokal na biuro poselskie Neumanna. Zdaniem naszych rozmówców niemal cały Klub Biznesu jest zaprzyjaźniony z Neumannem, który nie afiszuje się publicznie tymi znajomościami. Część lokalnych przedsiębiorców to wyborcy Platformy Obywatelskiej, wspierający ugrupowanie Neumanna także wpłatami na fundusz wyborczy.

Oskarżony

W grudniu ubiegłego roku do Sądu Okręgowego w Warszawie został skierowany akt oskarżenia przeciwko Sławomirowi Neumannowi oraz Adamowi T. dotyczący nieprawidłowości, do jakich dochodziło w latach 2012–2014 przy kontraktowaniu usług medycznych z zakresu okulistyki w Mazowieckim Oddziale Funduszu Zdrowia pod koniec 2013 roku. Sławomir Neumann, wówczas sekretarz stanu w Ministerstwie Zdrowia, nadzorował NFZ.

– Gdy okazało się, że klinika wykonująca zabiegi okulistyczne pobiera nienależne opłaty, NFZ wypowiedział jej umowę, a wiceminister Neumann podjął szereg czynności zmierzających do przywrócenia kontraktu z tą kliniką – mówi nam prokurator Tomasz Czułowski.

Kontrakt został przywrócony – w trakcie śledztwa okazało się, że naciskom wiceministra Neumanna uległ Adam T., który jako dyrektor Mazowieckiego Oddziału NFZ, wbrew przepisom, zawarł 31 grudnia 2013 roku z warszawską kliniką Sensor Clinic aneks do umowy o świadczenie opieki zdrowotnej w zakresie okulistyki. Aneks został zawarty z datą wsteczną, od 21 grudnia 2013 roku, gdy dobiegała końca wypowiedziana umowa. Przedłużał do końca 2014 roku okres obowiązywania kontraktu. W rezultacie prokuratorskiego śledztwa zarzuty usłyszeli Adam T. oraz poseł Sławomir Neumann – według śledczych w wyniku działań posła PO jako wiceministra zdrowia nastąpiło osiągnięcie korzyści majątkowych w wysokości 13,5 mln złotych przez warszawską klinikę medyczną Sensor Clinic, która bezprawnie pobierała od pacjentów opłaty za zabiegi finansowane przez NFZ.

W akcie oskarżenia znalazły się bardzo mocne dowody potwierdzające działania Sławomira Neumanna na rzecz Sensor Clinic. Jako wiceminister zdrowia żądał on m.in. wyjaśnienia od podległych mu jednostek, dlaczego umowa z prywatną kliniką została wypowiedziana – są na to dowody w postaci licznych pism oraz zeznań świadków. Jednym z kluczowych dowodów jest podpisane przez niego pismo zawierające interpretację dotyczącą nadzoru ministra zdrowia nad NFZ. Okazało się, że ta interpretacja została dokonana w ciągu jednego dnia na wniosek pełnomocnika Sensor Clinic. Jakby tego było mało, zawierała bardzo poważne wady prawne: jednoznacznie wskazywała, co ma zrobić dyrektor Mazowieckiego Oddziału Wojewódzkiego Narodowego Funduszu Zdrowia, który – według przepisów – był samodzielny w swoich decyzjach dotyczących tego, z kim zawiera umowy na świadczenie usług medycznych.

FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

Odnosząc się do doniesień na temat działania Sławomira Neumanna na rzecz Sensor Clinic, ówczesny premier Donald Tusk brał w obronę wiceministra zdrowia.

Interwencja Tuska

Sprawa przez dłuższy czas nie mogła się zakończyć – w śledztwie nie chciała zeznawać prawniczka doradzająca klinice, mecenas Paulina Kieszkowska-Knapik, prywatnie żona czołowego dziennikarza TVN24 Macieja Knapika. Ostatecznie sąd zwolnił ją z tajemnicy i przesłuchanie było możliwe.

Cała sprawa zaczęła się jeszcze za czasów rządów PO-PSL. 5 marca 2014 roku w tygodniku „Wprost" ukazał się tekst Michała Majewskiego pt. „Premier chroni lobbystę w rządzie". Dziennikarz zajął się sprawą Sensor Cliniq i kontaktami mecenas Kieszkowskiej-Knapik z wiceministrem zdrowia Sławomirem Neumannem.

„Spytaliśmy Neumanna, ile razy i gdzie spotykał się z prawniczką reprezentującą Sensora. Zadaliśmy też pytanie, jak często kontaktował się w zeszłym roku z Pauliną Kieszkowską-Knapik. Odpowiedzi ministra nie są precyzyjne, ale przyznaje on, że prawniczka była na spotkaniu w Ministerstwie »w sprawie skargi na działania NFZ w imieniu swojego klienta Sensor Cliniq«. Kiedy, z kim się spotkała? Te kwestie Neumann w odpowiedzi pomija. Ile razy Neumann w zeszłym roku rozmawiał przez telefon ze wspomnianą prawniczką? Czy kontaktował się z nią SMS-owo? Znów odpowiedź mało konkretna. W odpowiedziach wysłanych do redakcji Neumann pisze: »Telefony dotyczyły wyłącznie spraw służbowych i przedstawiały stanowisko pani mecenas Kieszkowskiej-Knapik w sprawach, w których występowała do Ministerstwa Zdrowia (głównie propozycje do zmian założeń ustawy refundacyjnej)«. 20 grudnia korzystne dla Sensora pismo Neumanna, będące odpowiedzią na interwencje Kieszkowskiej, wylądowało na biurku szefowej NFZ (Agnieszki Pachciarz – red.). Pachciarz zrobiła na nim adnotację, że jej zdaniem przedstawiona przez wiceministra argumentacja jest niezgodna z prawem. (…) Okazało się jednak, że nie ma sytuacji bez wyjścia. Tego samego dnia, czyli 20 grudnia, szefowa NFZ Agnieszka Pachciarz została zwolniona z pracy" – czytamy w tekście Majewskiego.

Po opisaniu przez tygodnik „Wprost" afery z Sensor Clinic (było na ten temat kilka publikacji), mecenas Kierzkowska-Knapik udzieliła obszernego wywiadu „Rzeczpospolitej". „Wnioskowałam, by minister Sławomir Neumann stwierdził nieważność wypowiedzenia, które moim zdaniem było dyskryminujące wobec szpitala i jego pacjentów. Minister tego nie zrobił" – mówiła w „Rz".

W obronę wziął Neumanna ówczesny premier, czyli Donald Tusk. „Minister Neumann realizował zalecenia rządu, by ustabilizować warunki w placówkach współpracujących z NFZ. Jeśli ubocznym efektem działania na rzecz podpisania kontraktów były nieuzasadnione korzyści placówek, to to sprawdzimy, ale nic nie wskazuje na to, że taka była intencja wiceministra Neumana" – mówił podczas konferencji prasowej premier Donald Tusk.

Po publikacji tygodnika „Wprost" sprawa trafiła do prokuratury, która podjęła decyzję o umorzeniu. Jak się jednak później okazało, w ponownym śledztwie zgromadzono wystarczające dowody na postawienie zarzutów.

Aktualnie Sławomir Neumann nie zajmuje eksponowanych funkcji w KO, poza tym, że jest wiceprzewodniczącym... parlamentarnego zespołu ds. naprawy Rzeczypospolitej. Na czele zespołu stoi Joanna Kluzik-Rostkowska, zaś członkami są wyłącznie politycy Koalicji Obywatelskiej. **GP**

AlbiClub
„Gazety Polskiej"
Albicla.com

ALBICLA.COM RUSZYŁA!
PRZYŁĄCZ SIĘ DO NAS

Prezydent Andrzej Duda, Ministerstwo Obrony Narodowej, media (nie tylko prawicowe), znani politycy i publicyści, dziennikarze Strefy Wolnego Słowa – w serwisie Albicla.com jest coraz więcej znanych nazwisk. A na stronie pojawiają się coraz to nowe funkcjonalności.

W samym serwisie aktywowano już automatyczne powiadomienia o zaproszeniach do znajomych, jest też możliwość odpowiadania na komentarze, a w najbliższym czasie twórcy Albikli będą uruchamiać nowe udogodnienia. Na stronie zarejestrowano już kilkadziesiąt tysięcy kont, a użytkowników wciąż przybywa.

26 stycznia oficjalne konto na portalu Albicla.com założył prezydent Andrzej Duda. Wcześniej na portalu utworzyli profile m.in. wicepremier Piotr Gliński, Ryszard Czarnecki, Antoni Macierewicz, Marcin Horała, Dominik Tarczyński i Sebastian Kaleta.

W ostatnich dniach pojawiło się też Ministerstwo Obrony Narodowej, są kluby „Gazety Polskiej", a także konta rozmaitych mediów, w tym Onet.pl i Bartosza Węglarczyka. Ciekawie zapowiada się aktywność w serwisie satyryka Marcina Wolskiego, który w Albikli zamieszcza krótkie filmiki ze swoją humorystyczną twórczością. – Od 30 lat jestem współpracownikiem „Gazety Polskiej", piszę do wszystkich jej mediów, więc jest to naturalne, że założyłem konto na portalu Albicla. Do tego dochodzi perspektywa, że ta wolność może się skurczyć, a powstaje jakaś taka tratwa ratunkowa – podkreśla Marcin Wolski.

Europoseł Ryszard Czarnecki właśnie na Albikli poinformował o najnowszych obostrzeniach transportowych w Belgii, wpisy na temat bieżących wydarzeń regularnie zamieszcza też Katarzyna Gójska – wicenaczelna „GP" i szefowa miesięcznika „Nowe Państwo".

W naszym tygodniku w stałej rubryce „AlbiClub" będziemy regularnie informować o najciekawszych wydarzeniach i postach w serwisie. Nie czekaj! Załóż konto i poszerzaj z nami strefę wolnego słowa – bez ideologicznej cenzury globalnych korporacji.

albicla.com/GrzegorzWierzcholowski

Piotr
Nisztor
albicla.com/PNisztor

COCOMO ZE STRIPTIZEM U WICEPREZESA PZPN

FLORIAŃSKA 6 W KRAKOWIE I PROTESTY PROBOSZCZA BAZYLIKI MARIACKIEJ

49-letni Marek Koźmiński, były piłkarz reprezentacji Polski, grający m.in. w Udinese Calcio i Brescii, od jesieni 2012 roku wiceprezes Polskiego Związku Piłki Nożnej (PZPN), uchodzi za sprawnego biznesmena, który skutecznie zamienił piłkarski dres na elegancki garnitur. Dziś jest jednym z faworytów do objęcia po Zbigniewie Bońku fotela prezesa PZPN (wybory zaplanowano na sierpień br.). W ubiegłym tygodniu „Gazeta Polska" ujawniła jednak, że jego główny biznes – skupująca nieruchomości spółka Eurostar Real Estate – zbankrutował trzy lata temu, pozostawiając ponad 154,5 mln zł długów. Z kolei cały czas perłą w biznesowej koronie Koźmińskiego pozostaje zabytkowa kamienica przy ul. Floriańskiej 6 w Krakowie. Udziały w niej posiada nie tylko wiceprezes PZPN, ale również m.in. jego żona, dwóch synów, a także kierowana przez niego spółka. Jednak z ustaleń „Gazety Polskiej" wynika,

W zabytkowej krakowskiej kamienicy, której współwłaścicielem wraz z rodziną jest Marek Koźmiński, działały okryte złą sławą kluby ze striptizem. Nie tylko nabijano tam klientom astronomiczne rachunki, lecz także nagrywano ukrytymi kamerami.

że w kamienicy Koźmińskiego mieściły się okryte złą sławą nocne kluby, m.in. nieistniejący już Cocomo, w którym nie tylko nabijano klientom astronomiczne rachunki, ale również nagrywano ich ukrytymi kamerami. Ile wiceprezes PZPN zarabiał na wynajmie powierzchni pod tę kontrowersyjną działalność? Nie wiadomo. Koźmiński odmówił ujawnienia szczegółów z tym związanych. „GP" przyjrzała się jednak, w jaki sposób wiceprezes PZPN przejmował zabytkową nieruchomość.

Konsultant SB sprzedaje udziały

Ulica Floriańska 6 to jeden z najbardziej prestiżowych adresów w Krakowie. To tam, tuż przy głównym rynku Starego Miasta, mieści się wybudowana w latach 30. XIX wieku „Kamienica pod okiem Opatrzności". Budynek, podobnie jak okoliczne nieruchomości, jest wpisany do rejestru zabytków. Z ustaleń „GP" wynika, że Marek Koźmiński wraz z żoną Joanną 7 lutego 2006 roku stali się współwłaścicielami tej kamienicy. Udziały odkupili od Andrzeja Cz. i jego syna Macieja. Koźmiński w piśmie do „GP" przyznał, że do zainwestowania w zabytkową kamienicę namówiła go znajoma – Margalit Rozenbuch. Ta nieżyjąca już dziś kobieta specjalizowała się w handlu nieruchomościami, szczególnie w Małopolsce. Swoje biura prowadziła m.in. w Tel-Avivie i Nowym Jorku. To właśnie najprawdopodobniej Rozenbuch – jak twierdzą informatorzy „GP" – pomagała Andrzejowi Cz. i jego synowi przejmować udziały w kamienicy przy Floriańskiej 6. Tajemnic w tej sprawie jest jednak więcej. Z ustaleń „GP" wynika, że Andrzej Cz. w 1986 roku został zarejestrowany przez krakowską SB jako konsultant o pseudonimie „Jan". W tym czasie funkcjonariuszem tamtejszej bezpieki był Marek Chmielowiec, teść Koźmińskiego, od lat zarządzający jego interesami (więcej czytaj w ramce). „Nie wiedziałem, że [Cz.] kiedykolwiek współpracował z SB czy działał w innych organizacjach pod jakimś pseudonimem. Nie miałoby to żadnego znaczenia przy podjęciu decyzji o zakupie tej nieruchomości. Pana Cz. nie znałem wcześniej i nie miałem z nim po transakcji nabycia od niego udziałów w kamienicy przy Floriańskiej 6 żadnych kontaktów prywatnych ani biznesowych" – oświadczył Koźmiński. Zaznaczył również, że jego teść nie brał żadnego udziału w transakcjach związanych z nabywaniem udziałów w tej kamienicy. Czy jednak Chmielowiec kiedykolwiek poznał Andrzeja Cz.? Nie wiadomo. Ani teść Koźmińskiego, ani Andrzej Cz. nie odpowiedzieli na przesłane przez „GP" pytania.

Do prokuratur w całej Polsce zaczęli zgłaszać się poszkodowani bywalcy Cocomo, głównie obcokrajowcy.

Biznes z Honorowym Konsulem Włoch

Już cztery miesiące po pierwszej transakcji – 5 czerwca 2006 roku – Koźmiński wraz z żoną dokupili kolejne udziały w kamienicy. Tym razem od Elżbiety i Jarosława M. To nie był jednak koniec. 17 października 2013 roku kierowana przez Koźmińskiego – będąca jeszcze w organizacji – spółka MG2 podpisała umowę przedwstępną nabycia udziałów w kamienicy od Anny P. Z Krajowego Rejestru Sądowego wynika, że wiceprezes PZPN od początku był nie tylko szefem tej firmy, ale również jej współwłaścicielem. Oprócz niego udziały w niej posiada też do dziś spółka Junior Estate z Zielonej Góry. Podmiot ten należy do Gulio Piantiniego, biznesmena, Konsula Honorowego Włoch w Polsce, prywatnie wieloletniego znajomego i partnera w interesach wiceprezesa PZPN. „Poznałem [go] kilkanaście lat temu. Współpracowaliśmy przy kilku tematach nieruchomościowych. Do dzisiaj utrzymujemy ze sobą towarzyskie kontakty" – przyznał Koźmiński.

Ostatecznie spółka MG2 nabyła udziały od Anny P. 28 marca 2014 roku. Z kolei dwa miesiące później (dokładnie 30 maja 2014 roku) ta kierowana przez Koźmińskiego firma przeprowadziła kolejną transakcję. Tym razem odkupiła udziały w kamienicy przy Floriańskiej 6 od rodziny Dańdów. Zenon Dańda to znany krakowski biznesmen, właściciel Parku Rozrywki i Miniatur Sabat Krajno, położonego niedaleko Kielc. „GP" zapytała go o kulisy sprzedaży udziałów spółce Koźmińskiego. Nie odpowiedział.

Z księgi wieczystej wynika, że po tej transakcji na liście udziałowców kamienicy oprócz wiceprezesa PZPN, jego żony oraz spółki MG2 figurowały jeszcze tylko dwie osoby fizyczne: Allan D. i Andrzej M. Zresztą do

GAZETA POLSKA

dziś pozostają oni współwłaścicielami tej nieruchomości. Koźmiński nie chciał ujawnić, ile zapłacił za nabywane kolejno udziały w tej zabytkowej, krakowskiej kamienicy. Zasłonił się tajemnicą handlową.

Rozmowa duszpasterska z Koźmińskim

Wiosną 2014 roku, gdy Koźmiński przejmował od rodziny Dańdów udziały w nieruchomości przy ul. Floriańskiej 6, duże kontrowersje zaczął budzić działający tam nocny klub Cocomo. Lokale pod tą nazwą funkcjonowały w największych miastach Polski. W sumie było ich ponad 20. Kontrolowała je firma Jana Sz. Szybko okazało się, że klienci klubu płacą astronomiczne rachunki od kilku do nawet kilkuset tysięcy złotych (rekordowy opiewał na blisko milion złotych), zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy. Do prokuratur w całej Polsce zaczęli zgłaszać się poszkodowani bywalcy Cocomo, głównie obcokrajowcy. Ich wersja wydarzeń była niemal identyczna. Zeznawali, że podczas pobytu w lokalu tracili świadomość (prawdopodobnie po podaniu pigułki gwałtu), dopiero następnego dnia orientując się, ile faktycznie kosztowała ich zabawa w klubie. Takie zawiadomienia napływały też do krakowskich śledczych. Przeciwko działalności nocnego klubu mieszczącego się przy Floriańskiej 6 protestował też ks. Dariusz Raś, proboszcz znajdującej się niemal tuż obok Bazyliki Mariackiej. – Sprawa barów całonocnych i miejsc im podobnych o wątpliwej renomie była i jest problemem całego Starego Miasta w Krakowie. To problem społeczny – powiedział ks. Raś. – Ktoś mi mówił, że właścicielem kamienicy, w której działał ten klub [Cocomo – aut.] jest chyba pan Koźmiński, ja tego nie sprawdzałem. Nie mogę pytać o plotki dotyczące moich parafian. Jednak teraz w rozmowie duszpasterskiej z p. Koźmińskim podniosę tę problematykę. On jest naszym parafianinem – podkreślił proboszcz krakowskiej Bazyliki Mariackiej.

Darowizna dla synów

Na początku września 2014 roku kluby Cocomo zostały zamknięte w całym kraju. Nie przestały jednak działać. Zmieniły

tylko nazwę. Ten w kamienicy Koźmińskiego funkcjonował jako klub „Pleasure". Kilka miesięcy później, w grudniu 2014 roku, wkroczyli tam krakowscy śledczy. Odkryli system ukrytych kamer, który nagrywał klientów klubu. Ostatecznie udało im się oskarżyć właściciela sieci Cocomo o… niezapłacenie w terminie 3,6 mln zł podatków. Jan Sz. poddał się dobrowolnie karze. Musiał zapłacić 55 tys. zł grzywny.

„GP" zapytała Koźmińskiego o okoliczności wynajmu pomieszczeń w jego kamienicy na wątpliwą działalność klubu ze striptizem, a także przychody z tego tytułu. „Niestety, o warunkach, na jakich udostępniam możliwość korzystania z moich udziałów w nieruchomości innym podmiotom, nie mogę napisać, albowiem stanowi to element zawartych umów, objęty tajemnicą handlową" – uciął pytania „GP" wiceprezes PZPN. Zaznaczył również, że kamienicę przy Floriańskiej powierzył do zarządzania swoim dwóm synom. „Nie ingeruję w sposób nadmierny w ich plany biznesowe, jeżeli już, to z głosem doradczym. Obecnie z żoną posiadamy niewielki udział w przedmiotowej kamienicy, reszta dawniej nabytych przeze mnie udziałów jest zarządzana i kontrolowana przez naszych synów i oni podejmują decyzje co do tego projektu" – podkreślił Koźmiński. Jak wynika z zapisów księgi wieczystej, jego dwaj synowie otrzymali udziały w zabytkowej nieruchomości w formie darowizny w październiku 2017 roku. **GP**

SB, MILICJA I UOP – KARIERA TEŚCIA WICEPREZESA PZPN

„GP" tydzień temu ujawniła, że od lat interesami Marka Koźmińskiego (na zdj.) zarządza jego teść Marek Chmielowiec, były funkcjonariusz krakowskiej SB. Służbę rozpoczął w 1977 roku. Początkowo służył w Sekcji ds. Hotelowych Wydziału „B". Komórka ta zajmowała się prowadzeniem inwigilacji w hotelach, w tym m.in. zakładaniem tam podsłuchów. W latach 80. trafił do Wydziału III, który zajmował się walką z opozycją antykomunistyczną. 3 maja 1986 roku późniejszy teść wiceprezesa PZPN brał udział w masowych zatrzymaniach przeprowadzonych w związku z patriotyczną manifestacją planowaną po Mszy świętej w Katedrze Wawelskiej. Były one wymierzone w krakowskie podziemie opozycyjne. Za udział w akcji Chmielowiec pod koniec 2014 roku wraz z 16 innymi byłymi funkcjonariuszami SB i MO został oskarżony przez pion śledczy IPN. 15 września 2015 roku sąd umorzył jednak postępowanie z powodu przedawnienia karalności zarzutów.
W styczniu 1990 roku Chmielowiec, będąc w stopniu porucznika, zdążył przenieść się z bezpieki do milicji (trafił do Wydziału ds. przestępczości gospodarczej Dzielnicowego Urzędu Spraw Wewnętrznych Kraków-Krowodrza). Weryfikacja SB jednak go nie ominęła. Wojewódzka Komisja Kwalifikacyjna w Krakowie zweryfikowała go negatywnie. Chmielowiec odwołał się jednak do Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej. Negatywna opinia została anulowana, a teść wiceprezesa PZPN rozpoczął służbę w krakowskiej delegaturze powstałego na zgliszczach SB Urzędu Ochrony Państwa.

{ KRÓTKO I NA TEMAT }

FELIETON

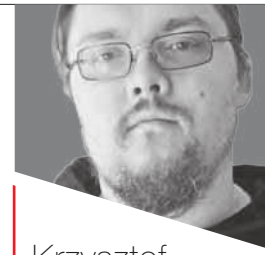

Krzysztof **Karnkowski**

OSTATNI TAKI **PAPCIO**

Zgodnie z moimi wcześniejszymi przewidywaniami wraz z końcem 2020 roku wcale nie przestali umierać ludzie dla wielu ważni i przez wielu kochani. Jedną z większych strat polskiej kultury, a może nawet tożsamości, przynajmniej dla kilku pokoleń, jaką już przyniósł rok 2021, jest śmierć Henryka Jerzego Chmielewskiego. „Papcio Chmiel", autor przygód Tytusa, Romka i A'tomka, opuścił nas w pięknym wieku 97 lat. Oczywiście lista osób, które kształtowały pokolenia, nim wzięły się za to gwiazdy streamingów i social mediów, zawsze będzie subiektywna i gdy jeden autorytatywnie takową ogłosi, inny oburzy się, domagając się zupełnie innych nazwisk. Myślę jednak, że co do „Papcia" przynajmniej wobec wychowanków lat 70. z przyległościami udałoby się wypracować pewien kompromis. Sam – jako urodzony za „późnego Gierka" – fanem Tytusa też jestem raczej późnym, załapałem się jednak na premiery najbardziej szalonych i kolorowych zeszytów, w których wyobraźnia autora i bohaterów wygrywała już z cenzurą i partyjno-harcerskim sztywniactwem. Pierwszy komiks znalazłem na pobliskim śmietniku i czytałem, nie wiedząc nawet, co czytam, ponieważ brakowało kilku początkowych kartek. Po kolejne jeździłem już do księgarni Młodzieżowej Agencji Wydawniczej na ulicy Wilczej, gdzie bynajmniej nie było łatwo o sztandarowy produkt wydawnictwa. „Papcio" przeżył komunę, Młodzieżową Agencję Wydawniczą i drukujący go „Świat Młodych", przeżył też młodszych od siebie Janusza Christę i Edmunda Niziurskiego, którzy uzupełniliby listę twórców pokoleniowych według dr. Karnkowskiego. Z Christą łączył go głównie gatunek, z Niziurskim skłonność do farsy i absurdu, z obydwoma obecność na listach lektur kolejnych roczników i tworzenie dla młodzieży (choć Niziurski pisał też dla dorosłych). Teraz wspominać będziemy już wszystkich trzech, każdy zajął swoje, godne miejsce w pamięci i historii. I póki żyjemy, nie pokryją się kurzem na półkach.

{ PAN JACEK DLA CIEBIE }

FELIETON

Jacek **Liziniewicz**

OŁOWIANY **ZAPAŁ**

Patrząc na to, czym zajmują się urzędnicy Unii Europejskiej, można dojść do wniosku, że kryzys gospodarczy na naszym kontynencie nie jest jednak bardzo poważny. W czasie gdy umierają ludzie, mamy kłopoty ze szczepionkami i biznesem, technokraci z Komisji Europejskiej postanowili rozwiązać problem… ołowianego śrutu. UE generalnie chce go zakazać, bo ponoć jest szkodliwy, szczególnie na obszarach wodno-błotnych. Myśliwy strzela. Śrut ląduje w wodzie i czasem jest połykany przez ptaki. Tak może trafić z powrotem do myśliwego albo do jego rodziny. Ludzkość używa ołowiu od jakichś 7 tys. lat, a z kulek z tym metalem korzystamy od momentu, gdy wynaleziono broń, ale widocznie teraz nastał czas, by problem rozwiązać i ochronić obszary wodno-błotne. UE ruszyła z właściwym sobie radykalizmem i od 2023 roku za przestępcę może zostać uznany każdy, kto chociażby zbliży się z nabojem ołowianym do wody. Nie wierzą Państwo? To proszę przeczytać zapis rozporządzenia z 25 stycznia. „(...) Jeżeli stwierdza się, że dana osoba nosi amunicję śrutową na obszarach wodno-błotnych lub w obrębie 100 metrów od nich podczas strzelania lub w drodze na strzelanie, dane strzelanie uznaje się za strzelanie na obszarach wodno-błotnych, chyba że osoba ta może wykazać, iż jest to inny rodzaj strzelania" – piszą urzędnicy UE. Patrząc na język, to aż trudno uwierzyć nie tylko w to, że Europa miała w historii tak wielu świetnych humanistów, lecz także że istnieje jakikolwiek system edukacji. Trzeba być bowiem wyjątkowym analfabetą, żeby stworzyć takie pokraczne zdanie. W każdym razie taki myśliwy, który mieszka 100 metrów od obszaru wodno-błotnego (czasem tak się zdarza), nie będzie się mógł nawet przespacerować po dużym pokoju z ołowianą bronią. Wydaje się, że do rozwiązania pozostaje również kwestia ołowianych żołnierzyków. Te przecież można wzorem bohatera filmu „Patriota", granego przez Mela Gibsona, zawsze przetopić na kulę. Aż się boję pomyśleć o bełkocie, który mógłby się w wyniku tego pojawić.

Rozmawia
Tomasz
Sakiewicz
albicla.com/TomaszSakiewicz

KONIEC Z NIEMOCĄ W MSZ

ROZMOWA Z MINISTREM ZBIGNIEWEM RAUEM

FOT. PAP/ALBERT ZAWADA

Ambasador ma realizować politykę państwa polskiego w państwie przyjmującym w sposób określony przez daną formację rządzącą. Jeśli natomiast uznawano, że zwieńczeniem kariery urzędnika będzie nominacja polityczna, to miał wystarczająco dużo motywacji, by zachowywać się politycznie. W tej sytuacji trudno było więc mówić o etosie urzędniczym, etosie służby zagranicznej, etosie dyplomatycznym – mówi minister spraw zagranicznych **ZBIGNIEW RAU.**

MOŻLIWOŚCI

Obok seminarium dyplomatycznego i aplikacji dyplomatycznej ustawa przewiduje jeszcze inną drogę do kariery dyplomatycznej. Jest ona otwarta dla tych, którzy zdobyli doświadczenie międzynarodowe w biznesie, instytucjach międzynarodowych, think tankach, nauce, polityce.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych zaczęło się reformować. Jest nowa ustawa o służbie zagranicznej. To tylko poprawianie wcześniejszych rozwiązań czy dalej idące zmiany?

Jestem absolutnie przekonany, że zmiany muszą być fundamentalne, systemowe i jednoznaczne. Z tym przekonaniem przystępowałem do prac nad ustawą. Zasadniczą kwestią jest oddzielenie elementu politycznego od urzędniczego. Tutaj resort w sposób widoczny, a nawet bardzo wyrazisty, odstawał od reszty administracji rządowej. Podstawowe założenie funkcjonowania administracji rządowej sprowadza się do tego, że w państwie demokratycznym większość parlamentarna powołuje swój rząd. Ma on realizować wolę wyborców we władzy wykonawczej. Zatem do każdego ministerstwa wchodzi minister, wiceministrowie. To są ludzie odpowiedzialni za realizację politycznego mandatu w danym resorcie. Jednocześnie w ministerstwie mamy setki, a czasem nawet tysiące urzędników, którzy mają te same kompetencje, te same zadania niezależnie od konstelacji politycznej wyłonionej w wyborach. Zatem są to eksperci, ludzie z doświadczeniem zawodowym, wiedzą fachową. Mają służyć państwu niezależnie od tego, kto formułuje rząd i czyja wola polityczna jest realizowana w tym ministerstwie. Aby ci urzędnicy najbardziej merytorycznie, najbardziej skutecznie wspierali polityków w resorcie, muszą być apolityczni. To rzecz oczywista. Dlatego mamy w każdym resorcie korpus służby cywilnej, a więc urzędników, którzy mają swoje przywileje w zamian za apolityczny charakter ich pracy. Tego właśnie faktycznie nie było w resorcie spraw zagranicznych.

Pracowali w nim ludzie zaczynający jeszcze w czasach Edwarda Gierka.

Reminiscencje PRL-u były tu szczególnie widoczne. Nikt dzisiaj, niezależnie od formacji, z której się wywodzi, nie powie, że w państwie komunistycznym istniało jakiekolwiek rozdzielenie czynnika urzędniczego od politycznego. Mieliśmy przecież kierowniczą rolę partii i nikt nie był w stanie rozdzielić struktur partyjnych od państwowych. Nie można było oddzielić tych komponentów. Ta niemożność była szczególnie uciążliwa w MSZ.

Myślę, że chodziło nie tylko o partię. Przynależność do partii była jawna. Dużym problemem były również komunistyczne służby.

Wiadomo, że są resorty bardziej nasycone służbami, inne mniej, ze względów czysto funkcjonalnych. W tym ministerstwie, mimo pewnych prób korekty, tego rozdzielenia po prostu nie było. Nie istniały bowiem jasne kryteria apolityczności, kryteria sukcesu i awansu. Z tego środowiska wywodzili się ambasadorowie, którzy pełnią przecież stricte polityczne stanowiska. Ambasador ma realizować politykę państwa polskiego w państwie przyjmującym w sposób określony przez daną formację rządzącą. Jeśli natomiast uznawano, że zwieńczeniem kariery urzędnika będzie nominacja polityczna, to miał on wystarczająco dużo motywacji, by zachowywać się politycznie. W tej sytuacji trudno było więc mówić o etosie urzędniczym, etosie służby zagranicznej, etosie dyplomatycznym.

Reforma ma na celu wprowadzenie jasnego rozróżnienia polityczności i apolityczności. Niestety nie wszyscy to rozumieją. Ze strony opozycji padały pozornie merytoryczne zarzuty, chociażby taki, że ambasador jest apolityczny tak jak sędzia, a obydwu powołuje prezydent RP. To prawda, gdy chodzi o sposób samego powołania, ale porównanie między sędziami a ambasadorami nie ma sensu, bo sędzia jest powołany po to, żeby był niezawisły. Ma wiele zabezpieczeń ustawowych, które umożliwiają mu niezawisłe orzekanie. To nie jest stanowisko polityczne. A funkcja ambasadora jest polityczna z istoty rzeczy. Dostaje on polityczne instrukcje. Co więcej, zgodnie z tą ustawą ambasador jest odpowiedzialny przed ministrem, a nie przed urzędnikami. Nawet krytycy podkreślają, że do tej pory specyfika resortu polegała na tym, że jeśli ambasador był „spoza gmachu", trochę nie należał do „swoich", nie pasował towarzysko czy politycznie, nie był częścią większej całości, to urzędnicy „z gmachu" znajdowali sposób, żeby go sobie podporządkować.

Czyli nie dopuścić ludzi z zewnątrz.

A jeśli dopuścić, to później odrzucić albo przeciągnąć na swoją stronę. Zdarzało się, że ambasadorowi powierzano również funkcję szefa administracyjno-finansowego placówki, a przecież ten człowiek nie musiał mieć kompetencji, by wykonywać takie zadania. Jeżeli

był odpowiedzialny za inwestycje, przetargi, zachowanie dyscypliny finansowej, przestrzeganie prawa pracy, to łatwo było o potknięcie, popełnienie błędu. Z tego powodu możliwe było uzależnienie go od siebie czy odrzucenie. Wprowadziliśmy rozwiązania ustawowe, które uniemożliwiają takie praktyki. Z całości ustawy wynika także, że to nie urzędnik ocenia ambasadora, lecz ambasador będzie mógł oceniać urzędnika, sprawdzać, czy swoją wiedzą, doświadczeniem wspiera go w wymaganym zakresie. Przywracamy podstawowe reguły służby cywilnej w służbie zagranicznej. Panie redaktorze, czy przyszłoby panu do głowy, żeby na przykład w urzędzie wojewódzkim istniała możliwość oceniania wicewojewody przez dyrektora wydziału? Po to jest wojewoda czy wicewojewoda, żeby oczekiwać określonej współpracy na zasadach wskazanych prawem z korpusem służby cywilnej. Dlaczego takie same zasady nie mają obowiązywać w służbie zagranicznej?

To bardzo hermetyczne środowisko.

Rzeczywiście tak. Otwarcie ma polegać na tym, aby młodzi ludzie, którzy zechcą i zostaną merytorycznie zakwalifikowani, po studiach jechali na placówkę. To pozwoli im ocenić, czy chcą związać się z tą pracą. Jeżeli sprawdzą się, wykonując różne czynności urzędnicze, okołourzędnicze, dyplomatyczne, nie posiadając żadnych stopni dyplomatycznych, będą mogli przystąpić do zajęć oferowanych na seminarium dyplomatycznym i potem zdać egzamin dyplomatyczny. Bardzo tego potrzebujemy, bo są wakaty. Ci, którzy są przeciwni temu otwarciu, mówią, że Akademia Dyplomatyczna to jedyne wrota, przez które do dyplomacji wchodzą osoby najbardziej kompetentne. Rzecz jednak w tym, że te wrota to faktycznie ucho igielne, przez które przechodzi rocznie zaledwie od 10 do 20 osób. W ministerstwie i na placówkach pracuje prawie 5 tysięcy osób, a zatem nie jest to imponujący dopływ świeżej krwi. Co więcej, Akademia nadzoruje proces aplikacji dyplomatycznej, która trwa zaledwie rok, a więc trudno mówić o wszechstronnym dyplomatycznym wykształceniu. Wystarczy dla porównania wspomnieć, że aplikacje prawnicze trwają trzy lata, a specjalizacje lekarskie pięć.

Ale obok seminarium dyplomatycznego i aplikacji dyplomatycznej ustawa przewiduje jeszcze inną drogę do kariery dyplomatycznej. Jest ona otwarta dla tych, którzy zdobyli doświadczenie międzynarodowe w biznesie, w instytucjach międzynarodowych, w think tankach, w nauce, w polityce. Tacy ludzie, powiedzmy w wieku trzydziestu, czterdziestu czy nawet pięćdziesięciu lat, mogą się odnaleźć w służbie zagranicznej. Czy powinni oni zaczynać od aplikacji dyplomatycznej jak młodzież bezpośrednio po studiach? Osoby z doświadczeniem szybko nauczą się protokołu. Człowiek z dorobkiem, który rozwinął się w różnych dziedzinach i zdobył uznanie, nauczy się wymaganych zasad. Można więc zaprosić go do tej służby, nadając mu stopień dyplomatyczny stosownie do jego osiągnięć. W procedowanej ustawie dajemy taką możliwość.

Zastała Pana sprawa ambasadora RP w Moskwie. Czy nowe rozwiązania pozwolą zapobiegać sytuacjom, w którym ludzie z fatalną przeszłością pełnią tak ważne funkcje?

Odwołam się do moich wcześniejszych wypowiedzi. W MSZ mamy do czynienia z ludźmi o różnych biografiach, różnych doświadczeniach. Stosujemy do nich dwie płaszczyzny oceny. Jedna to kwestie merytoryczne, doświadczenie dyplomatyczne, wiedza urzędnicza, a druga to sprawa przydatności do wykonywania określonych zadań politycznych. Należy to oddzielić. Ambasador wywodzi się ze środowiska urzędniczego, pełnił w przeszłości funkcję ambasadora w Uzbekistanie. Zna dobrze problematykę Wschodu. W przeszłości dał dowody apolitycznego postępowania.

Dlaczego ten człowiek musiał pojechać do Moskwy?

Nie wymaga tego prawo, ale mamy dobry zwyczaj parlamentarny, którego jestem zwolennikiem, i jestem przekonany, iż będzie on utrzymany pod rządami nowej ustawy. Sprowadza się on do opiniowania kandydatów na ambasadorów przez Komisję Spraw Zagranicznych Sejmu. Zaopiniowaniu takiemu towarzyszy debata na temat zadań kandydata na danej placówce, która ostatecznie prowadzi do głosowania, a więc poparcia lub odrzucenia kandydatury większością głosów. Casus, o którym pan mówi, jest wynikiem poparcia zarówno z szeregów większości koalicyjnej, jak i opozycji w Komisji. Bez tego poparcia nie moglibyśmy wysłać ambasadora.

Jak z punktu widzenia Polski ocenia Pan zmiany, które zaszły w USA? Na ile mają one dla nas znaczenie?

Będzie to przede wszystkim kontynuacja, ponieważ wynika to z konstelacji politycznej, którą określa intensyfikująca się rywalizacja chińsko-amerykańska. To jedna rzecz. Na to nakładają się relacje między Rosją a NATO. NATO uznało, że zagrożeniem militarnym jest Rosja. Geopolityka nie zmienia się, jesteśmy na wschodniej flance NATO. Także dlatego, że jesteśmy tradycyjnym i aksjologicznie wypróbowanym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych niezależnie od tego, kto rządzi w tym państwie.

Czy nowa administracja nie pójdzie w kierunku ideologizacji naszych relacji?

Na pewno ten komponent ideologiczny, który jest właściwy dla części obozu demokratycznego, będzie obecny w polityce zagranicznej. Z tym należy się liczyć. W polityce zagranicznej USA mamy silną potrzebę perspektywy uniwersalistycznej. Zdarza się, że jest to dla nas niezwykle korzystne. W ten sposób myślał prezydent Woodrow Wilson, demokrata, który promował Ligę Narodów, suwerenne państwa. Dzięki temu znaleźliśmy się w 13. artykule jego słynnej deklaracji. Z kolei prezydent Carter rozpoczął uniwersalistyczną kampanię praw człowieka, na której również skorzystaliśmy. To było radykalne powstrzymanie komunistycznej ideologii. Dało szansę na rozkwit opozycji w Polsce. Zrobili to demokraci, którzy byli antykomunistami, wynikało to z ich uniwersalistycznej perspektywy. Należy zakładać, że część obecnych tendencji ideologicznych w Stanach Zjednoczonych przejdzie do polityki międzynarodowej. Nie zmieni to jednak pryncypiów polityki zagranicznej.

Czy sprawa Nawalnego to tylko kwestia praw człowieka czy może początek większych zmian?

Nic nie jest przesądzone, ale nie można wykluczyć drugiego scenariusza. Czas jest ciekawy, ponieważ reakcja na publikacje filmu Nawalnego o posiadłości Putina wskazuje, że w Rosji nie będzie już tak, jak było. Zaczął się proces, który może doprowadzić do głębszych zmian wspieranych przez siły wewnątrz Rosji.

współpraca Hubert Kowalski

POLITYCZNA
kawa
REPUBLIKA
Zaprasza:
Tomasz Sakiewicz
niedziela
w samo południe
12:00
oglądaj również na www.tvrepublika.pl

LEWICOWA **EMPATIA**

Wiemy już, że nie udało się uratować życia Polaka, który przebywał w szpitalu w brytyjskim Plymouth. Walka o życie pana Sławomira rozgrzała opinię publiczną, jednak bezwzględnym przekroczeniem granic była wypowiedź posła Lewicy, znanej przecież z empatycznego podejścia i walki o godność oraz prawa człowieka. Maciej Gdula stwierdził: „To jest sztuczne podtrzymywanie; jeżeli to jest sytuacja naturalna, to postawmy jedzenie obok jego łóżka i zobaczmy, czy będzie w stanie zjeść". Nawet internautom trudno było znaleźć słowa, które byłyby w stanie wyrazić oburzenie. Przypomniano jednak wcześniejsze wypowiedzi o „pochodzeniu" pana Macieja Gduli. Sprawdza się stare powiedzenie: genów nie oszukasz…

ZŁOTE myśli

#Gdula

Człowiek Bóbr
@czlowiek_bobr
Panie @m_gdula – następnym razem jak lewica będzie się domagać możliwości adopcji dla par homoseksualnych, jak rozumiem Pan skomentuje to: „zamknijmy taką parę w sypialni i zobaczymy, czy będą w stanie sobie dziecko zrobić".

Gutab
@BatugWojciech
Poseł Gdula (Lewica) sformułował argument: „postawmy jedzenie obok jego łóżka i zobaczmy, czy będzie w stanie zjeść". Można dodać podobny argument: wrzucić posła do przerębla, jeśli wyjdzie samodzielnie, to znaczy, że ma rację.

Maciej Kożuszek
@Bekartsmekart
Dzisiaj w nocy nastawiłem sobie budzik, żeby dzwonił co pół godziny. Bałem się, że przyjdzie poseł Gdula, postawi jedzenie obok mojego łóżka, ja nie zdążę zareagować i pan poseł stwierdzi, że za dużo już w życiu wycierpiałem.

Michał Jelonek
@MichalJelonek
Słucham prof. @m_gdula mówiącego o Polaku z Wielkiej Brytanii. Jak to jest, że lewica z jednej strony stawia się w roli obrońców słabszych i uciemiężonych, a w kwestii eutanazji i aborcji chcą być oprawcami i nie widzą sprzeczności w głoszonych przez siebie postulatach?

FEMINISTYCZNY REBRANDING

Marta Lempart odsapnęła już po pierwszej fali tzw. strajku kobiet, przeliczyła pokaźną sumkę zebraną za pośrednictwem internetowej zbiórki i znów przystępuje do natarcia. Lempart i jej kompanki postanowiły zaszachować opinię publiczną znienacka, pojawiając się na konferencji prasowej w zielonych chustach. Feministki chciały tym samym nawiązać do proaborcyjnych protestów w Argentynie. Wygląd, bojowe nastroje i odezwy sprawiły, że internauci zaczęli tworzyć przeróbki z liderkami Strajku Kobiet jako… dżihadystkami!

„SKANDAL" Z BIERZMOWANIEM

W ubiegłym tygodniu na twitterowym profilu „Kobiety Lewicy" pojawił się kuriozalny post opisujący „skandaliczną" sytuację niedopuszczenia do bycia chrzestną kobiety, która dwa miesiące wcześniej… dokonała aktu apostazji. Początkowo internauci byli przekonani, że wpis nie jest autentyczny, jednak okazało się inaczej. Jak widać, lewicowa głupota światopoglądowa doprowadziła już do tego, że niektórzy traktują Kościół jak punkt usługowy – klient płaci, klient wymaga…

Rubrykę opracował Krzysztof Kossowski

ON ŻYŁ, CZUŁ, SŁYSZAŁ, PROSIŁ O POMOC

Rozmawia
Hubert Kowalski
albicla.com/HubertKowalski

ROZMOWA Z PROF. JANEM TALAREM

Jeżeli uzbrajamy żołnierzy w broń i dochodzi do zderzenia dwóch przeciwnych wojsk, to pierwszy strzał oddany do przeciwnika zawsze odciska się w świadomości strzelającego. Ale przy setnym pozbawieniu życia człowieka już nie czuć bólu, nie czuć dyskomfortu, nie czuć wyrzutów sumienia. To staje się normą. Leczę chorych w śpiączce od ponad 45 lat. Moi pacjenci wybudzali się i wybudzają z najgorszych stanów. Byli uznawani za nieżyjących – mówi prof. Jan Talar, chirurg i specjalista od rehabilitacji, który zajmuje się wybudzaniem chorych ze śpiączki.

Panie Profesorze, zmarły niedawno w wyniku odłączenia od aparatury odżywiającej pan Sławomir, Polak z Wielkiej Brytanii, reagował wcześniej na bodźce, na obecność bliskich. Brytyjscy lekarze twierdzą, że znajdował się w stanie wegetatywnym i nie było dla niego żadnego ratunku. Śledził Pan rozwój wydarzeń związanych z Polakiem. Jak Pan ocenia to, co się wydarzyło?

Ta sytuacja nie mieści się w kategoriach ludzkich, kategoriach medycyny, kategoriach prawa. To swego rodzaju nieludzkie skazywanie chorego na śmierć bez udzielenia należnej pomocy. Coś, co nigdy nie powinno się zdarzyć. Ten człowiek żył, czuł, słyszał, rozumiał, że osoby funkcyjne skazały go na śmierć, a on spojrzeniem i gestami twarzy prosił o pomoc.

W tej sprawie często mówi się o godności. Brytyjskie władze oraz tamtejsi lekarze nie godzili się na transport pacjenta do Polski, mówiąc, że ewentualna śmierć podczas podróży byłaby niegodna. Jednocześnie uznali, że pozbawienie go pokarmu i nawadniania nie narusza godności. Jak Pan skomentuje takie postrzeganie tej kwestii? Czym jest godna śmierć?

Godna śmierć jest wtedy, gdy wykorzystano wszystkie metody ratowania życia chorego, a mimo to pacjent zmarł. Kiedy jednak człowiek umiera z pomocą ludzi, służby zdrowia, to mamy do czynienia z działaniem haniebnym. Takiej śmierci absolutnie nie można nazwać godną. Nie można było dopuścić, aby chory pozostawał bez pomocy, pozbawiony jedzenia i podawania płynów. Zawsze należy wykorzystać wszystkie możliwości ratowania życia ludzkiego.

Sprawa śmierci pana Sławomira rozbudziła dyskusję o terapii uporczywej. Niektóre środowiska uważają, że nawet karmienie i nawadnianie należy uznać za formę terapii.

Żywienie i pojenie chorych należy do fundamentalnych zasad terapii. Na ten temat w XII wieku wypowiedział się Najmonides: „Zanim zastosujesz leczenie, rozpocznij le-

FOT. YOUTUBE

czenie żywieniowe". Nie jest dobrze, jeżeli w dokumentach medycznych, popieranych przez prawo, stosuje się pojęcie „terapia uporczywa". Pojenie, karmienie, leczenie należą do najbardziej ludzkich działań podejmowanych przez osoby do tego przygotowane – silne i zdrowe w stosunku do chorych i słabych.

Mówiło się o trwałym i nieodwracalnym uszkodzeniu mózgu. Czy można uznać, że doszło do takiego uszkodzenia, jeżeli pacjent płakał na widok bliskich?

W medycynie nie powinien funkcjonować termin „trwałe i nieodwracalne uszkodzenie mózgu", który w mojej ocenie funkcjonuje i jest promowany m.in. w celu przedwczesnego i najczęściej bezpodstawnego pozbawiania życia chorych bez należnego leczenia. W wyniku badania tomografii komputerowej czy rezonansu magnetycznego widoczny jest obraz statyczny. Nie jest odpowiedni do definiowania mózgu, w którym pod wpływem kompleksowej neurorehabilitacji zachodzą zmiany dające efekt jego plastyczności. Nie można więc stosować tego terminu. Od dziesiątek lat obserwuję setki chorych, u których tak opisywano obraz mózgu, a ci chorzy żyją, osiągają sprawność psychofizyczną i wracają do pełnionych ról społecznych. O tym przekonują się także rodziny młodych chorych, które nie zgodziły się na pobranie narządów ich bliskich do przeszczepów. Ci chorzy żyją, a teraz cieszą się z podjętych decyzji.

Pierwszą podstawą do orzekania o śmierci mózgu był tzw. raport harwardzki. Jakie przesłanie płynie z tego dokumentu?

Warto przypomnieć, że raport harwardzki powstał m.in. po to, by uchronić Christiaana Barnarda przed odpowiedzialnością karną za pobranie tętniącego serca od żyjącej Denise Darval, młodej kobiety w śpiączce. W Uniwersytecie Medycznym w Stanach Zjednoczonych powołano m.in. w tym celu tzw. ad hoc komisję, złożoną z 13 pracowników uczelni, w której nie zabrakło: pastora prezbiteriańskiego, prawnika, filozofa. Ci ludzie nie mieli żadnej wiedzy o medycynie. Z kolei psychiatra, psycholog, biochemik, nefrolog, dwaj neurolodzy, młody neurochirurg – nie mieli doświadczenia w zakresie leczenia nieprzytomnych chorych w śpiączce, bezpośrednio po przebytych urazach mózgu. Nie mieli kontaktu z takimi chorymi na OIOM-ie. Było dwóch transplantologów, ale oni również nie zajmowali się leczeniem chorych w śpiączce. Jedynym człowiekiem, który miał w tym względzie wiedzę, był anestezjolog. Wobec niego również można było mieć wątpliwości co do słuszności postępowania lekarskiego, ponieważ zajmował się on stosowaniem LSD i meskaliny podczas przesłuchań więźniów w celu wymuszania zeznań. Były osoby, które zmarły w wyniku stosowania dużych dawek tych preparatów. Na samym początku raportu wskazano, że naczelnym zadaniem „ad hoc komisji" jest zbadanie „nieodwracalnej śpiączki" jako nowego kryterium śmierci. Objawy śmierci ludzi były znane od tysiącleci i najczęściej nie budziły wątpliwości. Nie było więc racjonalnych przesłanek, aby tworzyć nową bezpodstawną definicję śmierci ludzi w oparciu o śpiączkę. Natomiast w moim przekonaniu człowiek będący w śpiączce najczęściej się wybudza. Śpiączka nie ma nic wspólnego ze śmiercią. Jeżeli chory jest w śpiączce, to żyje. Każdy chory po uszkodzeniu mózgu powinien być należnie leczony bez ograniczeń czasowych.

Tak zwana nieodwracalna śpiączka była diagnozowana bez należnego leczenia w ciągu 24 godzin. Wiemy z doświadczeń, że organizm ludzki jest na tyle doskonały, że potrafi radzić sobie w wielu, nawet ciężkich uszkodzeniach mózgu przy należnym, kompleksowym leczeniu. Im wcześniej prowadzi się takie leczenie, tym efekty są bardziej widoczne. Podstawą do takiego leczenia są polimodalne neurostymulacje narządów zmysłów i całego ciała.

W drugim zdaniu raportu czytamy: „Przestarzałe kryteria śmierci stanowią kontrowersje w pobieraniu narządów do przeszczepów". Gdyby można było pobierać funkcjonujące narządy do przeszczepów od zmarłych, to takich narządów byłoby wystarczająco dużo, a chorzy po przebytych uszkodzeniach mózgu byliby należnie leczeni. Delikatnie zostało to nazwane kontrowersjami bez żadnych ludzkich i naukowych dowodów.

Pamiętajmy, że pobierane są zawsze ciepłe, funkcjonujące narządy do przeszczepów. Dziś wiadomo, że chory, który ma uszkodzony mózg, jest w większości przypadków w szoku mózgu. W neurochirurgii funkcjonuje pojęcie szok rdzeniowy. Ma on miejsce, gdy dochodzi do uszkodzenia rdzenia kręgowego. Wtedy występuje porażenie ciała poniżej miejsca uszkodzenia. Ale po dobie czy dwóch szok rdzeniowy mija, a pojawiają się odruchy. Podobnie jest z mózgiem.

Kolejnym dowodem tzw. nieodwracalnej śpiączki miał być także trwały bezdech. Może kiedyś byłoby możliwe jego stwierdzenie, gdyby obserwacja trwała dniami, miesiącami. Ale jeżeli ten bezdech trwał godziny, to w moim przekonaniu jest to wciąż objaw szoku mózgu. Oddech może więc wrócić, jeśli pacjent będzie należycie leczony z zastosowaniem stymulacji refleksoterapeutycznych.

Koronnym dowodem tzw. nieodwracalnej śpiączki miał być brak odruchów pniowych, który podobnie jak poprzednie objawy zazwyczaj mija po ustąpieniu szoku mózgu.

Za inny dowód uznawane były szerokie źrenice, które nie reagują na światło. To częściowo prawda, ale ten objaw występuje w okresie początkowym, a później oczy stają się reaktywne. Podkreślam to w swoich publikacjach. Innym dowodem tzw. nieodwracalnej śpiączki miał być płaski zapis EEG. W czasach powstania raportu harwardzkiego aparaty do badań EEG należały do rzadkości i nie mogły być powszechnie brane pod uwagę.

Pierwsze polskie regulacje dotyczące rozpoznawania tzw. nieodwracalnej śpiączki powstały właśnie na bazie raportu harwardzkiego w 1976 roku i były powielane wielokrotnie w kolejnych dokumentach Ministerstwa Zdrowia.

Jak zatem powinna wyglądać opieka nad takimi pacjentami?

Obserwując sytuacje, kiedy niszczone jest życie chorych, doszedłem do wniosku, że należałoby dokonać głębokiej analizy. Dostępne są liczne publikacje, w tym mojego autorstwa, z których warto skorzystać, ponieważ zawierają bardzo istotne spostrzeżenia. Opierając się na nich, można stworzyć obowiązujący program skutecznego leczenia chorych po uszkodzeniach mózgu.

Pragnę zwrócić uwagę, że w dokumentach ministrów zdrowia nie ma opisanego schematu postępowania z chorymi w śpiączce. Jeżeli chorzy nie byli należnie karmieni, dostają baterię leków sedacyjnych, benzodiazepin, które mają obniżyć aktywność, także opioidy, leki porażające mięśnie prążkowane, na przy-

kład pavulon. W takich sytuacjach nie ma szans na odzyskanie zdrowia pacjenta.

Ja natomiast uczę od 20 lat, co należy robić, aby przywrócić przytomność chorego, samodzielny oddech i sprawność psychofizyczną metodami neurofizjoterapii i neuroprotekcji w obecności osób bliskich. To najprostszy sposób, którego koszty są bardzo niskie.

Należy stymulować punkty w określonych miejscach na ciele człowieka, aby przywrócić samodzielny oddech, a to jest podstawą życia. Wielogodzinna neurorehabilitacja przywraca perystaltykę jelit, odruchy pniowe i świadomość. Wszystko to można wykazać, udowodnić na przykładach żyjących chorych. Miałem takich pacjentów, którzy doznali bardzo poważnego uszkodzenia pnia mózgu, a nawet nie byli w śpiączce mózgowej, mieli zachowany samodzielny wydolny oddech i odruchy pniowe. Ale musi zostać spełniony jeden warunek. Trzeba chcieć ratować tych ludzi. Niestety, jest niewiele państw na świecie, które nie akceptują tak zwanej nieodwracalnej śpiączki, „śmierci mózgowej", „śmierci pnia mózgu". Tego terminu nie akceptują ortodoksyjni Żydzi oraz Japończycy. W Japonii przyjęto rozwiązanie, zgodnie z którym chorego można uznać za nieżyjącego w związku z tzw. śmiercią mózgu, jeżeli zgadza się rodzina. Jeżeli natomiast rodzina nie akceptuje definicji śmierci mózgu, to wtedy chory musi być leczony i żyje.

Szczegółowe metody skutecznego leczenia chorych w śpiączce po uszkodzeniach mózgu opisałem w swoich publikacjach, z których jeszcze dostępna jest książka „Śpiączka mózgowa a tak zwana śmierć mózgu". Dlaczego zatem nie podejmuje się wszelkich działań, aby zachować życie chorych? Czy żyjemy już w świecie, w którym zaczyna dominować kultura śmierci?

Z czego wynika ten niebezpieczny kierunek patrzenia na kwestie bioetyczne w środowiskach naukowych, lekarskich?

Masowe niszczenie życia milionów ludzi podczas wojen w ubiegłym stuleciu spowodowało pogodzenie się z tym zjawiskiem wśród osób odpowiedzialnych za bezpieczeństwo chorych. Nastąpiły zmiany w świadomości.

Jeżeli ktoś dopuścił się złego czynu, to czy przyzna się, że działał wbrew życiu ludzkiemu? Nie. Śmierć jednego człowieka jest zatem powielana, bo skoro u kogoś rozpoznano śmierć mózgu i nie napiętnowano tego działania, to można to robić dalej, brnąć w złym postępowaniu. Porównam to zjawisko do żołnierzy na wojnie. Jeżeli uzbrajamy żołnierzy w broń i dochodzi do zderzenia dwóch przeciwnych wojsk, to pierwszy strzał oddany do przeciwnika zawsze odciska się w świadomości strzelającego. Ale przy setnym strzale i setnym pozbawieniu życia człowieka, który padł na ziemię, już nie czuć bólu, nie czuć dyskomfortu, nie czuć wyrzutów sumienia. To staje się normą. Natomiast medycyna powinna zawsze kierować się najwyższymi wartościami, jakie istnieją w życiu jednego człowieka i społeczeństwa. Zawsze musi mieć na celu ratowanie życia ludzkiego. Leczę chorych w śpiączce od ponad 45 lat. Moi pacjenci wybudzali się i wybudzają z najgorszych stanów. Byli uznawani za nieżyjących. Można zadać pytanie, dlaczego żyją? Odpowiedź jest prosta – zorganizowane zostały warunki i zespół terapeutów do czynienia normalnych, ludzkich działań.

ZŁE ZAŁOŻENIE

W medycynie nie powinien funkcjonować termin „trwałe i nieodwracalne uszkodzenie mózgu", który w mojej ocenie funkcjonuje i jest promowany m.in. w celu przedwczesnego i najczęściej bezpodstawnego pozbawiania życia chorych bez należnego leczenia.

Pamięta Pan pierwszego swojego pacjenta, którego udało się wybudzić?

Oczywiście! Młody mężczyzna doznał bardzo ciężkiego urazu głowy ze złamaniami kości podstawy czaszki, krwiakami mózgu, krwiakiem podtwardówkowym, krwiakiem pnia mózgu. Pogotowie ratunkowe przywiozło nieprzytomnego chorego z zaburzeniami krążenia i oddychania do oddziału chirurgii. Po pilnych badaniach wykonaliśmy odbarczenie mózgu. Mimo zastosowanego leczenia nasz Bogdan nie odzyskał przytomności w dniu operacji ani w następnych dniach. Według aktualnej wtedy wiedzy medycznej chory mógł być uznawany za nieżyjącego. Nasze proste badania dowodziły jednak jednoznacznie, że chory żyje i intuicyjnie zastosowaliśmy leczenie dotychczas nieznane, ale skuteczne. Bogdan odzyskał sprawność psychofizyczną po ponad 50 dniach leczenia.

Pojechałem do mojego pacjenta po kilkudziesięciu latach. Powiedziałem Bogusiowi, że to właśnie on zaraził mnie nieuleczalną chorobą. Stwierdził, że przecież nikogo nie zaraził. Ale jednak tak było. Według nauki on miał nie żyć. Ale udało mi się go uratować i to wpłynęło na mnie tak bardzo, że postanowiłem poświęcić całe swoje życie ratowaniu ludzi znajdujących się właśnie w takim stanie. Tak należy podchodzić do medycyny. Jeżeli ratuje się jedno życie, to powinno mobilizować działania do podjęcia ratowania kolejnych chorych.

Co o swoim stanie mówiły osoby, które udało się Panu uratować? Co zapamiętały z tego stanu? Niektórzy z nich byli przecież w pewnym stopniu świadomi, kiedy leżeli w szpitalu i decydowano o ich życiu.

Wiele osób nie do końca pamięta, co działo się z nimi podczas leczenia po uszkodzeniu mózgu, ale są też tacy, którzy rzeczywiście zapamiętali konkretne sytuacje, a nawet wypowiadane słowa. W tym miejscu należy przyjąć, że taki chory potrafi słyszeć, a co ważne, rozumieć wypowiadane słowa i je zapamiętać. Zwykle pojawia się pewna luka pamięciowa w pierwszych dniach po uszkodzeniu mózgu, ale w miarę upływu czasu i permanentnej neurorehabilitacji następuje powrót funkcji ośrodkowego układu nerwowego. Do tego jednak jest niezbędna wczesna, kompleksowa neurorehabilitacja.

Nie znamy podejmowanych działań leczniczych u Polaka w Anglii, ale na podstawie kilkudziesięcioletniego doświadczenia terapeutycznego należy stwierdzić jego zachowaną świadomość pod koniec ubiegłego roku. Grymasy twarzy ujawniały ból, cierpienie głodu i pragnienia, a reakcje oczu ujawniały prośbę o pomoc i ratowanie życia. **GP**

{ WALKA O DUSZE }

UCZMY SIĘ **OD BLACHNICKIEGO**

Tomasz P. **Terlikowski**

Na naszych oczach – w dużej mierze w roku 2020 – rozpadł się dotychczasowy model katolicyzmu i duszpasterstwa. Zbudowali go w minionym wieku Prymas Wyszyński, Jan Paweł II i ks. Franciszek Blachnicki. I choć do ich świata nie ma prostego powrotu, to warto wciąż się od nich uczyć. Takim nauczycielem, i to jednym z lepszych, może być wciąż ks. Blachnicki. I niekoniecznie chodzi o to, by sięgać bezpośrednio po jego pomysły – bo te, choć były rewolucyjne 50 lat temu, teraz trącą myszką i nie zawsze odpowiadają potrzebom młodych – ale o szukanie ich „ducha". Współcześnie polscy katolicy, zarówno kapłani, jak i świeccy, mogą i powinni nauczyć się od założyciela Oaz stylu działania, typu zaangażowania. O czym mówię? Pierwszą lekcją, jaką powinniśmy wyciągnąć z myślenia i działania ks. Blachnickiego, jest ich całościowość. Chrześcijaństwo odnosi się do całego naszego życia i działania. Obejmować powinno pracę zawodową i życie prywatne, wybory polityczne i społeczne, a także styl życia. Tam, gdzie tego brakuje, chrześcijaństwo staje się folklorem, ornamentem, a nie rzeczywiście pełną odpowiedzią na zaproszenie Boga. W świecie, który tak bardzo potrzebuje Ewangelii, który odrzuca jej fałszywe rozumienie, a niekiedy ją samą, nie ma i nie może być skutecznej ewangelizacji bez współpracy z innymi chrześcijanami. Ks. Blachnicki tę prawdę nie tylko głosił, ale i realizował wewnątrz własnego ruchu. Nie można też zapominać o kwestii, która łączy go z pozostałą dwójką wielkich polskich pasterzy – św. Janem Pawłem II i sługą Bożym kard. Stefanem Wyszyńskim, a przede wszystkim z jego mistrzem, św. Maksymilianem M. Kolbe, czyli o Maryjności. Nie ma polskiej pobożności, nie ma budowania Kościoła i nowego człowieka bez kultu Niepokalanej Matki Kościoła. Ona jest dla nas wzorem, ale i opiekunką, nauczycielką i obrończynią. Kościół w Polsce będzie Maryjny albo nie będzie go wcale. To także lekcja, którą oferuje nam ks. Franciszek Blachnicki.

Nie ma polskiej pobożności, nie ma budowania Kościoła i nowego człowieka bez kultu Niepokalanej Matki Kościoła.

REKLAMA

FUNDACJA KLUBÓW GAZETY POLSKIEJ

Podstawowym celem Fundacji jest wspieranie i promowanie Klubów Gazety Polskiej

Fundatorami Fundacji są: redaktor naczelny „Gazety Polskiej" – Tomasz Sakiewicz
z-ca red. naczelnego „Gazety Polskiej" – Katarzyna Gójska
prezes Klubów „Gazety Polskiej" – Ryszard Kapuściński

Budujemy Społeczeństwo Obywatelskie

DANE DO PRZELEWU W POLSCE
FUNDACJA KLUBÓW GAZETY POLSKIEJ, ul. Bracka 15 I piętro 31-005 Kraków
Alior Bank SA NUMER KONTA 74 2490 0005 0000 4500 8274 0046
TYTUŁEM – DAROWIZNA NA RZECZ FUNDACJI KLUBÓW GAZETY POLSKIEJ

DANE DO PRZELEWU Z ZAGRANICY
FUNDACJA KLUBÓW GAZETY POLSKIEJ, ul. Bracka 15 I piętro 31-005 Kraków POLAND
Alior Bank Spółka Akcyjna Al. Jerozolimskie 94 00-807 Warszawa
NUMER KONTA – PL 41 2490 0005 0000 4600 2469 2784 SWIFT CODE – ALBPPLPW

Prezes Fundacji - Ewa Wójcik
www.klubygazetypolskiej.pl

PROSIMY O WSPARCIE

Szczepionkowe WOJNY

NOWA ŚWIATOWA WALUTA

Tomasz **Łysiak**
SZEF DZIAŁU HISTORIA

Odkąd świat wstrzymał normalny bieg w związku z pandemią koronawirusa, szczepionki stały się wyczekiwanym przez ludzkość remedium, które ma wszystkich uwolnić od koszmaru choroby, a społeczeństwa od uciążliwych lockdownów. Gdy już udało się te szczepionki opracować, gdy już dopuszczono je do użycia – firmy produkujące zaczęły opóźniać dostawy, nie dotrzymując umów i kontraktów.

Szczepionka stała się obecnie „walutą" – kupuje się za nią spokojniejszą przyszłość, możliwość opracowania strategii wyjścia z kryzysu pandemicznego, uspokojenia sytuacji w systemach zdrowotnych, a także wyciszenia nastrojów społecznych. Zwłaszcza że na całym świecie ludzie są znużeni restrykcjami – część z czysto psychologicznych powodów, a część z powodów zawodowych: ich biznesy, nawet przy obiecywanej pomocy państwowej, po prostu się nie utrzymają. Szczepionka stała się więc „walutą", towarem o wysokiej wartości – w obszarze zdrowia, ekonomii, polityki. Szczególnie iż kwestie sposobu szczepień, programu, rozłożenia w czasie czy korzystania z dostaw takich czy innych producentów mogą być elementem rozgrywek politycznych.

Chaos w Europie

Pierwsze pytania dotyczące tego, jak zachowują się producenci, padły w listopadzie 2020 roku, gdy amerykańska firma Pfizer ogłosiła jako pierwsza na świecie, iż ma opracowaną szczepionkę. Dziwnym trafem było to kilka dni po… wyborach na urząd prezydenta. Stawiano wówczas zasadnicze pytanie: „Dlaczego teraz, a nie kilka dni wcześniej?". Odpowiedź jest prosta – gdyby stało się to przed wyborami, Donald Trump mógłby ogłosić sukces. Zaczekano więc, by nie dawać politycznego oręża do ręki znienawidzonego republikanina. Ta sama firma – czyli niemiecko/amerykański BioNTech/Pfizer – stała się przedmiotem kolejnej szczepionkowej afery. Tym razem na gruncie europejskim. Jednym z zasadniczych narzędzi związanych ze zwalczaniem pandemii z punktu widzenia europejskiego jest mechanizm wspólnych zamówień i „sprawiedliwej" dystrybucji szczepionki pomiędzy państwami UE, w której liczba dawek skorelowana jest z liczbą mieszkańców. Co istotne – było to z politycznego punktu widzenia tym ważniejsze, iż w początkowej fazie wybuchu pandemii SARS-CoV-2 w Europie okazało się, że unijny kolos urzędniczy, tak chętnie na co dzień zajmujący się „łamaniem praworządności" przez Polskę czy Węgry – wobec koronawirusa jest bezczynny i bezradny. Każde państwo

FOT. ADOBE STOCK

TOWAR DEFICYTOWY

Kiedy okazało się, iż Brytyjczycy wcale nie mają zamiaru wywiązywać się z zakontraktowanych dostaw szczepionki AstraZeneca, europejskie instytucje zareagowały furią. A Włosi zapowiedzieli wystąpienie na drogę sądową.

musiało samo wypracować sposoby walki, przygotowania się na nadchodzącą falę zachorowań. Nawet kwestii ruchu między państwami, zamykania lub otwierania granic, nie skoordynowano – w olbrzymim chaosie rządy podejmowały samodzielne decyzje. Unia Europejska musiała zatem odbudować się wizerunkowo i politycznie na dwóch zasadniczych polach: finansowym i zdrowotnym. Jeśli chodzi o finanse, wypracowano (chociaż w bólach) system pomocy znużonym lockdownami państwom unijnym i ustanowiono Fundusz Odbudowy. Z punktu widzenia zdrowotnego – mimo że każde z państw prowadzi własną politykę programu szczepień – ustalono, że to Komisja Europejska przypilnuje wspólnotowych dostaw, a każdy z krajów solidarnie ustawi się w kolejce, czekając na sprawiedliwie rozdzielane dawki. Poza kwestią czysto techniczną stało się to więc także ważnym elementem wizerunkowo-politycznym: oto razem, zgodnie, ramię w ramię kupujemy i rozdzielamy szczepionki. Do grudnia. Wtedy to wybuchł skandal: w trakcie konferencji niemieckiego ministra zdrowia Jensa Spahna ten nagle przyznał dziennikarzom, iż Niemcy zamówiły od firmy BioNTech/Pfizer „dodatkowe" 30 mln dawek niejako „pod stołem", poza ustaleniami o zamówieniach solidarnych. Przypomnijmy – to Niemcy sprawowały wówczas prezydencję w UE. W styczniu te informacje potwierdzono – nasi zachodni sąsiedzi (kraj liczący 83 mln mieszkańców) zorganizowali sobie dostawy szczepionek produkowanych przez niemiecko/amerykańską firmę tak, że 64 mln dawek dostaną z puli europejsko-solidarnościowej i 30 mln z własnej bilateralnej umowy.

Problemy z podpisanymi umowami

Potem wybuchła kolejna afera, której konsekwencje odczujemy wszyscy. „8 stycznia 2021, oto kluczowa data dla zrozumienia, dlaczego Italia nie utrzyma wcześniej ustalonych terminów w realizacji programu szczepień" – napisał jeden z największych włoskich dzienników, „Corriere della Sera", w artykule komentującym fakt, iż amerykański gigant, firma Pfizer, nie dotrzyma terminów dostaw i kontraktu na 300 mln dawek podpisanego z UE. Właśnie 8 stycznia Europejska Agencja Leków wyraziła zgodę na to, by jedna fiolka szczepionki Pfizer zawierała nie – jak to było wcześniej – pięć dawek szczepionek, lecz sześć. Poza tym na jaw wyszły inne szczegóły kontraktów podpisanych nie tylko z Pfizerem, ale także z sześcioma innymi gigantami produkującymi szczepionki (chodzi m.in. o Modernę i AstraZenekę): wynika z nich, iż w wypadku niedotrzymania terminów dostaw kary finansowe nie wynikają automatycznie z zapisów kontraktów. Włosi się wściekli i wręcz zapowiedzieli dochodzenie prokuratorskie w sprawie opóźnień Pfizera – szczególnie w świetle wychodzących na światło dzienne faktów takich jak zamówienie „poza unijnymi ustaleniami" 30 mln dawek przez Niemcy. Trzeba przypomnieć, że Komisja Europejska rozesłała do krajów członkowskich zestaw wskazań i procedur czy wzorców umów z producentami oraz schematów prawnych posunięć, podpisów na umowach i listach. 21 grudnia Europejska Agencja Leków wydała atest dla szczepionki Pfizera. Pierwsze szczepienia opisywano w prasie z entuzjazmem, Gdy

wyszły na jaw problemy z dostawami, natychmiast runęły plany i strategie szczepień. Są dwa kluczowe elementy pozwalające zrozumieć, jak dochodzi do tego, że producenci (jak Pfizer) mogą naginać podpisane umowy. Pierwszą sprawą jest właśnie opisana wyżej „liczba dawek". Co jest w istocie dawką? Ile dawek jest w jednej fiolce? Wystarczy, że z pięciu ustalonych wcześniej nagle zrobi się sześć, a ten sam towar oznacza inną liczbę dawek. Po drugie, w kontraktach, poza liczbami dawek i wielkościami zamówień, wpisano, owszem, ewentualne sankcje za ich niedostarczenie, lecz mówią one, że „kara wyniesie 20% wartości dawek niedostarczonych", która powiększać się będzie wraz z upływającym czasem. I dodano zapis: „Zastosowanie kar nie jest automatyczne"! To jeden z wielu słabych punktów kontraktów podpisanych przez UE z producentami szczepionki.

Opóźnienia w dostawach szczepionek to kolejny mocny cios w wiarygodność instytucji europejskich, które pouczają państwa członkowskie w kwestiach prawnych, same zaś w tak kluczowej dla zdrowia i stabilności państw unijnych sprawie wykazały się indolencją prawną i podpisały kontrakty, które nie gwarantują zabezpieczenia odpowiedniej i terminowej liczby dostarczonych dawek.

Nie mamy zobowiązań

Po Pfizerze nadeszła kolej na AstraZenekę. Przypomnijmy – z sześciu największych producentów szczepionek kontraktowanych przez Unię Europejską „pierwsze skrzypce" grają: amerykańsko/niemiecki Pfizer/BioNTech, amerykańska Moderna i brytyjska AstraZeneca. Dwie pierwsze bazują na technologii związanej z mRNA wirusa, zaś trzecia to klasyczna forma szczepionki – wektorowa. W piątek 29 stycznia 2021 roku Europejska Agencja Leków wydała w końcu długo wyczekiwany atest tej szczepionki. I byłby to fakt przyjmowany z wielkim entuzjazmem, szczególnie że potwierdzono, iż może ona być podawana osobom starszym, gdyby nie to, że AstraZeneca… nie wypełni zobowiązań kontraktowych wobec UE. Jak istotne jest to dla krajów członkowskich, świadczy choćby przykład Italii – w strategii włoskiej to właśnie szczepionki wyprodukowane przez Brytyjczyków, przy współpracy z Uniwersytetem Oksfordzkim, miały stanowić bazę całego programu szczepień. Opóźnienia od strategicznego dostawcy to cios w cały system – zdrowotny, gospodarczy i polityczny. Trzeba dodać, że te wszystkie sprawy dokładają się do i tak już rozgrzanych emocji społecznych, do niestabilności politycznej i włoskich problemów gabinetowych. Tymczasem na Wyspach trwają masowe szczepienia. Gdy EMA wydawał decyzję o ateście szczepionki w UE, w Wielkiej Brytanii zaszczepiono już blisko 8 mln osób. Jednocześnie media obiegały zdjęcia premiera Johnsona pochylającego głowę i mówiącego o tym, jak boli go każda śmierć spowodowana przez COVID-19. Kiedy okazało się, iż Brytyjczycy wcale nie mają zamiaru wywiązywać się z zakontraktowanych dostaw, europejskie instytucje zareagowały furią. Pascal Soriot, dyrektor generalny AstraZeneki, zaczął zapewniać, iż firma działa na pełnych obrotach, „pracuje 24/7", „dokłada wysiłków", a mimo wszystko nie jest to „na takim poziomie, na jakim byśmy chcieli" itd. Ale potem dorzucił kluczowe wyjaśnienie – kontrakt nie jest ze strony brytyjskiej „zobowiązaniem", lecz typem umowy, który dotyczy „dołożenia wszelkich starań", wysiłku podejmowanego w najlepszej wierze („We didn't commit with the EU, by the way. It's not a commitment we have to Europe: it's a best effort").

Europejska komisarz ds. zdrowia Stella Kyriakides była wściekła na Brytyjczyków w związku z opóźnieniami dostaw szczepionki AstraZeneka.

FOT. PAP

Niemcy zamówiły od firmy BioNTech/Pfizer dodatkowe 30 mln dawek niejako „pod stołem", poza ustaleniami o zamówieniach solidarnych.

Stella Kyriakides, europejska komisarz ds. zdrowia, rzuciła na to z wściekłością, iż umowa i kontrakt na szczepionki to nie „dokładanie starań", i że takie wyjaśnienia mogą padać w rozmowie z „rzeźnikiem na pobliskim targu", a nie przy takich kontraktach. Włosi najprawdopodobniej sami wystąpią wobec brytyjskiego producenta na drogę sądową. A Unia Europejska? Jej urzędnicy – tak dotąd dumnie chodzący z głową podniesioną do góry i upominający z wyższością państwa członkowskie – sami zachowali się jak „rzeźnik na targu", podpisując kontrakty, których teraz nie są w stanie wyegzekwować, dopuszczając do tego, by zaczął się wyścig o szczepionkę dokonywany na zasadach dzikiej rywalizacji – „kto pierwszy, ten lepszy". **GP**

GRAMY Z WAMI OD LAT

PGNiG od 2010 roku jest sponsorem strategicznym polskiej piłki ręcznej. Nieprzerwanie już kolejny rok wspiera seniorskie reprezentacje Polski kobiet i mężczyzn, reprezentacje młodzieżowe, a także jest sponsorem tytularnym Superligi oraz Pucharu Polski kobiet i mężczyzn.

PGNiG

KOKTAJL za 9 tysięcy zł

WYLECZYĆ Z KORONAWIRUSA

Jacek **Liziniewicz**

Mimo akcji masowych szczepień Niemcy zdecydowały się na zakup za 400 mln euro około 200 tys. dawek leków REGN-CoV2 amerykańskiej firmy Regeneron i bamlanivimab. Pierwszy z preparatów, składający się z przeciwciał casirivimab i imdevimab, był w październiku minionego roku podawany prezydentowi USA Donaldowi Trumpowi.

Na uboczu międzynarodowego wyścigu o szczepionki toczy się inny międzynarodowy bój – o najlepsze możliwe lekarstwa. W ciągu ostatnich 12 miesięcy mieliśmy do czynienia z wieloma podobnymi specyficznymi bańkami spekulacyjnymi spowodowanymi informacjami ze świata medycyny i mediów. W zasadzie każdy lek, o którym zaczynało się mówić jak o potencjalnie ratującym ludzkie życie, natychmiast znikał z półek, a gwałtownie rosnący popyt doprowadzał do kłopotów z jego produkcją. Tak było chociażby w przypadku hydroksychlorochiny, która dzisiaj wychodzi już z użycia przy COVID-19. Najnowszym hitem są leki neutralizujące wirusa przeciwciałami. Wszystko wskazuje na to, że właśnie te preparaty będą teraz najbardziej pożądane.

Jak to działa?

W założeniach lek działa w bardzo prosty sposób. Kiedy w organizmie pojawia się wirus, to zwykle organizm wytwarza własną odpowiedź, produkując przeciwciała. Problemem jest jednak czas. Może się okazać, że wirus szybciej się rozprzestrzeni w organizmie niż układ odpornościowy zdąży odpowiedzieć. Dlatego koncerny farmaceutyczne produkują preparaty, które zawierają przeciwciała wytworzone przez organizmy chorych na COVID-19. „Nasze badania związane z COVID-19 zaczęliśmy na początku 2020 roku. Wtedy rozpoczęliśmy produkcję setek przeciwciał neutralizujących wirusy u naszych genetycznie zmodyfikowanych myszy. Następnie zidentyfikowaliśmy podobnie działające przeciwciała od ozdrowieńców z COVID-19. W czerwcu wyabstrahowaliśmy dwa najsilniejsze przeciwciała, casirivimab (REGN10933) i imdevimab (REGN10987), do produkcji na dużą skalę i badań klinicznych. We wrześniu i październiku 2020 roku ogłosiliśmy wyniki badań pacjentów nie hospitalizowanych z powodu COVID-19, które wykazały, że nasz koktajl przeciwciał znacznie zmniejszał oddziaływanie wirusa i potrzebę wizyt lekarskich u pacjentów o łagodnym lub umiarkowanym przebiegu choroby. W grudniu 2020 roku ogłosiliśmy wstępne

REGN-COV2
Ten lek doprowadził u badanych do stuprocentowej redukcji infekcji objawowej oraz 50-procentowego obniżenia ogólnych wskaźników infekcji.

FOT. ADOBE STOCK

optymistyczne dane z badania hospitalizowanych pacjentów z COVID-19 korzystających z terapii tlenowej" – chwali się na swoich stronach firma Regeneron. Ich koktajl o nazwie REGN-CoV2 swego czasu był podawany prezydentowi USA Donaldowi Trumpowi. Regeneron nie jest jedyną firmą, która produkuje taki lek. Alternatywą może być bamlanivimab, stworzony przez amerykańską firmę farmaceutyczną Eli Lilly. „W badaniu klinicznym naukowcy odkryli, że bamlanivimab może ograniczyć ilość wirusa w organizmie osób z COVID-19, które przyjmą lek w ciągu 10 dni od wystąpienia objawów. Może być również mniej prawdopodobne, że będą musieli udać się do szpitala" – informuje koncern farmaceutyczny.

Niemiec – Węgier

Oba leki nie mają jeszcze zgody UE, ale już część krajów europejskich zaczyna je kupować. Pierwszym państwem na starym kontynencie, które pozyskało bamlanivimab, są Węgry. Sprowadzili oni 2,4 tys. dawek tego leku. W lutym na Węgry ma dotrzeć kolejne 2,8 tys., a w marcu 1 tys. dawek. W medykamenty zbroją się również Niemcy. Ci zakupili już oba leki. Jak podały niemieckie media, za 200 tys. dawek nasi sąsiedzi zapłacili 400 mln euro. Łatwo policzyć, że nie jest to najtańsza forma leczenia, a jedna dawka kosztuje około 9 tys. zł. Mimo to Niemcy nie cofnęli się przed takim kosztem. Lek uzyskał korzystną opinię niemieckich naukowców. Oczywiście pojawiają się również głosy przeciwne. Leku bronią jednak wyniki. Jak podaje Reuters, według najnowszych testów REGN-COV2 doprowadził u badanych do stuprocentowej redukcji infekcji objawowej oraz 50-procentowego obniżenia ogólnych wskaźników infekcji. W testach wzięło udział 400 osób, które mieszkały z osobą chorą na COVID-19 i podano im lek we wczesnym etapie choroby. W Polsce podobny specyfik, choć na razie opierając się na produkcji przeciwciał z osocza, robi Biomed Lublin. Przedsiębiorstwo to rozpoczęło badania kliniczne, ale potrwają one jeszcze kilka tygodni. Na razie firma nie podaje szczegółów badań. **GP**

LEKI NA COVID

Od początku pandemii pojawiło się wiele oczekiwań związanych ze stosowaniem różnego rodzaju preparatów. Mimo początkowych zapowiedzi kilka terapii jednak się nie sprawdziło. Wymienia się wśród nich favipirawir, rytonawir, ruksolitynib, chlorochinę, hydroksychlorochinę, interfero. Obecnie kilka leków wciąż daje nadzieję na pokonanie COVID-19.

Deksametazon – może być stosowany, ale tylko pomocniczo, u osób wymagających dodatkowego tlenu. Po przeanalizowaniu siedmiu wyników badań WHO zaleca stosowanie leku w wytycznych dotyczących pacjentów z ciężkim lub krytycznym przebiegiem choroby.

Remdesiwir – pozwolenie na jego użycie zostało wydane w USA w maju 2020 roku dla osób hospitalizowanych z ciężkim COVID-19. We wrześniu 2020 roku, po przeglądzie późniejszych badań, WHO zaleciła, aby remdesiwir nie był stosowany w żadnym przypadku COVID-19, ponieważ nie było wystarczających dowodów na korzyści, jakie miał przynosić. W listopadzie 2020 roku FDA wydała kolejne zezwolenie na stosowanie tego leku – w nagłych wypadkach (EUA) remdezywir można podawać po połączeniu z baricytynibem.

Tocilizumab i sarilumab – w styczniu 2021 roku w Wielkiej Brytanii Krajowa Służba Zdrowia wydała wytyczne, zgodnie z którymi leki te mają być korzystne, gdy są podawane niezwłocznie osobom z COVID-19 trafiającym na intensywną terapię. Badania wykazały zmniejszenie ryzyka śmierci o 24 proc.

AMANTADYNA WE WCZESNYM STADIUM COVID-19 MA SZANSĘ POWODZENIA

Z PROF. KONRADEM REJDAKIEM ROZMAWIA GRZEGORZ WSZOŁEK

Moim zdaniem amantadyna ma szansę powodzenia w zwalczaniu COVID-19, ale we wczesnym stadium. Nie spotkałem jeszcze pacjenta, który by twierdził, że zmagał się z ciężką niewydolnością oddechową albo trafił pod respirator i ten lek okazał się skuteczny. Pamiętajmy, że tylko lekarz może decydować o jego stosowaniu. Nie wolno leczyć się samemu. A doszukiwanie się spisków w sprawie amantadyny to oczywista bzdura – mówi prof. Konrad Rejdak, kierownik Katedry i Kliniki Neurologii Uniwersytetu Medycznego w Lublinie, prezes-elekt Polskiego Towarzystwa Neurologicznego.

Prowadzi Pan badania nad skutecznością amantadyny w leczeniu COVID-19. Jakie są efekty pracy konsorcjum naukowego? Czy możemy spodziewać się pozytywnych informacji w najbliższym czasie?

Część administracyjna, niestety, jeszcze trwa. W tej chwili jesteśmy na etapie finalizowania umowy z Agencją Badań Medycznych (ABM). Liczymy na to, że kwestią tygodni jest uzyskanie stosownych zgód i rejestracji. Dodatkowo trzeba przygotować lek badany oraz placebo. Spodziewamy się, że badanie kliniczne nad amantadyną wystartuje z końcem lutego.

W jakich schorzeniach amantadyna jest skuteczna?

Jest to stary lek, wprowadzany we wskazaniu na grypę typu A. Przypadkowo zauważono, że pomagał osobie z chorobą Parkinsona, co przyczyniło się do kolejnych badań i wprowadzenia nowego wskazania dla preparatu. Wirus grypy, jak wiadomo, szybko mutuje, zatem podawanie amantadyny w tym przypadku uległo ograniczeniu. Jednakże w charakterystyce wybranych preparatów generycznych takie wskazanie nadal jest. Dodatkowo amantadynę stosuje się w schorzeniach neurologicznych, na przykład w zespole zmęczenia u pacjentów z SM. Pobudza się dzięki niej stan przytomności u chorych z uszkodzeniem mózgu. Amantadyna poprawia również efekty rehabilitacji u tej grupy pacjentów.

Jest Pan autorem pierwszego raportu klinicznego w literaturze światowej o potencjalnym efekcie ochronnym amantadyny u osób zakażonych SARS-CoV-2. Potem pojawiły się kolejne doniesienia. Włodzimierz Bodnar, specjalista od chorób płuc w Przemyślu, twierdził, że u 90 proc. pacjentów stan kliniczny poprawił się po podaniu amantadyny w ciągu zaledwie 48 godzin. Nie przedstawił jednak szczegółowych danych o grupie leczonych i charakterystyce objawów.

Kiedy wybuchła pandemia, opisaliśmy z prof. Griebem, jak chorzy, którzy brali lek we wskazaniach neurologicznych, mimo zakażenia wirusem SARS-CoV-2, mieli bardzo łagodne objawy albo wręcz bezobjawowy przebieg COVID-19. Dotyczyło to 15 pacjentów z chorobą Parkinsona i SM, przyjmujących amantadynę. Z biegiem czasu pojawiły się kolejne informacje, które znamy głównie z doniesień medialnych. Z jednej strony cieszę się, że te wyniki są spójne z moimi doświadczeniami, ale jedyną możliwością weryfikacji danych jest szczegółowa publikacja. Na dobrą sprawę nic nie wiemy o charakterystyce tych pacjentów, których leczono amantadyną. W medycynie wyniki kliniczne należy opublikować z dokładną charakterystyką chorych i stopniem zaawansowania choroby. Moim zdaniem amantadyna ma szansę powodzenia w zwalczaniu COVID-19, ale we wczesnym stadium. Nie spotkałem jeszcze pacjenta, który by twierdził, że zmagał się z ciężką niewydolnością oddechową albo trafił pod respirator i ten lek okazał się skuteczny. Wszystkie relacje, o jakich słyszałem, pochodzą od osób, które przyjmowały lek we wczesnych fazach choroby, najczęściej w warunkach domowych, co prowadziło do szybkiej poprawy stanu zdrowia. I jest to spójne z moimi obserwacjami klinicznymi wśród pacjentów, których znam.

Czyli podanie amantadyny na przykład po 10 dniach od pierwszych objawów mija się z celem?

Pamiętajmy, że choroba przebiega bardzo różnie, bowiem koronawirus może inkubować w organizmie do dwóch tygodni. Albo się nie ma objawów, czasem są one

AMANTADYNA

Nie spotkałem jeszcze pacjenta, który by twierdził, że zmagał się z ciężką niewydolnością oddechową albo trafił pod respirator i ten lek okazał się skuteczny.

FOT. WOJCIECH PACEWICZ/PAP

lekkie, a potem dochodzi do eskalacji. Dlatego najczęściej nie jesteśmy w stanie określić, kiedy doszło do zakażenia. Dopiero wystąpienie objawów klinicznych oraz wykonanie testów potwierdza rozpoznanie. No chyba że są to osoby z kontaktu z osobą zakażoną. Istotne jest określenie faz klinicznych choroby w szczególności w oparciu o poziom saturacji, czyli wysycenia krwi tlenem. Badanie pulsoksymetrem jest niezwykle ważne, by ocenić, czy doszło do niewydolności oddechowej. Po inwazji wirusa na układ oddechowy dochodzi do zapalenia płuc oraz burzy cytokinowej i wielu wtórych objawów z dysfunkcją różnych organów. Niezwykle ważnym komponentem choroby jest inwazja do układu nerwowego. Musimy robić wszystko, by temu zapobiec – w innym przypadku wszystkie rejestrowane leki wykazują bardzo słabą skuteczność.

Część zakaźników krytykuje stosowanie amantadyny przed finalizacją badań klinicznych, stwierdzających, jaka jest skuteczność leku. Czy można mówić o ryzykownym eksperymencie w takim przypadku?

Wiele leków zarejestrowanych w medycynie jest używanych poza wskazaniem opisanym w charakterystyce produktu leczniczego. Dzieje się tak w oparciu o skumulowane dowody naukowe i doświadczenie kliniczne. W takich sytuacjach lekarz, kierując się posiadaną wiedzą, proponuje leczenie pacjentowi za jego świadomą zgodą. Gromadzenie dowodów naukowych i klinicznych – gdy testujemy nowe wskazania – jest traktowane jako eksperyment medyczny i wymaga uzyskania zgody komisji bioetycznej. Aby dostarczyć dowodów naukowych o wysokiej sile, konieczne jest wykonanie formalnych badań klinicznych, a złotym standardem jest badanie randomizowane, podwójnie zaślepione i kontrolowane placebo. I na tym etapie właśnie jesteśmy.

Jakie mogą być skutki uboczne po przyjęciu amantadyny?

Generalnie jest to lek dobrze tolerowany, stosowany od wielu lat, przyjmują go osoby w podeszłym wieku oraz obarczone różnymi chorobami neurologicznymi. Oczywiście opisano szereg działań niepożądanych, dzielących się na częstsze, rzadkie i bardzo rzadkie. Do tej pierwszej grupy zaliczamy bezsenność albo stan pobudzenia – często jak po mocnej kawie. U osób z predyspo-

zycją – na przykład chorobą psychiczną – amantadyna może wyzwalać objawy psychotyczne, albo drgawki – u osób z padaczką. Z niezwykłą ostrożnością z leku powinni korzystać pacjenci z niewydolnością serca oraz niewydolnością nerek. Pamiętajmy, że każdy lek wydawany na receptę ma opisaną długą listę potencjalnych działań niepożądanych i dlatego tylko lekarz może decydować o jego stosowaniu. Nie wolno leczyć się samemu.

Dlaczego nie stosuje się powszechnie tego środka w profilaktyce antywirusowej?

Wirus SARS-CoV-2 jest po prostu zupełnie innym wirusem od grypy, która co roku mutuje. Amantadyna ma wykazany stosunkowo słaby efekt przeciwwirusowy, ale to niejedyny mechanizm, który może być ważny. Lek wchłania się do układu nerwowego i pobudza różne układy neuroprzekaźnikowe w mózgu, co może być ważne w stymulowaniu organizmu w walce z ogólnoustrojową infekcją. Może zapobiegać uszkodzeniu struktur układu nerwowego. Trzeba pamiętać, że powikłania na tym tle należą do najpoważniejszych, począwszy od utraty węchu i smaku, zespołu zmęczenia, ale również ostrej niewydolności oddechowej na tle uszkodzenia pnia mózgu.

Niestety, lekarstwo stało się też orężem grup antyszczepionkowych. Doszukują się one spisku: specjalnie wycofano amantadynę z aptek bez recepty, by dać zarobić koncernom farmaceutycznym przy sprowadzeniu szczepionek.

To oczywista bzdura, trudno się z tym w jakimkolwiek aspekcie zgodzić. Każdy lek musi przejść taką samą procedurę i nie jest tak, że amantadynę stosuje się na całym świecie. Trzeba przyznać, że pojawia się zainteresowanie w innych krajach tym środkiem. Sam się zaszczepiłem, uważając, że to jedyna droga skutecznej walki. Zanim jednak wszyscy przyjmiemy szczepionkę, nabędziemy odporność populacyjną, trzeba szukać leków powstrzymujących chorobę. I taki jest cel naszego badania prowadzonego nad amantadyną.

Świat mierzy się z wariantem brytyjskim wirusa, co chwilę pojawiają się nowe odmiany. W tle dochodzi stopniowe poluzowanie obostrzeń w Polsce i wielki projekt szczepień.

Właśnie, bo nikt nie wytrzyma zbyt długo w głębokim reżimie sanitarnym, z jakim mamy do czynienia. Oby odporność po szczepionce była jak najdłuższa, choć pojawiają się doniesienia o 8–9 miesiącach, zatem wszystko wskazuje na coroczną akcję szczepień. Wielu się nie zaszczepi z różnych powodów: chorób współistniejących czy poważnych dolegliwości alergicznych. Tej grupie należy zaoferować coś, co działa w przypadku zakażenia SARS-CoV-2. Traktujmy jednak amantadynę jako lek wspomagający, a nie cudowny środek, który w 100 proc. zwalczy koronawirusa.

Traktujmy amantadynę jako lek wspomagający, a nie cudowny środek, który w 100 proc. zwalczy koronawirusa.

Jest Pan Profesor uznanym neurologiem. Korzystając z okazji, zapytam o dramatyczną sytuację Polaka, który w szpitalu w Plymouth był odłączany od aparatury, pozbawiony nawodnienia i pokarmów. Rząd zaangażował się w pomoc rodakowi, ale było już za późno. Czy lekarze brytyjscy postąpili etycznie?

Muszę przyznać, że była to przedziwna sytuacja. W Polsce nie stosujemy takich zasad. Należy zastrzec, że nie mamy wglądu w dokumentację medyczną i opieramy swoje spostrzeżenia tylko na krótkim materiale wideo. Widać było, że mężczyzna zachowywał przytomność, był wydolny oddechowo. Trudno powiedzieć, czy zachowywał kontakt z otoczeniem, ale nie da się tego zweryfikować w pełni. Zapewniam, iż w Polsce nie zostałby odłączony od aparatury, nadal byłby leczony. Był to okres dość krótki od zachorowania, więc trudno przesądzić jednoznacznie, jaki byłby przebieg jego stanu klinicznego – tym bardziej że dość szybko wybudził się ze śpiączki. Często następstwem jakiegoś uszkodzenia mózgu jest stan wegetatywny, w którym zachowana jest przytomność, ale nie ma stanu świadomości zarówno wewnętrznej, jak i zewnętrznej. Celem leczenia i rehabilitacji jest uzyskanie stanu minimalnej świadomości, w której pacjent w szczątkowej formie odzyskuje kontakt z otoczeniem, a to otwiera mu szanse na dalszą rehabilitację i powrót do funkcjonowania. W mojej opinii był to zbyt wczesny okres, by przesądzić o losach pacjenta – tym bardziej że miał zachowane funkcje życiowe i był przytomny.

Na udostępnionym przez rodzinę filmie widzimy płacz pacjenta. O czymś to świadczy?

Mogła to być mimo wszystko reakcja odruchowa, a trudno ocenić, czy miał na tym etapie choroby zachowaną świadomość. Reakcje bada się za pomocą specjalistycznej aparatury i analizy psychologicznej. Nie da się ocenić na podstawie filmu, czy w pełni reagował na bodźce z otoczenia.

Pytam o to także dlatego, że od lat trwa spór na temat pojęcia „uporczywej terapii" i okresu, kiedy ona się rozpoczyna. Lekarze z Wielkiej Brytanii twierdzili, że doszło do nieodwracalnych uszkodzeń w mózgu polskiego pacjenta, a przedłużanie leczenia byłoby niewskazane, podobnie jak transport chorego do Polski.

Z pewnością mowa o krótkim okresie leczenia – Polak trafił do placówki w listopadzie. Z powodu braku na przykład badania rezonansem magnetycznym i ze względu na ten błyskawiczny czas z podjęciem decyzji o odstąpieniu od terapii, trudno jest nam pogodzić się z dramatem rodaka oraz jego rodziny. Uporczywa terapia oznacza sztuczne podtrzymywanie funkcji życiowych za pomocą aparatury i leków, szczególnie przy niewydolności wielonarządowej. Wtedy trzeba się zastanowić, czy nie jest to działanie wbrew interesowi pacjenta, wbrew mechanizmom naturalnym. Żadna z tych przesłanek nie wystąpiła w przypadku Polaka w Plymouth. **GP**

GAZETA POLSKA

Joanna
Lichocka

W OBRONIE WOLNOŚCI SŁOWA

Prawdopodobnie jeszcze w lutym sejmowa komisja kultury i środków przekazu odbędzie posiedzenie poświęcone sprawie nękania polskich dziennikarzy przez wydawnictwo Axel Springer.

Od pewnego czasu to zarządzane z Niemiec wydawnictwo pozywa polskich dziennikarzy – między innymi Samuela Pereirę, Cezarego Gmyza, Wojciecha Biedronia, Witolda Gadowskiego, żądając publikowania przeprosin i płacenia wysokiego zadośćuczynienia. Seria procesów, jaką wytacza Axel Springer dziennikarzom, nie pozostawia większych wątpliwości, że działania te mają na celu zdławienie możliwości krytykowania niemieckiego wydawnictwa i ograniczania wolności słowa. Procesy, w których Axel Springer żąda odszkodowań w wysokości 100 czy 500 tys. zł od dziennikarzy – bo takich pieniędzy domaga się od Samuela Pereiry czy Cezarego Gmyza – mają oczywiście wywołać efekt strachu. Chodzi o to, by żaden z nich ani żaden inny dziennikarz czy tytuł prasowy nie ośmielił się stawiać tezy, że Axel Springer reprezentuje niemieckie interesy. Wydawnictwo w pozwach ściga za twierdzenie, że linia programowa jego gazet kształtowana jest pod dyktando Niemiec, a dziennik „Fakt" jest niemieckim tabloidem. Obrońcy RASP zawsze dowodzą, że wydawnictwo jest apolityczne i niemiecko-szwajcarsko-amerykańskie, ale to dość zabawne wysiłki, gdy zważy się, z jaką pompą otwierana była jesienią 2020 roku w Berlinie nowa siedziba koncernu z udziałem nie tylko niemieckich udziałowców, ale i wielu niemieckich polityków wraz z prezydentem Niemiec Frankiem-Walterem Steinmeierem na czele. Można zrozumieć, że zarządzającemu polską filią wydawnictwa Markowi Dekanowi nie spodobało się, gdy pozywani dziennikarze, po jednym z jego listów z politycznymi instrukcjami do pracowników Axla, który ujrzał światło dzienne, nazywali go na przykład niemieckim nadzorcą, ale warto, by uświadomił sobie, że na tym właśnie – na ocenie i wyrażaniu opinii – polega wolność słowa w demokratycznym kraju. Opinia, że zarządzana przez niego część wydawnictwa Axel Springer działająca nad Wisłą realizuje niemiecką linię w podległych mu redakcjach jest uprawniona – wynika nie tylko z samej zasady wolności wyrażania poglądów, ale także z tego, że powodów dla takich twierdzeń każdego dnia dostarcza onet.pl, „Newsweek" czy „Fakt". Przykład pierwszy z brzegu: kilka dni temu media obiegła informacja, że Sąd Najwyższy zajmie się kasacjami od wyroku, w którym gdański sąd nakazał Natalii Nitek-Płażyńskiej, by przeprosiła byłego niemieckiego pracodawcę Hansa G. za nagranie go, gdy ten ubliżał Polakom. Nitek-Płażyńska przepraszać nie zamierza. Jak to było zatytułowane w portalu onet.pl? „Żona posła PiS nagrywała swojego szefa. Sprawą zajmie się Sąd Najwyższy". Komuś, kto nie znał sprawy wcześniej, takim tytułem w oczywisty sposób sugeruje się, że jest jakaś afera z żoną posła PiS, a jej „szef" jest Bogu ducha winny. To drobiazg na tle tego, co portal ten robił w innych sprawach – w czasie kampanii prezydenckiej czy przy okazji rocznicy wybuchu II wojny światowej – niemniej drobiazg znaczący, bo mówiący o zasadach pracy redakcyjnej. Tytuł, który miałby inną, prawdziwą wymowę – na przykład „Niemiecki przedsiębiorca szkalował Polaków, teraz żąda przeprosin za to, że go nagrano" – jest w wydawnictwie pilnującym niemieckich interesów nie do wyobrażenia. Nie będę w tym miejscu pisać o własnych przygodach z tym wydawnictwem, nie warto, przypomnę tylko jeden drobiazg. Gdy zaproponowałam, by Niemcy, jeśli chcą pomóc Polsce w walce z pandemią, udzielili polskim lekarzom pracującym za Odrą, którzy chcieliby zaangażować się we wsparcie szpitali w Polsce, płatnych urlopów, niemiecki tabloid „Fakt" zmanipulował to co powiedziałam, głosząc, że rzekomo chcę nakazać lekarzom powrót do Polski. Gazeta ta kłamiąc w ten sposób, występowała – tak, mam prawo do takiej opinii – w interesie niemieckiego rynku zdrowia: gdyby umożliwić polskim lekarzom w Niemczech zaangażowanie się w pomoc w Polsce, niemieckie szpitale mogłyby stracić wiele rąk do pracy. Powtórzę – każdy tydzień przynosi kolejne przykłady, które sprawiają, że mogą pojawiać się takie opinie o charakterze działania wydawnictwa Axel Springer, jak te wyrażane przez polskich dziennikarzy w tekstach czy w mediach społecznościowych, nawet w niezwykle ostrej i krytycznej formie. Zastraszanie ich pozwami tego nie zablokuje. Dobrze, że kolejne procesy objęło monitoringiem Centrum Monitoringu Wolności Prasy i że Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich wspiera pozwanych. To jednak nie wystarczy. Poczynania sądowe Axel Springer zagrażają konstytucyjnym gwarancjom wolności debaty, stanowią próbę ingerencji w nasze wewnętrze sprawy. I instytucje polskiego państwa powinny, muszą, na te poczynania zareagować. **GP**

> Seria procesów, jaką wytacza Axel Springer dziennikarzom, nie pozostawia większych wątpliwości, że działania te mają na celu zdławienie możliwości krytykowania niemieckiego wydawnictwa.

PUBLICYSTYKA

Witold
Gadowski

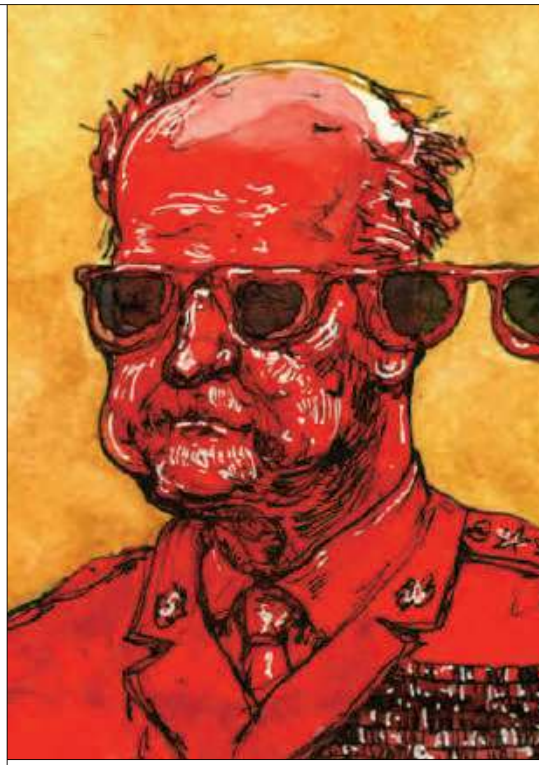

Czerwone serce obywatela Owsiaka

W ciągu 29 lat Jerzy Owsiak co jakiś czas odsłaniał swoje karty. Dziś już nikt nie ma wątpliwości, że jest „autorytetem” wykreowanym jedynie po to, aby szerzyć pożądane przez jego mocodawców poglądy i postawy.

PUBLICYSTYKA

Jeśli jesteś podstarzałym, pozbawionym szczególnych talentów mężczyzną, na dodatek pochodzisz z rodziny komunistycznych aparatczyków i nie znosisz wszystkiego, co wiąże się z polskimi tradycjami, jeśli próbowałeś sił w jakiejś rozgłośni radiowej lub telewizji i niespecjalnie ci wyszło, to pomyśl, że jedynie brak szczęścia sprawił, że nie zostałeś Jerzym Owsiakiem – okadzanym przez media „autorytetem” i guru III Rzeczypospolitej.

Dobre korzenie

Jerzy Owsiak jest tak typowy dla tzw. transformacji PRL w III Rzeczpospolitą, że gdyby nie został precyzyjnie ulepiony, można byłoby stwierdzić, że postkomunistyczni „transformatorzy” coś przeoczyli.

Kiedy komuniści – dzięki działaniom Czesława Kiszczaka – zagwarantowali sobie główne role w kradzieży majątku narodowego i stali się grupą tworzącą „polski kapitalizm”, kiedy większość mediów i instytucji odpowiedzialnych za kształtowanie gustów Polaków zostało tak ukształtowanych, aby komuniści i ich rodziny oraz bezwolne kukiełki z ich kręgu odgrywały tam główne role, przyszła pora na stworzenie areopagu „świętych” Republiki Okrągłego Stołu.

Tu oczywiście komunistyczni kreatorzy też nie zasypiali gruszek w popiele. Naczelnym intelektualistą został obwołany Adam Michnik – tym samym blask spłynął na otaczające go grono politruków, gusta artystyczne miały być strzeżone przez „Gazetę Wyborczą”, tygodnik „Polityka” i powołaną przez to środowisko nagrodę „Nike”. Dawni bolszewicy nie mogli jednak pozwolić na to, aby umknęła im dziedzina charytatywności i pomocy bliźnim. Do 1989 roku nieodmiennie kojarzył się z tym jedynie Kościół katolicki i jego charytatywne agendy. Na to towarzysze nie mogli pozwolić – kiedy bowiem upadają wszelkie autorytety, ludzie instynktownie zwracają się w kierunku tych, którzy „szerzą dobro”.

Korzystając więc z historycznych inspiracji, m.in. także tych obecnych w III Rzeszy Niemieckiej, zręczni kreatorzy „nowej Polski” ulepili sobie nowego bałwanka, gnoma czy bardziej elegancko nazywając zjawisko – postać.

Wybór padł na niewielkiego, krzykliwego potomka milicyjnej rodziny. Wyróżniał się jedynie tym, że – pomimo wady wymowy – usiłował zrobić karierę w Rozgłośni Harcerskiej Polskiego Radia. Był też inicjatorem dziwacznych i niezrozumiałych akcji, takich jak „uwolnić słonia” czy też odciągającego polską młodzież od zainteresowania się antykomunistyczną opozycją Towarzystwa Przyjaciół Chińskich Ręczników.

Prosty przepis na świętego

Korzystając z historycznych wzorców, wymyślono więc wielką akcję charytatywną, która będzie się powtarzała co roku i przynosiła coraz bardziej spektakularne rezultaty. Na jej czele postawiono Jerzego Owsiaka, któremu starannie skrojono strój, sposób zachowania i cały tzw. publiczny image. Dzięki nachalnej propagandzie wszystkich nadwiślańskich mediów „lider” Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy stał się postacią życia publicznego, a w niedługim czasie autorytetem uosabiającym pomoc dzieciom i wszelkie cechy najlepszych i altruistycznych działań skierowanych do potrzebujących i niewinnych istot. Szybko też powstało zjawisko moralnego szantażu polegającego na sakramentalnym zdaniu: nie popierasz Owsiaka, to znaczy, że nie chcesz pomagać potrzebującym dzieciom!

Owsiak miał tylko być głośny i wyróżniać się oryginalnymi strojami, zachowaniem i słownictwem, tak aby każdy widz, słuchacz i czytelnik musiał go zapamiętać.

Kiedy Owsiak stał się już – dzięki wielomilionowej medialnej promocji – znany

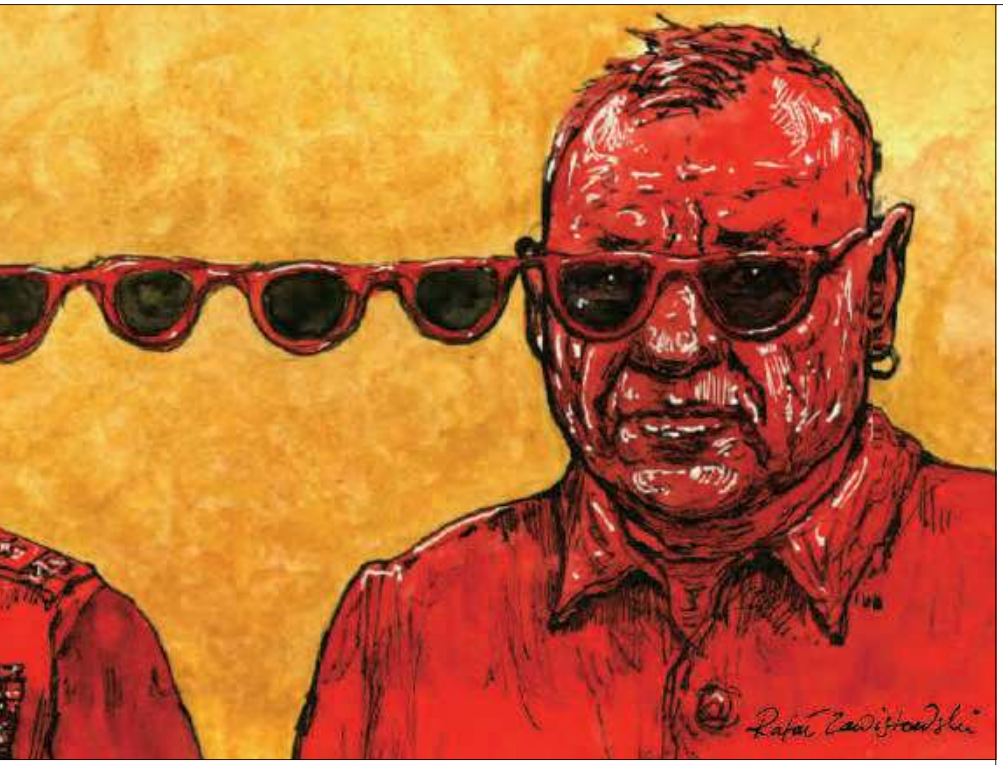

RYS. RAFAŁ ZAWISTOWSKI

i popularny, przyszła pora na zaszczepienie rosnącej rzeszy jego fanów ideologii, jaką chcieli rozplenić w społeczeństwie jego kreatorzy. Pojawiło się hasło „Róbta co chceta", które zaczęło być wypełniane precyzyjnie upakowaną w nie treścią. Owsiak stał się nietykalnym świętym III RP i przyszła pora na to, aby infekował coraz szersze kręgi skrajnie neomarksistowską ideologią. Owsiak stał się więc „lekarstwem" III RP na „parafiańszczyznę" i katolickie wpływy. Co ciekawe, nigdy specjalnie nie wyeksponowano strony religijnej Jerzego Owsiaka, uznano chyba, że promowanie sekty Hare Kryszna nie przyniesie poklasku, więc akurat tę jego cechę pozostawiono w cieniu. Owsiakowi – jako świętemu – wolno było coraz więcej, mógł wzywać do „przyłożenia z Baśki", prowadzić dziwaczne interesy, rozwijać antykatolickie akcje i ogólnie zaprowadzać w Polsce nowy kult, w którym on sam stał się centralną postacią. Owsiak zaczął być arbitrem w politycznych kwestiach i tu oczywiście nie było żadnego zaskoczenia – Jerzy Owsiak twardo stanął po stronie wszystkiego, co kojarzy się z PRL-em i wyobrażeniem postpeerelowskich środowisk na temat kształtu „nowoczesnej Polski". Entuzjasta „przykładania z Baśki" stał się arbitrem elegancji i kreatorem postaw.

Nobel dla Owsiaka

Propagandowa machina postpeerelu tak się rozpędziła, że Owsiak nie tylko otrzymał najważniejsze polskie wyróżnienia i medale (został na przykład „honorowym obywatelem Warszawy", co akurat nieźle współgra z dzisiejszym obliczem tego miasta), lecz także kilkakrotnie był już zgłaszany jako kandydat do… nagrody Nobla.

Przy okazji swojej sztandarowej akcji – WOŚP – Owsiak jedynie półgębkiem mówił o bliskiej mu ideologii, okazją do pełnej wypowiedzi na tym polu stał się organizowany przez niego „Przystanek Woodstock". Tu zarówno zestaw promowanych gości, jak i ideologiczny ton całej imprezy nie pozostawiają cienia wątpliwości co do roli i właściwego zaangażowania „świętego Owsiaka".

Tak jak Owsiak miał się stać remedium na nadwiślańskie wpływy Kościoła katolickiego, tak też miał odegrać znaczącą rolę w wychowaniu dwóch już pokoleń dzieci i młodzieży III RP. Dopóki obowiązywał bezwzględny szantaż mówiący, że każdy, kto ma wątpliwości wobec Owsiaka, jest po prostu złym człowiekiem, dopóty człowiekowi w żółtej koszuli i czerwonych spodniach wolno było niemal wszystko – był nietykalny, a każdy dziennikarz dziesięć razy pomyślał, zanim powiedział lub napisał opinię, która nie była związana z kultem Owsiaka. W III RP była to bowiem najprostsza droga do zwichnięcia sobie kariery.

Pamiętam, że kiedy – wiele lat temu – publicznie pytałem o to, czy publiczność nie widzi przeciętności Owsiaka i jego szkodliwego wpływu na młodzież, środowisko uciekało ode mnie, jakbym był zadżumiony.

Szczęśliwy zmierzch

Dla dzisiejszej młodzieży Owsiak staje się powoli bełkotliwym staruszkiem, dla pokoleń wychowanych w jego kulcie ciągle jednak pozostaje znaczącą postacią. Mimo wszystko jego gwiazda powoli blednie. W ciągu 29 lat Jerzy Owsiak co jakiś czas odsłaniał swoje karty. Dziś już nikt nie ma wątpliwości, że jest „autorytetem" wykreowanym jedynie po to, aby szerzyć pożądane przez jego mocodawców poglądy i postawy. Zmierzch Owsiaka zaczął się w momencie, gdy powoli – na skutek zmian w krajobrazie politycznym – zaczęła być wyłączana sztucznie wspomagająca go aparatura medialna. Dopiero wtedy wiele osób zamiast stąpającego po medialnym Parnasie demiurga, ujrzało przeciętnego, podstarzałego, niewielkiego facecika miotającego wulgarne obelgi pod adresem swoich politycznych adwersarzy (Owsiak wszak jest ważną częścią postkomunistycznego projektu pod nazwą III RP), który – poza stekiem wyzwisk i poprawnie brzmiących banałów – nie ma zbyt wiele światu do zakomunikowania. Odejście Owsiaka z TVP było jednym z najbardziej znaczących kroków do przywrócenia go do naturalnych rozmiarów. Przez wiele lat ogromne, publiczne pieniądze były inwestowane w kreowanie wizerunku „największego dobroczyńcy III RP" – można nawet pokusić się o stwierdzenie, że sumy publicznego grosza zainwestowane w Owsiaka równają się dorobkowi WOŚP, jeśli go nie przewyższają.

Od największych „aniołów charytatywności" różni Owsiaka także to, że nigdy nie przeznaczał na pomoc dzieciom własnych pieniędzy, zawsze były to środki pochodzące z publicznej zbiórki. Tak będzie – choć na dużo mniejszą skalę – i w tym roku. **GP**

Dawid
Wildstein

Marzenie o byciu chamem

Trybunał Konstytucyjny opublikował uzasadnienie tzw. wyroku w sprawie aborcji. W reakcji Lempart, z wdziękiem pijanego żula, ponownie wdarła się do debaty publicznej, reanimując Strajk Kobiet. Oczywiście nikt nawet nie próbował polemizować z tezami zawartymi w uzasadnieniu TK. Nie o to chodzi Lempart i pompującym ją mediom czy politykom. Ma być tylko coraz ostrzej, głupiej i agresywniej. Pytanie, czy ta strategia przyniesie efekty?

PUBLICYSTYKA

Patrząc na to, co robi Lempart, ciężko wręcz nie odnieść wrażenia, że nie o aborcję tu chodzi, lecz o brutalizację języka debaty publicznej i możliwe rozhuśtanie emocji. Jak stwierdziła sama przywódczyni Strajku Kobiet – ludzie, którzy nic nie wiedzą i nic nie potrafią, są zdolni do wszystkiego. Oczywiście chodziło jej o PiS, ale tak naprawdę idealnie opisała siebie.

Biorąc Lempart na poważnie

Gdyby wziąć Lempart na poważnie, wówczas to, co proponuje, byłoby zupełną rewolucją i demontażem państwa. Oczywiście przywódczynie strajku nie są w stanie zaproponować niczego w zamian. Postępujący radykalizm idzie tu w parze z coraz głupszymi, bardziej prymitywnymi pomysłami, z brakiem jakiejkolwiek spójnej wizji politycznej, innej niż „wyp***alać". Lempart czy Suchanow prześcigają się w najdziwniejszych projektach, swoistym rekordem był postulat rozwiązania sejmu bądź brednie o radach obywatelskich, złożonych z zasłużonych dla demokracji bojowników, wybierających następnie polityków. Może dziwić, że po tylu miesiącach działalności Strajk Kobiet nie zdołał wykrzesać z siebie żadnej pozytywnej inicjatywy politycznej. Tyle że Lempart czy Suchanow plotą w tej materii, co im ślina na język przyniesie, bo wiedzą, że nie z tego będą rozliczane. O żadną rewolucję tu nie chodzi, lecz o zadymę i awanturę. Ciężko jednak nie zauważyć, że mamy tu do czynienia z odgrzewanym kotletem. Wszystko wskazuje na to, że aktualne manifestacje będą nieporównanie mniejsze niż te kilka miesięcy temu. Okoliczności, na szczęście, już tak Lempart nie sprzyjają. Po pierwsze, doszło do znacznej kompromitacji samego strajku i jego liderek, po drugie społeczeństwo (nie bagatelizując związanej z tym frustracji) wypracowało poprzez ostatnie miesiące inne sposoby ujścia negatywnych emocji związanych z obostrzeniami. Oczywiście coraz większy brak akceptacji dla restrykcji na pewno jest dla PiS-u ryzykiem i może sprzyjać Lempart, jednak Strajk Kobiet jest już tylko jednym z pasożytujących na tych emocjach zjawiskiem, a nie, jak to miało miejsce jeszcze w 2020 roku, głównym ich „beneficjentem". Lempart zostaje więc tylko to, co ostatnio – i widać to już po sposobie działania strajku w ostatnich dniach. Agresja, prowokacje wobec policji, nadzieja, że w końcu odpowiedzą adekwatnie do zachowania protestujących. Skądinąd to, jak łagodne wobec protestujących są służby porządkowe, świadczy o tym, że strajkujący nie są szykanowani, a wręcz odwrotnie – uprzywilejowani. Nie wspominając już o tym, w jaki sposób zostaliby potraktowani w swoich ukochanych demokracjach, takich jak Francja czy Niemcy.

Potrzeba bycia żulem

Szansa na to, że kolejna fala protestów strajku stanie się katalizatorem jakiejś zmiany politycznej, jest wysoce nieprawdopodobna. Raczej po chwilowym wzmożeniu będziemy mieć do czynienia z powolną erozją na wzór Komitetu Obrony Demokracji. Zresztą jest to także na rękę deklaratywnym sojusznikom Lempart, czyli totalnej opozycji. Zadyma, poczucie destabilizacji, wrażenie kryzysu, skrajna brutalizacja debaty publicznej? To wszystko pasuje Platformie i jej klonom. Ale jednocześnie, patrząc na kolejne wybory, zbytnie utożsamienie tej partii z tymi awanturami, z groteskowo skrajnym lewactwem przywódczyń strajku czy w końcu urośnięcie

FOT. PAP/LESZEK SZYMAŃSKI

Przy całej różnicy światopoglądowej między KOD-em a skrajną lewicą ze Strajku Kobiet, w obu wypadkach działa ten sam mechanizm napędzający, te same emocje. Poczucie pogardy wobec innego i wiara we własną wyższość.

w siłę skrajnej lewicy – nie są dla PO opłacalne. Będzie więc spokojnie obserwować dogorywanie tej inicjatywy, podpalając ją, za pomocą swoich mediów, tylko na krótko, gdy zajdzie taka potrzeba. O ile jednak można bagatelizować zjawisko zwane Strajkiem Kobiet pod kątem politycznym, o tyle nie powinniśmy tego robić, jeśli chodzi o jego wymiar kulturowy. Lempart i jej zachowanie bardzo wiele nam mówi o elitach związanych od dekad z establishmentem III RP, o tym środowisku wyrosłym na gruncie transformacji, przez lata związanym z „Wyborczą" (teraz zaś z całą konfederacją mediów, takich jak TVN, „Newsweek" etc.), które czują się tą lepszą, bardziej europejską częścią Polski, o prawdziwej twarzy tego słynnego, tolerancyjnego liberalizmu czy lewicy. Okazuje się, że te wszystkie samozwańcze elity, salony aspirujące do miana „lepszych Polaków", ci – we własnych oczach – kulturalni reprezentanci wyższych sfer, obrońcy, od lat tworzący tamę przed populizmem, brutalnością, prostactwem i chamstwem – sami są skrajnymi prymitywami. Marzącymi tylko o tym, żeby wskoczyć w dres i zachowywać się jak pijany menel spod budki. Dzięki Strajkowi Kobiet wyraźnie widać, że cały ich opis tej „strasznej Polski", wizja, która ma służyć tłumaczeniu swojej dominującej pozycji i poczucia lepszości, to tylko projekcja ich samych. Że opisując tak swojego wroga – mówią o sobie. O własnej brutalności, chamstwie, głupocie i braku tolerancji.

Pożytki z Lempart

Lempart i Strajk Kobiet to tylko kolejny dowód na to, że skrajna dehumanizacja oponenta ma ukryć albo usprawiedliwić własną dehumanizację. Cały dyskurs pogardy i nienawiści ma służyć właśnie temu – tłumaczeniu własnej brutalności i prymitywizmu. Oczywiście Lempart nie jest żadnym novum. To tylko nowa twarz starego, immanentnego dla III RP zjawiska. Idealny produkt procesu trwającego od lat. Ciężko nie odnieść wrażenia, że przywódczynie strajku wzorują się wręcz na działalności Palikota. Przejmują retorykę tygodnika „Nie" i Urbana. Nie muszą robić tego świadomie. Są już tak głęboko zanurzone w tej pełnej nienawiści narracji, że stała się ona dla nich naturalna. Zresztą od lat badania pokazują, że to „lewa strona" bardziej nienawidzi i jest mniej skłonna do uznania innych poglądów. Stąd też, na poziomie ideologii, zadziwiający, a jednocześnie oczywisty sojusz między polską lewicą a liberałami. Przy całej bowiem różnicy światopoglądowej między KOD-em a skrajną lewicą ze Strajku Kobiet, w obu wypadkach działa ten sam mechanizm napędzający, te same emocje. Poczucie pogardy wobec innego i wiara we własną wyższość, przekonanie o tym, że rodacy są wręcz gorszym gatunkiem człowieka, można więc traktować ich jak bydło. W końcu – głębokie wrażenie, że ostatnie lata zaburzyły naturalną hierarchię, właściwy, wręcz biologiczny podział na tych lepszych i gorszych. W tej całej ponurej i patologicznej sytuacji tkwi jednak pewien optymistyczny dowcip. Otóż cała działalność Lempart jest dowodem na to, jak mylą się oni w ocenie Polaków. Gdyby rzeczywiście nasz przeciętny rodak był tym czarnym ludem z opowieści „Wyborczej" – ta niesłychana brutalizacja i agresja Strajku Kobiet powinna mu odpowiadać. Powinna na niego działać, przekonywać go, cieszyć. Tymczasem wszystkie badania i sondaże pokazują co innego. Że Polacy en masse nie chcą mieć jednak z tą barbarią nic wspólnego. Że wolą trzymać się od niej z daleka. Że przesadna wulgarność i agresja nie są metodami, które mogą przekonać większość. W ten sposób ta patologia, jaką jest Lempart i jej banda, posiada też pozytywne elementy – pokazując nam także miłą prawdę o Polakach. **GP**

Krzysztof
Wołodźko

HOŁOWNIA z nogą na minie

Polska 2050? A może Platforma 2050? Lub nawet .P 2050, by nawiązać do pierwotnej nazwy „Nowoczesnej z kropką"? Im wyżej Szymon Hołownia, tym większy może być jego upadek.

Inicjatywa polityczna Szymona Hołowni, którą znamy dziś jako Polska 2050, od swoich początków rozwijała się na zasadzie samospełniającej się przepowiedni. Powszechne poczucie zmęczenia, świadomość kolejnych politycznych porażek wśród szeregowego elektoratu i elit stojących za opozycją było dojmujące na długo przed wyborami prezydenckimi 2020 roku. Jeszcze w czasach przed pandemią widać było, że ani Platforma Obywatelska, ani Lewica coraz bardziej nie spełniają oczekiwań lewicowo-liberalnych przeciwników Zjednoczonej Prawicy. A ponieważ – wbrew pewnemu stereotypowi – opozycyjne sitwy i koterie nie stanowią monolitu, nie jednoczy ich często nawet wspólny wróg, to okno możliwości otworzyło się samo – i jak diabeł z TVN-owskiego gadającego pudełka wyskoczył w odpowiednim momencie Szymon Hołownia.

„Trzecia droga" Hołowni

Nie ma sensu na nowo opowiadać historii związanej z wyborami prezydenckimi w czas pandemii w 2020 roku. Manichejska niemal walka metapolityczna między Andrzejem Dudą a Rafałem Trzaskowskim temu pierwszemu zapewniła w pełni zasłużoną drugą kadencję; temu drugiemu dała szansę na własny projekt polityczny, który podręcznikowo zmarnował w najlepszym stylu Platformy Obywatelskiej, coraz mocniej i bardziej oddanej tańcowi świętego Wita. A trzecie miejsce w I turze, jakie zdobył Szymon Hołownia (2 693 397 głosów), dało mu impuls do śmiałych harców w Sejmie i Senacie. Zaczął polityczne kuszenie polityków opozycji, których poczucie lojalności względem własnych formacji mocno nadwątlało po kolejnych wygranych przez Prawo i Sprawiedliwość wyborach.

Szymon Hołownia i jego zaplecze dobrze zrozumieli, że w tak niekorzystnych dla opozycji realiach politycznych trzeba dokonać niewielkiej, lecz istotnej korekty opozycyjnej opowieści o czasach Prawa i Sprawiedliwości. Czym jednak zastąpić logikę skrajnej negacji, przy pomocy której totalna opozycja próbowała nieskutecznie ratować twarz w kolejnych latach? Pomysł Hołowni, prosty i skuteczny, możemy nazwać w skrócie: „tak, ale". Z jednej strony Hołownia mówi: „Tak, opozycja ma rację, ale...", z drugiej: „Tak, PiS zrobił dobrze, ale...".

Hołownia zatem na ogół popiera postulaty opozycji, zarówno parlamentarnej, jak i ulicznej, mówi jednak, że należy działać w sposób bardziej przemyślany, nie krzywdzić uczuć religijnych zwykłych katolików itd., itp. Twardy trzon lewicy i liberałów to oczywiście rozjusza, ale dla niemałej części ich wyborców jest przekonujące. Po pierwsze, bo mają poczucie, że Platforma działa wedle logiki „żeby było tak, jak było", po drugie: bo fanatyzm awangardy lewicy zniechęca ludzi, u których postępowość nie przerodziła się choćby w antychrześcijańską fobię.

Nowe problemy, nowe aspiracje

Równocześnie Szymon Hołownia (czy może ludzie, którzy za nim stoją) zrozumiał, że rosną aspiracje i oczekiwania przynajmniej części Polaków i Polek wobec współczesnych i nadchodzących wyzwań. Hołownia długo przekonywał, że społeczny program PiS to krok w dobrym kierunku. Zaczął też otaczać się ludźmi o sporym autorytecie w świecie trzeciego sektora,

FOT. PAP/PAWEŁ SUPERNAK

którego niemała część ma dziś kosę z rządzącą partią. I przed prezydenckimi wyborami, nie siląc się na zbyt szczegółowy program, wskazał jednak demografię, dramatyczną sytuację ze smogiem, kłopoty z ochroną zdrowia, problemy osób z niepełnosprawnościami i ich opiekunów/opiekunek jako polskie niedogodności. Wziął trochę od ruchów miejskich, trochę od społecznej lewicy, trochę od ekologicznie wrażliwej młodej klasy średniej, trochę od ruchu klimatycznego – to wystarczyło, żeby pokazać, że proponuje „trzecią drogę" zarówno wobec zgranej do imentu śpiewki opozycji, która nie uczy się na błędach, jak i wobec PiS-u, który nie za bardzo może pozwolić sobie z przyczyn różnych na śmielsze polityczne wycieczki w takich kierunkach. Co dobrze zresztą pokazała sprawa oryginalnej „piątki dla zwierząt".

Tyle że właśnie Szymon Hołownia stanął nogą na minie. Może jeszcze nie stąpnął, ale podeszwę ma coraz bliżej gruntu. I albo okaże się politycznym Robocopem, albo politycznie podryfuje w stronę Ruchu Palikota lub tak zwanej Nowoczesnej. Dopóki ikoną politycznych przejęć Hołowni była Hanna Gill-Piątek, lider Ruchu 2050 mógł udawać przed szerszym gronem wyborców, i przed częścią swojego wciąż nielicznego aktywu w mniejszych miejscowościach, że buduje nową polityczną jakość. Co więcej, że stawia na projekt oparty na pewnej społecznej wrażliwości i wsłuchaniu się w różne, często politycznie nieartykułowane, lecz coraz żywsze potrzeby społeczne. Otwartym katolikom z dobrych dzielnic polskich miast i suburbanizowanych wsi, których Hołownia przyciąga, nie przeszkadzało przecież, że Gill-Piątek jest za liberalizacją w sprawach aborcji. Coraz częściej i oni są za tym.

Nieświeżaki w Polsce 2050

Ale z posłanką Joanną Muchą na pokładzie, z senatorem Jackiem Burym na pokładzie – Polska 2050 traci polityczne dziewictwo i efekt świeżości. To wybrzmiało bardzo mocno, gdy tylko okazało się, że tych dwoje wiąże swe losy z projektem Hołowni. Z jednej strony negatywnie zareagował elektorat – i to niekoniecznie zdecydowanie propisowski, z drugiej – bardzo krytycznie zareagowała część aktywistów raczkującej Polski 2050. To są często ludzie, którzy jak ognia chcieli uniknąć w terenie jakichkolwiek skojarzeń z Platformą Obywatelską. Bo one są dla nich i dla ich inicjatywy zabójcze. Oznaczają, że lokalne społeczności z miejsca skojarzą ich z lokalnymi, samorządowymi platformerskimi sitwami, z układami, które ciągną się przez dekady.

Liczy się także wymiar ogólnopolski. Przypomniano to już setki tysięcy razy w ostatnim czasie, więc już tylko dla porządku odnotujmy, że szczególnie na widok Joanny Muchy licznym beneficjentom polityki społecznej i rodzinnej rządzącej partii i jej koalicjantów zapala się nie czerwona, ostrzegawcza lampka, lecz włącza alarm na pełnej petardzie. Taki z wyjącymi syrenami i wypuszczonymi w niebo i na ziemię reflektorami. I odtąd ludzie będą bacznie śledzić, kogo to jeszcze planuje przygarnąć „polityczny świeżak" Hołownia do swojego projektu. I czy aby nie będzie to tabun politycznych nieświeżaków, partyjnych starych zombie z Platformy, PSL i Lewicy. Ludzi od zawsze zainteresowanych swoimi karierami, ale też od zawsze mało ciekawych tego, jak się żyje od pierwszego do pierwszego zwykłym Polakom i Polkom.

Polska 2050 będzie musiała zdetonować minę, związaną z transferem ważnych figur liberalnego establishmentu. Być może będzie musiała wkrótce wymyślić też jakąś dobrą opowieść o tym, dlaczego popiera ją Donald Tusk. Były premier to polityk z garbem potężnego negatywnego elektoratu, ale też cenny sojusznik w walce między Polską 2050 a Platformą Obywatelską. Trudno w tym momencie przesądzać o wizerunkowych i sondażowych efektach tych transferów i politycznych wolt. Hołownia, choć z niezłym powodzeniem sprzedaje ostatnio jako swoją razemową opowieść, że „inna polityka jest możliwa", będzie musiał wytłumaczyć niemałej rzeszy ludzi, skąd platformerski zaciąg w jego szeregach. Być może uda mu się, jeśli Polacy i Polki, nadto zmęczeni kolejnym trudniejszym niż byśmy chcieli rokiem, rozgrzeszą stare wilki w nowej politycznej skórze. Ale może też skończyć na tej minie, poszarpany niczym polityczny kadłubek, odstawiony na boczny tor jak wcześniej Janusz Palikot czy Ryszard Petru. **GP**

Ryszard **Czarnecki**

O KRADZIONYCH KUFLACH W BIAŁYM DOMU **I PREMIERZE FRANCJI, CO KAZAŁ SIĘ ROZBIERAĆ...**

Słychać, że po zwycięstwie Bidena w USA nastąpi teraz honeymoon, czyli miesiąc miodowy w relacjach Waszyngton–Berlin. Oczywiście w przeciwieństwie do ery Trumpa, która była epoką lodowcową. Skoro teraz Jankesi z Teutonami mają sobie pić z dzióbków, to przypomniała mi się anegdota z czasu, gdy prezydentem USA był Thomas W. Wilson (1913–1921) – tak, ten patron placu na Żoliborzu w Warszawie. Urządził on uroczyste party dla swojego gościa z Niemiec. Chcąc być miły dla przybysza znad Renu, postanowił, że przyjęcie będzie w formie typowego niemieckiego celebrowania picia piwa. Pojawił się jednak problem: w Białym Domu nie było… odpowiednich kufli do piwa. W związku z tym zwrócono się do znanej w Waszyngtonie piwiarni należącej do Niemca Gerstenberga, aby takowe kufle wypożyczył. Ten uznał to za świetną reklamę i kufle trafiły do pałacu prezydenckiego. Jednak czar prysł już na początku przyjęcia, gdy niemiecki gość spojrzał na dno kufla raz, drugi i trzeci – po czym gospodarz zobaczył malujące się na jego twarzy osłupienie. Wówczas zerknęli i zobaczyli napis: „skradzione u Gerstenberga"...

Wracając do naszych baranów, czyli czasów współczesnych, to 46. prezydent w dziejach USA Joseph Robinette Biden u mnie zapunktował, bo powiedział o Nord Stream 2 tak, jak ja bym mu to napisał. Zatem nie tylko Rosjanie, lecz także Niemcy – bo Gazociąg Północny to owoc romansu tych dwóch nacji – dostali, póki co, fangę w nos. Cieszmy się z tego, gdy się jeszcze cieszyć można. Być może to miłe złego początki. Lecz być może, że – pomijając politykę wewnętrzną, gdzie o zmiany jest łatwiej – na zewnątrz nowy lokator Białego Domu będzie się „trumpizował" i stawiał na kontynuację, a nie robił jakieś resety i inne cuda na kiju, jak to uczynił imć Obama. Skądinąd ze swoim zastępcą Bidenem… Dodajmy, że w tej ferajnie była też nieszczęsna Hilary Rodham Clinton jako sekretarz stanu, a więc szef MSZ. Znała się ona na polityce zagranicznej mniej więcej tak jak ja na chińskim balecie.

Z racji tego, że następca pani Clinton – Anthony Blinken – dobrze zna francuski i sporo czasu we Francji spędził, pojawiły się uzasadnione przypuszczenia, że teraz nastąpi odwilż w relacjach Biały Dom – Pałac Elizejski, w myśl polskiego wierszyka: „Na górze róże, na dole fiołki, a my się kochajmy jak dwa aniołki". Dotychczas Trump z Macronem żyli jak pies z kotem, a francuski prezydent Emmanuel musiał znosić ostentacyjne lekceważenie ze strony Donalda Johna.

46. prezydent USA Joseph Robinette Biden zapunktował u mnie, bo powiedział o Nord Stream 2 tak, jak ja bym mu to napisał.

W związku z, za przeproszeniem, stosunkami amerykańsko-francuskimi przypomina mi się anegdota dotycząca francuskiego premiera Georgesa Clemenceau, z zawodu lekarza. Zanim poświęcił się zawodowej polityce, starał się godzić bycie doktorem i politykiem. Właśnie przyjmował pacjentów w swoim gabinecie i kazał się rozebrać facetowi wyglądającemu na gruźlika. Drugi też kaszlał jak gruźlik, doktor Clemenceau również kazał mu zdjąć ubranie. W tym momencie do poczekalni wszedł dobrze zbudowany młodziak, który widząc przez otwarte drzwi gabinetu dwóch rozebranych gości, sam szybko zrzucił łachy, po czym, niepytany, zwrócił się do Monsieura Clemenceau: „Chciałbym dostać posadę na poczcie"…

Teraz w administracji Bidena będą zatrudniać na potęgę... **GP**

RYS. MIROSŁAW ANDRZEJEWSKI

GAZETA POLSKA

Józef
Wieczorek

Trąd w Pałacu Nauki

Napisana kilkadziesiąt lat temu przez Ugo Bettiego sztuka „Trąd w Pałacu Sprawiedliwości" obrazowała włoski system sprawiedliwości będący w stadium rozkładu moralnego. Nie bez przyczyny sztuka ta cieszyła się w PRL (po odwilży) dużą popularnością, zważywszy na ówczesny stan komunistycznego wymiaru sprawiedliwości. Sztuka wielokrotnie była powtarzana w telewizji, a ja po jej obejrzeniu w 1987 roku, w epoce jaruzelskiej, zauważyłem duże analogie do zdegradowanego już wówczas świata akademickiego. Właśnie po kilku latach działań operacyjnych zostałem skazany na wypędzenie z wzorcowej polskiej uczelni (UJ), bez możliwości odwołania się do sądu, bo w taki sposób junta Jaruzelskiego przygotowała oczyszczenie uczelni z niewygodnego elementu, a władze uczelni wprowadzały to w życie. Podjąłem jeszcze próbę rozmowy z rektorem-elektem prof. Aleksandrem Kojem, zasłużonym dla przeprowadzenia czystki akademickiej, i zjawiłem się w jego gabinecie, jakoś tak na drugi dzień po obejrzeniu sztuki Ugo Bettiego. Rozmowa była drętwa i tylko potwierdzała moją opinię o degrengoladzie władzy. Miałem ze sobą tekst Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka i pokazałem palcem to, co się na jego uczelni dzieje i co on wyprawia wbrew Deklaracji. Bez zainteresowania.

Zapytałem zatem wprost rektora in statu nascendi, czy może oglądał wczoraj „Trąd w Pałacu Sprawiedliwości". Odrzekł, że nie. Ciągnąc temat pytałem, czy nie sądzi, że trąd panuje w Pałacu Nauki. Tego było już za wiele i rozmowa się skończyła poprzez przyjęcie postaw spionizowanych, a lewa ręka rektora posłużyła za drogowskaz, zgodnie z którym opuściłem gabinet rektora, a niedługo potem uczelnię. Ja wyszedłem, ale trąd pozostał, przetrwał w uczelni okres transformacji i jak to bywa z chorobami zakaźnymi – rozpowszechniał się w całej domenie akademickiej, aż do dnia dzisiejszego. Lockdownu dla trędowatych akademików nie zastosowano, a jedynie dla wypędzonych z uczelni, stąd ja – mimo reform – pozostałem poza uniwersytetem, jako persona non grata. Mamy dziś oznaki, że trąd opanował nawet gremia etyczne, i to w samym wnętrzu Pałacu Nauki, czyli w PAN. Komitet Etyki w Nauce PAN – jakby zatrwożony pomysłem ministra nauki (Pakiet Wolności Akademickiej) złagodzenia objawów trądu zniewalającego akademików – uznał, że takie poglądy stanowią zagrożenie dla nauki, która nie tylko od światopoglądu, lecz także od filozofii powinna być niezależna.

Komitet bliższej filozofii swego stanowiska nie wyjaśnia, jakby dla zachowania zgodności swojej tezy o konieczności rozdziału filozofii od nauki. Jeszcze w II RP przyznawano na uczelniach doktoraty z filozofii, dodając, w zakresie jakiej dyscypliny, na przykład w zakresie geologii. I nie był to zły okres dla nauki w Polsce. Dziś komitet PAN zarzuca projektowi ministra „traktowanie nauki jako areny propagowania przekonań religijnych, światopoglądowych lub filozoficznych. Wdrożenie regulacji, która zachęca do prowadzenia sporów na te tematy w debacie naukowej, nie tylko nie przyczyni się do podniesienia jakości tej debaty, ale wprowadzi w nią chaos i utrudni zarówno badania naukowe, jak i przekazywanie wiedzy". Czyli co? Prowadzenie sporów filozoficznych utrudni badania naukowe? Co na to nasi liczni filozofowie, którzy są także wśród członków komitetu PAN? Kiedyś filozofię traktowano jako królową nauk, jako umiłowanie mądrości, która akademikom była bardzo przydatna. Dziś zrezygnowano z poszukiwania prawdy na uniwersytetach, które weszły w okres postprawdy, kiedy mądrość tylko utrudnia badania i awanse naukowe, a głupota i kłamstwa jak najbardziej je ułatwiają. To tłumaczy, dlaczego mamy tyle idiotycznych badań i takie brednie wypisują/wypowiadają nawet najbardziej utytułowani akademicy. Trudno tego nie odczytywać jako kontynuację komunizmu, kiedy ideologia dominowała nad nauką, sporów filozoficznych nie było, bo filozofia jedynie słuszna, i to marksistowska, ułatwiała badania i awanse naukowe oraz pozwalała nawet hodować gruszki na wierzbie.

Komitet PAN nie wystąpił jednak o wycofanie ministerialnego rozporządzenia zamieszczonego w dzienniku ustaw z 20 września 2018 roku, zgodnie z którym nie dokonano rozdziału filozofii ani teologii od nauki: filozofia – jako dyscyplina naukowa – umieszczona jest wśród nauk humanistycznych, a teologia – jako dyscyplina naukowa – wśród nauk teologicznych. A zatem również spory filozoficzne i teologiczne w debacie naukowej niejako są wpisane do systemu nauki. Minister nauki do tej pory jednak nie wystąpił o likwidację Komitetu Etyki w Nauce PAN. **GP**

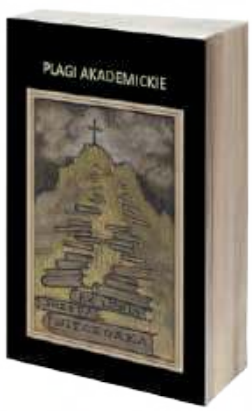

W sklepie „Gazety Polskiej" na www.sklepgazetapolska.pl lub pod numerem telefonu 722 111 655 mogą Państwo zamówić książkę „Plagi akademickie" autora niniejszej rubryki – Józefa Wieczorka.

Igor **Szczęsnowicz**

Konrad **Wysocki**

ATAK NA GROTY A UKRAIŃSKI PRZETARG

MANIPULACJE WOKÓŁ POLSKIEGO KARABINKA

Wadliwy, zagrażający żołnierzom i dopuszczony do armii bez badań kwalifikacyjnych – to główne tezy, które znalazły się w artykule portalu Onet.pl poświęconym polskiemu karabinkowi Grot. Autorzy tekstu powołują się na raport z testów broni, które miał przeprowadzić zespół pod nadzorem Pawła Mosznera, byłego oficera jednostki GROM. – Zarzuty sformułowane w artykule Onetu są bzdurne. Grot to jeden z najnowocześniejszych karabinków, który sprawdza się doskonale – mówi „GP" Antoni Macierewicz, były minister obrony narodowej. Co ciekawe, materiał o rzekomej wadliwości Grotów opublikowano w momencie, gdy zainteresowanie zakupem tego typu uzbrojenia wykazuje Ukraina.

Flagowy polski karabinek Grot rdzewieje, przegrzewa się, zapiaszczony zacina się, kolba pęka przy uderzeniu, niektóre usterki uniemożliwiają strzelanie – wynika z testów, jakie przeprowadzili eksperci – czytamy w pierwszych słowach artykułu, który 25 stycznia pojawił się na portalu Onet.pl. Autorzy powołują się na raport byłego oficera GROM-u Pawła Mosznera i jego zespołu, który miał przeprowadzić testy broni. W materiale wskazano również, że większość wad Grota była znana jeszcze przed podpisaniem kontraktu (2017 rok) na dostawę ponad 50 tys. ka-

Nad kwestią rzekomej wadliwości karabinków pochylił się też portal Sputnik, uznawany za tubę propagandową Rosji i posiadający polskojęzyczną stronę.

rabinków do armii, jednak je zignorowano. Teraz za wszystkie usterki obciąża się żołnierzy, którzy muszą m.in. płacić za zgubione na poligonie części Grota.

Manipulacja na szeroką skalę

Na doniesienia Onetu natychmiast zareagowali główni zainteresowani, czyli Dowództwo Wojsk Obrony Terytorialnej (gestor karabinków) oraz Polska Grupa Zbrojeniowa i Fabryka Broni Łucznik w Radomiu – producent broni. „Publikacja (…) bazuje niemal wyłącznie na anonimowych wypowiedziach osób i publikacji archiwalnych zdjęć egzemplarzy pochodzących z pierwszych partii produkcyjnych (…). Jeśli ktokolwiek ma prawo wypowiadać się na temat doświadczeń z użytkowania karabinków Grot, to na pewno nie są to osoby, które swoje opinie budują na podstawie pojedynczych obserwacji, lub generałowie, którzy nie mieli tego karabinka w rękach" – wskazał rzecznik prasowy WOT płk Marek Pietrzak. W obszernym komunikacie Dowództwo WOT wypunktowało również wszystkie przekłamane tezy, które znalazły się w artykule Onetu. „Przed wdrożeniem do produkcji broń przeszła wymagane badania kwalifikacyjne pod nadzorem specjalnie powołanej komisji państwowej. Badania obejmowały szeroki zakres, w tym sprawdziany wytrzymałościowe i bezpieczeństwa. Ich przebieg był pomyślny i potwierdził parametry deklarowane przez producenta" – to z kolei wspólne stanowisko PGZ i Fabryki Broni Łucznik.

ROZWIJANA KONSTRUKCJA

W latach 2017–2020 Fabryka Broni Łucznik dostarczyła do Sił Zbrojnych RP 43 700 karabinków Grot. Od stycznia br. do jednostek trafiają już najnowsze wersje karabinka – A2.

Drugie dno publikacji

Zarówno minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak, jak i płk Marek Pietrzak z WOT-u wskazali, że publikacja artykułu szkalującego polski karabinek GROT nie była przypadkowa. – Artykuł Onetu odbił się szerokim echem w mediach ukraińskich. Pisano wręcz o skandalu z udziałem polskiego karabinka. „Ukraina prowadzi właśnie proces zakupu karabinków produkowanych na Zachodzie, a więc z takim kalibrem, który dotyczy sprzętu NATO" – przypomniał Błaszczak. „Stawiam tezę, że artykuł jest elementem walki lobbystów, co miało już miejsce w przeszłości w kontekście karabinka Grot" – wskazał z kolei płk Pietrzak w oficjalnym komunikacie WOT. Warto podkreślić, że nad kwestią rzekomej wadliwości karabinków pochylił się też portal Sputnik, uznawany za tubę propagandową Rosji i posiadający polskojęzyczną stronę.

W styczniu branżowe media poinformowały, że ukraińska armia rozpoczęła starania o pozyskanie karabinu dla żołnierzy o kal. 5,56 × 45 mm, czyli zgodnym ze standardem NATO. Szacunkowy budżet miał oscylować wokół 2 mln dolarów. Nowe karabinki miałyby zastąpić mocno wyeksploatowane przez tamtejsze wojsko karabiny AK-74 kal. 5,45 x 39 mm oraz 7,62 x 39 mm. **GP**

KOMENTARZ

GROT TO SOLIDNA I SPRAWDZONA BROŃ

Tego typu wady, przywoływane w artykule Onetu, zdarzały się wyłącznie jednostkowo. W armii jest ponad 40 tys. Grotów, głównie w Wojskach Obrony Terytorialnej, a wszystkie razem wady i zastrzeżenia nie przekroczyły w ciągu minionych czterech lat 4 proc. W tym absolutna większość dotyczyła magazynków, które zostały już dawno wymienione. Pozostałe przywoływane przez autorów przypadki są jednostkowe, nieprzekraczające nawet 0,01 proc. używanych karabinków.

Wszystkie formalności, wtedy, kiedy jako szef MON podejmowałem decyzję o podpisaniu umowy z fabryką radomską, zostały przeprowadzone. I to przeprowadzone ze skutkiem nieporównanie lepszym nie tylko w stosunku do dotychczas powszechnych w Wojsku Polskim karabinków Beryl, ale także karabinków niemieckich i czeskich konkurentów. Nie ma więc wątpliwości, że ta decyzja została podjęta po przeprowadzeniu niezbędnych analiz i weryfikacji tego karabinku. Oczywiście są takie rodzaje broni, które musimy sprowadzać z zewnątrz, zwłaszcza z USA, ale w im większym stopniu będziemy korzystać z polskiej broni, tym lepiej, a Grot jest tego dobrym i skutecznym przykładem.

Istotą rzeczy całej tej operacji, z którą mamy do czynienia, w której Onet odgrywa rolę tuby propagandowej, jest oczywiście działanie pana gen. Mirosława Różańskiego, który jest, jak wiadomo, głównym przeciwnikiem Wojsk Obrony Terytorialnej i gromadzi wokół siebie podobnie myślących wojskowych. Jego działania przeciwko WOT były systematycznie podejmowane, gdy tylko zaczęły one być przeze mnie organizowane już pod koniec 2015 roku.

Antoni Macierewicz,
minister obrony narodowej
w latach 2015–2018

FOT. TOMASZ HAMRAT/GAZETA POLSKA

NAWALNY – zabójczy śmiech z Putina

NIERÓWNY POJEDYNEK PSYCHOPATY Z JEGO ZAKŁADNIKIEM

Nawalny zrobił rzecz, która nie ma precedensu w długiej historii mordów dokonywanych bezkarnie przez FSB na wrogach Putina. Kat przyznał się ofierze – przed całym światem. Fakt, że ujawnił dane sądząc, że rozmawia z człowiekiem przewodniczącego Rady Bezpieczeństwa Rosji, nie pozostawia też wątpliwości, że sam kat jest głęboko przekonany, że była to decyzja autoryzowana przez Putina. Tak Nawalny ośmieszył rosyjskie służby, których boi się cały świat. Śmiertelnie też ośmieszył Putina.

Piotr **Grochmalski**

Niemal wszystkie agencje światowe umieściły tę wiadomość na pierwszym miejscu – Aleksiej Nawalny, pięć miesięcy po tym, jak dwukrotnie podległe Putinowi służby próbowały go zabić, 17 stycznia 2021 roku wraca do Rosji. Jest z nim żona Julia i brat Oleg. Rzuca wyzwanie człowiekowi, za rządów którego w FR zostało zamordowanych kilkudziesięciu jego przeciwników politycznych. Jego aresztowanie i film wyemitowany 19 stycznia w serwisie YouTube, przygotowany przez jego Fundację Walki z Korupcją, o okazałym pałacu zbudowanym dla Putina w Gelendżyku nad Morzem Czarnym, wywołały u Rosjan tak gwałtowną reakcję, że wzbudziła ona popłoch na Kremlu.

23 stycznia w 120 miastach Rosji 200 tysięcy ludzi wychodzi na ulice. Są po stronie ofiary. Od rozpadu Związku Radzieckiego to największy społeczny protest przeciwko Kremlowi. Połowa protestujących to ludzie młodzi. Policja zatrzymała 3700 osób. Peter Dickinson z Atlanta Cuncil wskazuje, że „Putin od dawna obawiał się perspektywy rewolucji na Majdanie w stylu ukraińskim w samej Rosji. W obliczu niepokojów narastających na wschodnich i zachodnich krańcach kraju… może teraz uznać, że nadszedł czas, aby usunąć Nawalnego, który jest jedną z nielicznych postaci publicznych w dzisiejszej Rosji z potencjałem do przewodzenia ogólnokrajowemu ruchowi protestu przeciwko reżimowi". W tym samym czasie, gdy policja w środę 27 stycznia wchodziła do mieszkań opozycjonistów w Rosji, aby ich zastraszyć przed spodziewaną drugą falą protestów, Putin z Kremla, za pomocą wideo, skierowanego do uczestników Światowego Forum Ekonomicznego w Davos, wyjaśniał, iż „Rosja jest częścią Europy, zarówno pod względem geograficznym, jak i przede wszystkim kulturowym. W rzeczywistości jesteśmy jedną cywilizacją". Putin odgrywał wielkiego obrońcę demokracji i Europejczyka, gdy w tym samym czasie jego służby wywiozły w nieznane miejsce brata Nawalnego. Zastraszona została też żona opozycjonisty, Julia.

Bez litości dla wrogów Putina

Rutynowy lot. 20 sierpnia 2020 roku. Samolot startuje z Tomska – cel Moskwa. Dystans 2,2 tys. kilometrów, około 3,5 godziny. To ważna informacja. Aleksiej Nawalny wraca ze swoją rzeczniczką, Kirą Jarmysz. Nagle zaczyna się pocić, dusić. Prosi, aby Kira mówiła do niego. Chce słyszeć ludzki głos. Potem traci przytomność. Liczy się każda minuta. Ratownicy medyczni już na pokładzie podejmują działania. Pilot decyduje się na awaryjne lądowanie w Omsku. Opozycjonista zostaje przewieziony do szpitala. Nagle przybywają do budynku funkcjonariusze FSB, zabezpieczają teren. Wstępna diagnoza – „zatrucie niezidentyfikowanym środkiem psychodysleptycznym". Potem pełna blokada informacji. Według późniejszych ustaleń niemieckich lekarzy, podano mu bojowy środek trujący z grupy nowiczok. Próba otrucia Nawalnego miała miejsce, gdy wracał po intensywnych spotkaniach w syberyjskich miastach. Trwały przygotowania opozycji do jesiennych wyborów parlamentarnych. A to właśnie Okręgi Federalne Dalekowschodni i Syberyjski są tymi obszarami, gdzie najwyraźniej widać pęknięcia w imperium Putina. W latach 20. XX wieku stworzono tu Republikę Dalekiego Wschodu. A pod koniec istnienia Związku Sowieckiego, w 1990 roku, powstało Porozumienie

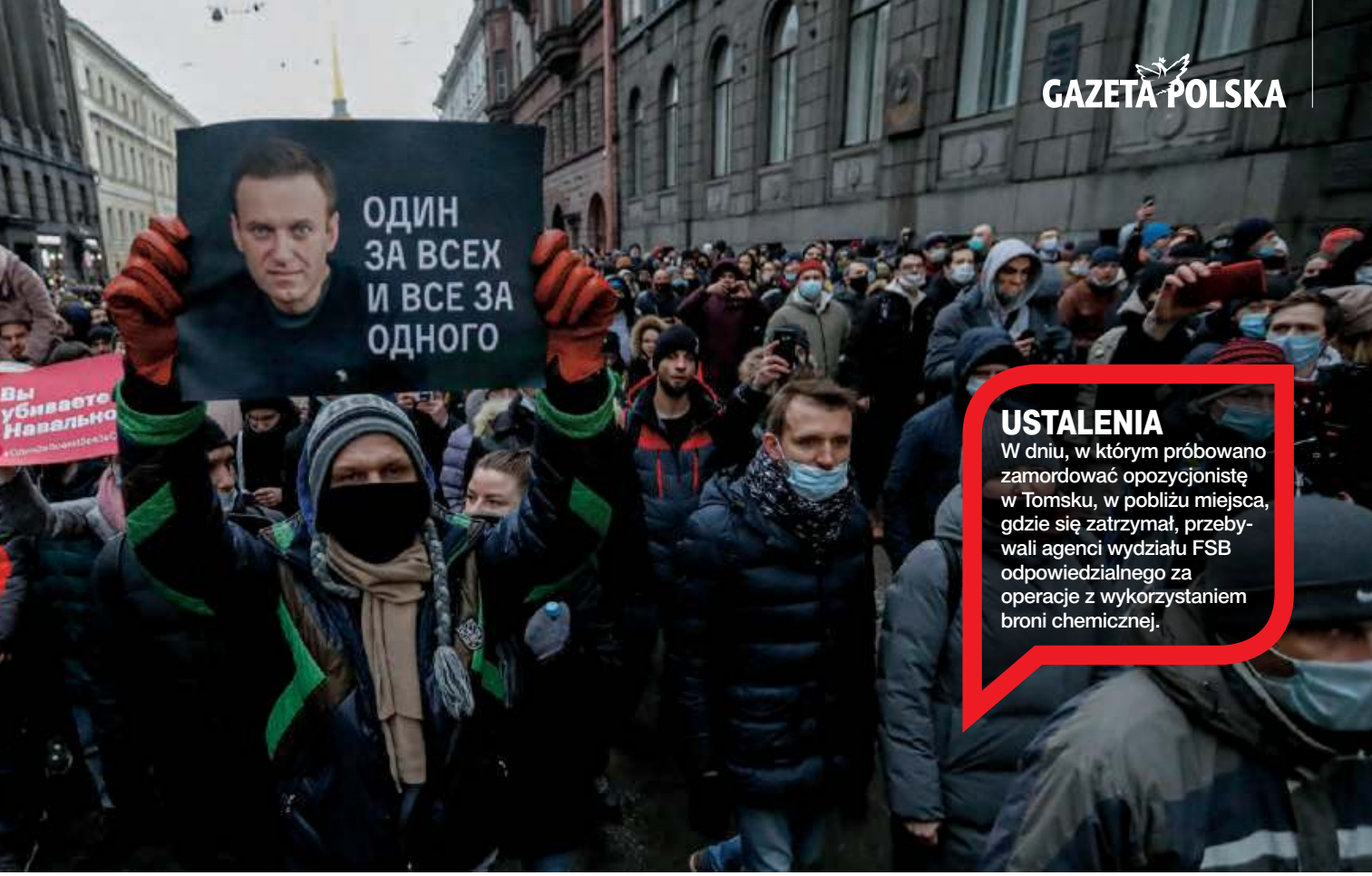

USTALENIA
W dniu, w którym próbowano zamordować opozycjonistę w Tomsku, w pobliżu miejsca, gdzie się zatrzymał, przebywali agenci wydziału FSB odpowiedzialnego za operacje z wykorzystaniem broni chemicznej.

Syberyjskie, które domagało się statutu odrębnej republiki. Na kilka miesięcy przez upadkiem ZSRS powstał też Ruch na rzecz Republiki Dalekowschodniej. Nastroje były wówczas coraz bardziej radykalne, a Partia Niepodległości Syberyjskiej z Borysem Pietrowem na czele zaczęła otwarcie głosić ideę utworzenia własnej państwowości. Nadal żywa jest na wschodzie Rosji pamięć tamtych wydarzeń. Putin tworząc Dalekowschodni Okręg Federalny o obszarze 6,95 mln km², który zamieszkuje 8,2 mln ludzi, nieświadomie dał impuls do wzmocnienia odrębności tego ogromnego obszaru od Kremla. Gdyby połączył się on z Syberyjskim Okręgiem Federalnym (5,1 mln km² i 19,2 mln ludzi) razem utworzyliby największe państwo świata położone na obszarze Heartlandu (obszar o kluczowym, geopolitycznym znaczeniu w ujęciu klasyka geopolityki Halforda Mackindera). Ich utrata znaczyłaby dla Rosji ostateczny kres wszelkich iluzji mocarstwowych.

Nawalny na Syberii

Kampania Nawalnego, ujawniająca korupcje lokalnych przedstawicieli Jednej Rosji, przyczyniła się do tego, że w regionalnych wyborach we wrześniu 2019 roku, gwałtownie spadło poparcie dla przedstawicieli putinowskiej partii władzy. W połowie lipca 2020 roku w Chabarowsku ludzie masowo wyszli na ulice. Protestowali przeciw aresztowaniu gubernatora Kraju Chabarowskiego, Siergieja Furgała, który w 2018 roku pokonał człowieka Putina, Wiaczesława Szporta. Furgał był z Liberalno-Demokratycznej Partii Rosji Żyrinowskiego, a więc należał do ugrupowania jednoznacznie lojalnego wobec Putina. Wygrał miażdżąco z człowiekiem, który był głową lokalnej, skorumpowanej mafii trzymającej władzę. A jednak w Moskwie zdecydowano się wymienić Furgała. Po jego aresztowaniu pod zarzutem zabicia w przeszłości kilku osób, Putin wysłał w jego miejsce Michaiła Diegtiarowa. Region eksplodował. Dziesiątki tysięcy ludzi zbuntowało się przeciwko Kremlowi. Robili to co tydzień – w mieście liczącym 580 tys. co dziesiąty człowiek brał udział w akcji oporu. Fala rozlewała się na inne miasta – na półmilionowy Irkuck, milionowy Kazań, stolicę Tatarstanu, na 700-tysięczny Krasnodar. Zaczęły się pojawiać hasła solidarności z protestującymi na Białorusi. Domagano się też ustąpienia Putina. W badaniach sondażowych Centrum Lewady przeprowadzonych pod koniec lipca 2020 roku 83 proc. Rosjan potwierdziło, że słyszało o protestach. Aż 45 proc. oceniło je pozytywnie, 26 proc. neutralnie, a jedynie 17 proc. negatywnie. Była to katastrofa wizerunkowa Kremla. Fala protestów stopniowo opadała, ale trwały one nieomal nieprzerwanie do kolejnego wydarzenia, które wstrząsnęło całą Rosja – aresztowania Nawalnego po jego powrocie do kraju 17 stycznia 2021 roku.

Niemieccy lekarze: Nawalnemu podano nowiczok

Lekarze w Omsku nie wykryli trucizny u Nawalnego. Nie chcieli się też zgodzić na jego transport do Niemiec na dalsze leczenie. Na prośbę rodziny opozycjonisty wyczarterowanym samolotem przybyła z Niemiec grupa wybitnych specjalistów. Ocenili, że można bezpiecznie przetransportować chorego do kliniki w Berlinie. Bomba eksplodowała na cały świat, gdy 2 września 2020 roku niemiecki rząd oświadczył, że badania przeprowadzone w laboratorium wojskowym wykazały obecność bojowego środka trującego z grupy

nowiczoków w organizmie Nawalnego. Ten sam środek bojowy rosyjscy agenci użyli wobec Siergieja Skripala i jego córki, Julii, na terenie Wielkiej Brytanii w 2018 roku. Jest to broń zabójcza – spowalnia serce, paraliżuje mięśnie wspomagające oddychanie, co powoduje, że człowiek dusi się. Jest do 10 razy mocniejszy od Sarinu. Australijski toksykolog George Braitberg uważa, że rozwój tej broni chemicznej rozpoczął się w Związku Radzieckim po 1970 roku, a prace trwały do roku 1990. Potem, po rozpadzie ZSRS, w Rosji kontynuowano badania – także po wejściu Konwencji o Zakazie Broni Chemicznej (CVC), ratyfikowanej przez Moskwę w 1997 roku. Fakt, iż ten tajny środek został użyty do ataku na wrogów Rosji ujawnia, że FR posiada nadal taki arsenał i dalej nad nim pracuje. Jest też dowodem na to, iż autoryzacja użycia nowiczoka musiała pochodzić z samego Kremla.

Dziennikarze śledczy oskarżają

Dziennikarze śledczy z Bellingcatu, witryny założonej w 2014 roku przez Brytyjczyka Eliotta Higginsa, pomogli Nawalnemu w odkryciu, która sekcja FSB wykonała zadanie. 14 grudnia 2020 roku wyniki śledztwa równocześnie opublikowane zostały przez wiele światowych mediów. Jak wynika ze śledztwa, specjalna komórka FSB śledziła Nawalnego już od 2017 roku po tym, jak ogłosił on zamiar startu w wyborach prezydenckich. Latali za nim po Rosji 40 razy. Kilkakrotnie podtruwali go, aby określić odpowiednią dla niego dawkę. Ustalono też, że w dniu, w którym próbowano zamordować opozycjonistę w Tomsku, w pobliżu miejsca, gdzie zatrzymał się największy wróg Putina, przebywali agenci tajnego wydziału FSB, odpowiedzialnego za operacje z wykorzystaniem broni chemicznej. Dziennikarski zespół ustalił, w jaki sposób Rosja nadal prowadzi swój program rozwoju tej broni. Po jego oficjalnym zamknięciu naukowców zatrudniły instytuty, które teoretycznie zajmowały się badaniami dla celów cywilnych. Faktycznie, na polecenie Kremla, kontynuowali oni rozwój tych narzędzi masowej zbrodni. Ich produkty były przeznaczone do wykorzystania przez rosyjskie służby. Reporterzy ujawnili też, że dysponują 49-minutowym nagraniem rozmowy, jaką przeprowadził Nawalny z członkiem oddziału FSB oddelegowanego do jego otrucia. W jej trakcie Konstantin Kudriawcew, który według Bellingcat jest agentem FSB oraz specjalistą ds. broni chemicznej, nieświadomie wyjawił Nawalnemu szczegóły planu jego zabicia. Gdy 19 sierpnia opuścił on na moment swój lokal, aby pójść popływać, agenci umieścili truciznę w niebieskich bokserkach nawalnego, na szwach w okolicach krocza. Podano ją w postaci sprayu lub maści.

Nawalny: Zadzwoniłem do mojego zabójcy. Wszystko wyznał

Nawalny zamieścił to nagranie na swoim Twitterze. Według oceny zabójcy, nie udało się zabić wroga Putina, bo samolot za szybko wylądował i za wcześnie rozpoczęła się akcja ratownicza. Tego nie przewidzieli. Agenci FSB podjęli w trakcie transportu do szpitala drugą próbę jego zabicia, ale podane już leki zneutralizowały nową dawkę. Kudriawcew odpowiadał później za wyczyszczenie ubrań Nawalnego ze śladów trucizny. Także ciało Nawalnego zostało dokładnie umyte. Do prowokacji Nawalny użył specjalnej aplikacji, która powodowała, że na telefonie Kudriawcewa wyświetlił się numer telefonu stacjonarnego FSB, z którego łączono się z uczestnikami tej operacji. Numer ten, jak wynikało z zapisów rozmów, regularnie łączył się z telefonami członków operacji. Nawalny przedstawił się jako Maksym Ustinow. Wyjaśnił, że jest doradcą przewodniczącego Rady Bezpieczeństwa Rosji Nikołaja Patruszewa. Musi przygotować pilny raport dla swojego szefa na temat tego, dlaczego operacja się nie udała. Z początku agent był nieufny, ale gdy opozycjonista zdradził skład zespołu FSB, który przeprowadził operację, stał się mniej czujny. Nawalny zrobił rzecz, która nie ma precedensu w długiej historii mordów dokonywanych bezkarnie przez FSB na wrogach Putina. Kat przyznał się ofierze – przed całym światem. Fakt, że ujawnił dane sądząc, iż rozmawia z człowiekiem przewodniczącego Rady Bezpieczeństwa Rosji, nie pozostawia też wątpliwości, że sam kat jest głęboko przekonany, iż była to decyzja autoryzowana przez Putina. Patruszew był zaufanym człowiekiem prezydenta i objął po nim szefostwo nad FSB. Odegrał też istotną rolę w przygotowaniach do katastrofy smoleńskiej. Zdaniem Aleksandra Litwinienki, byłego pułkownika FSB, Patruszew stał także za zamachami we wrześniu 1999 roku na budynki mieszkalne w Bujnaksku, Moskwie i Wołgodońsku. Zginęło wówczas ponad 300 osób. Putin

Współczesny car Rosji, który w dzieciństwie żył w ciasnym mieszkaniu bez ciepłej wody, wymarzył sobie pałac za 100 mld rubli (około 1,4 mld dolarów), w którym szczotka do toalety kosztuje 700 euro.

wskazał na Czeczenów jako winnych tej zbrodni i najechał na tę kaukaską republikę, rozpoczynając krwawą wojnę. Litwinienko został zamordowany przez Kreml w 2006 roku. Walter Litwinienko ujawnił, że syn na łożu śmierci powiedział mu: „Tatusiu, Putin mnie otruł". Wiele razy później oskarżał publicznie władcę Rosji o zamordowanie syna. A potem nagle, po latach, pokazano materiał w rosyjskiej telewizji, w którym Walter Litwinienko przeprosił Putina za swoje słowa i publicznie nazwał swego zamordowanego syna zdrajcą. Wiele osób uważa jednak, że został zmuszony do potępienia syna. Miało to być drugie, symboliczne i ostateczne zabicie Litwinienki.

Zabić i upokorzyć

Po zabiciu Asłana Maschadowa jego ciało zostało zhańbione. Nie wydano rodzinie szczątków byłego prezydenta Czeczenii, ale z rozkazu Europejczyka Putina zakopano je bezimiennie w jakiejś dziurze. Opublikowano też zdjęcia jego zmaltretowanego ciała. Tak samo postąpiono z byłym wicepremierem Rosji, Borysem Niemcowem. Był przekonany, że po agresji na Ukrainę w 2014 roku UE zrozumie zagrożenie ze strony Rosji. Zobaczy, że Putin to zwykły bandyta z atomowymi kodami w ręku. Oczekiwał, że to będzie przełom. Był oburzony: „Wcale nie jest izolowany. Merkel z nim rozmawia, jakby nic się nie stało. Wszyscy z nim rozmawiają". Przygotowywał raport „Putin. Wojna". Nie dokończył go. Były wicepremier Rosji w rządach Czernomyrdina i Kirijenki został zamordowany o rzut kamieniem od gabinetu Putina na Kremlu, na moście wiodącym na plac Czerwony w lutym 2015 roku. Zabito go w jednym z najlepiej strzeżonych miejsc na świecie. Doskonale zaplanowano zabójstwo. Siedem strzałów, cztery w cel. Tej chwili nie widać na monitoringu, bo kosmicznym zbiegiem okoliczności w tym momencie morderców przesłoniła piaskarka. Dmitriij Pieskow, rzecznik Putina, poinformował, że jego szef był w szoku na wieść o tym, iż jeden z jego głównych przeciwników politycznych został zamordowany. Dodał, że wpływ Niemcowa na życie polityczne w Rosji był znikomy. Aby jeszcze bardziej upodlić go po śmierci, Kreml wydał precyzyjne instrukcje. Media kontrolowane przez Putina pokazały martwe, półnagie ciało jego wroga leżące na chodniku. Odsłonięty korpus i twarz – martwe spojrzenie i cieknąca z ust ślina. Tak kończy każdy wróg Putina. Steven Lee Myers w książce „Nowy car", pisząc o zabójstwie Niemcowa, stwierdza: „Tak jak w przypadku zabójstwa Politkowskiej – a także Aleksandra Litwinienki i Siegieja Magnickiego – Putin mógł nie mieć osobiście nic wspólnego z tą śmiercią". Siergiej Kowaliow, legendarny więzień stalinowskich Gułagów, rzecznik praw człowieka w jelcynowskiej Rosji, już w 2001 roku ostrzegał przed Putinem: „Naiwni zachodni dziennikarze pytają mnie często: Co w tym jest złego, że Putin był w KGB? Przecież Bush-senior zanim został prezydentem USA, w przeszłości stał na czele CIA. Ja im odpowiadam: Wyobraźcie sobie, że prezydentem Niemiec zostałby gestapowiec. Jak byście na to zareagowali? (...) KGB było tak samo bandycką organizacją jak hitlerowska policja polityczna, a jej czekiści terroryzowali Rosję przez dziesiątki lat. Ci ludzie mają na swych rękach krew milionów ludzi różnych narodowości. Dlaczego o tym mówię? Bo jeśliby taki zachodni dziennikarz spytałby się obecnego naszego prezydenta, co on sądzi o swej przeszłości, to usłyszy, że jest dumny, iż nosił mundur KGB. On to co rusz powtarza".

Zabić, zabić, zabić

Nawalny ośmieszył rosyjskie służby, których boi się cały świat. Śmiertelnie też ośmieszył Putina. Ten współczesny car Rosji, który w dzieciństwie żył w ciasnym mieszkaniu bez ciepłej wody, bez wanny, z toaletą wciśniętą pod schodami, wymarzył sobie carski pałac za 100 mld rubli (około 1,4 mld dolarów), w którym szczotka do toalety kosztuje 700 euro. To więcej niż średnie miesięczne zarobki Rosjan. Nawalny ukazał całej Rosji zakompleksionego Wowkę, postać trywialną w swoim korupcyjnym rozpasaniu. Oddał się w ręce człowieka, który – jak sądzi – próbował go wielokrotnie zabić. Uważa go za psychopatę. Po aneksji Krymu rosyjski pisarz Władimir Sorokin stwierdził, iż naród stał się „zakładnikiem psychosomatycznych dziwactw swojego przywódcy. Wszystkie jego lęki, pasje, słabości i kompleksy stają się oficjalną doktryną polityczną". Rosjanie obserwują ten nierówny pojedynek psychopaty z jego zakładnikiem. Gdy się przebudzą, a robią to wyjątkowo rzadko, ich odpowiedź przesądzi o losie ich obu. **GP**

Maciej
Kożuszek
SZEF DZIAŁU ŚWIAT

SPORT KOBIECY SZANSĄ DLA MĘŻCZYZN

BIDEN I WOJNA PRZECIWKO KOBIETOM

Zgodnie z prezydenckim rozporządzeniem wydanym przez Joego Bidena mężczyźni sportowcy, którzy identyfikują się jako kobiety, będą mogli startować w zawodach sportowych do tej pory przeznaczonych tylko dla kobiet.

Joe Biden robi wszystko, co w jego mocy, by pokazać, że nie będzie takim prezydentem, jakim był kandydatem. Nie będzie siedział w piwnicy i już w pierwszych godzinach swojej prezydentury podpisał szereg prezydenckich rozporządzeń, których wspólnym mianownikiem był ich postępowy charakter. Na liście prezentów dla lewicy znalazło się m.in. przywrócenie finansowania aborcji, odwrócenie wielu rozwiązań wprowadzonych przez prezydenta Donalda Trumpa dotyczących imigracji oraz rozporządzenie, które w praktyce może oznaczać koniec kobiecego sportu, jaki znamy do tej pory.

Sport dla wszystkich

Poważne, a wręcz katastrofalne implikacje dla sportu kobiecego, jaki znamy, może mieć podpisany w pierwszych dniach administracji Joego Bidena „Executive Order on Preventing and Combating Discrimination on the Basis of Gender Identity or Sexual Orientation" (rozporządzenie prezydenckie w sprawie zapobiegania i zwalczania dyskryminacji na podstawie tożsamości płciowej lub orientacji seksualnej). Kluczowy fragment tego prezydenckiego aktu głosi: „Dzieci powinny mieć możliwość uczenia się bez konieczności martwienia się o to, czy ktoś zezwoli/odmówi im dostępu do szatni, toalety czy

MAT BIDENA
„To koniec" – powiedziała Linda Blade, trener lekkoatletyki pracująca z amerykańskimi olimpijczykami, komentując rozporządzenie Bidena w sprawie zapobiegania i zwalczania dyskryminacji osób transpłciowych.

szkolnych sportów (...). Wszystkie osoby powinny być traktowane równo, bez względu na swoją tożsamość płciową czy orientację seksualną". W praktyce oznacza to tyle, że, zgodnie z rozporządzeniem Bidena, szkoła, która otrzymuje środki federalne, czyli w praktyce prawie każda szkoła publiczna w USA, musi dopuścić biologicznych chłopców identyfikujących się jako dziewczynki do rozgrywek sportowych, w których do tej pory mogły brać udział tylko biologiczne dziewczynki. Szkoły, które nie podporządkują się rozporządzeniu, będą musiały liczyć się z wszczęciem przeciwko nim postępowania administracyjnego przez Departament Edukacji.

W rozporządzeniu administracja Bidena powołuje się na wyrok Sądu Najwyższego w sprawie Bostock vs Clayton z 2020 roku. Opinię w imieniu większości sędziów, która poparła rozstrzygnięcie w tej sprawie, napisał Neil Gorsuch, pierwszy nominat prezydenta Trumpa do Sądu Najwyższego. Orzeczenie rzeczywiście rozszerza rozumienie pojęcia dyskryminacji tak, by obejmowało ono także dyskryminację ze względu na tożsamość płciową (gender identity). Jednak w opinii większości sędziowie SN USA dali jasno do zrozumienia, że ich rozstrzygnięcie dotyczy tylko określonych przypadków, na przykład sytuacji, w której ktoś nie został zatrudniony tylko ze względu na to, że jest osobą trans. W uzasadnieniu Gorsuch napisał wprost, że decyzja nie dotyczy „łazienek rozdzielonych ze względu na płeć, szatni i wymogów dotyczących ubioru".

Decyzja Bidena spotkała się z krytyką nie tylko konserwatywnych mediów i opinii publicznej, lecz także osób na co dzień pracujących w sporcie kobiecym i sporcie dla dziewczynek. „To koniec" – powiedziała Linda Blade, trener lekkoatletyki pracująca z amerykańskimi olimpijczykami. „Umiejętności przywódcze, wszystkie korzyści, które społeczeństwo czerpie, pozwalając dziewczynkom na posiadanie swojej chronionej kategorii po to, by współzawodnictwo było uczciwe, cały postęp związany z prawami kobiet – wszystko to straci na znaczeniu". Genetyczna przewaga mężczyzn nad kobietami jest sprawą oczywistą i widać ją jak na dłoni w sportach takich jak lekkoatletyka, gdzie wynik jest policzalny. W sprincie na 100 m najlepszy wynik kobiety w 2020 roku wynosił 10.85 s. Wszyscy mężczyźni sklasyfikowani w oficjalnych statystykach worldathletics.org, a jest ich kilkanaście tysięcy, pokonaliby najszybszą kobietę Elaine Thompson-Herah i zrobiliby to z łatwością. Najsłabszy wynik mężczyzny, który dawał ex aequo ostatnie, 7819 miejsce w rankingu, wynosił 10.55 s, czyli był i tak o 0,3 s. lepszy od wyniku najlepszej kobiety.

Panowie na start

Zwolennicy dopuszczenia trans-kobiet (czyli byłych mężczyzn) do udziału w kobiecym sporcie argumentują, że operacje tranzycji i związana z nią terapia hormonalna redukują przewagę genetyczną. Pytanie jednak, czy do końca? Poza tym nie ma na lewicy zgody co do tego, do jakiego stopnia dany mężczyzna musiałby odbyć realną, biologiczną przemianę, by móc być dopuszczonym do zawodów dla kobiet. Wielu radykałów uważa, że wystarczy deklaracja, iż ktoś czuje się kobietą, by z dnia na dzień móc zdobywać medale w kategorii zgodnej ze swoją „płciową tożsamością". Praktyczne konsekwencje upowszechnienia takiej zasady byłyby oczywiste. Trudno zakładać, że w zawodach dla kobiet startowaliby tylko ci, którzy szczerze i autentycznie nie czują się sobą w swoim męskim ciele. Pokusa tryumfów, związana przecież także ze sławą i pieniędzmi, skusiłaby również oportunistów. Sportowcy każdego dnia decydują się na oszustwa i naginanie zasad, które są dużo bardziej pracochłonne i niebezpieczne dla samego zainteresowanego. Dlaczegóż nie mieliby wykorzystać takiej luki, by zapewnić sobie szansę na zwycięstwo? Nic dziwnego, że wielu uważa, iż w praktyce byłby to koniec sportu kobiecego, który zostałby zastąpiony przez II ligę sportu męskiego, przeznaczoną dla tych, którzy w tradycyjnych męskich zawodach nie mieliby szans.

Decyzja Bidena spotkała się z krytyką m.in. osób na co dzień pracujących w sporcie kobiecym i sporcie dla dziewczynek.

Oglądanie, jak były mężczyzna Fallon Fox okłada kobiety pięściami, wymagało od odbiorcy naprawdę sporej wiary w ideały postępu.

Trzeba oczywiście pamiętać, że jedna decyzja, nawet prezydenckiej administracji USA, nie zmieni całego skomplikowanego krajobrazu regulacyjnego w sporcie. Za to, jakie zasady obowiązują w danych zawodach, ostatecznie odpowiedzialne są organizacje sankcjonujące te zawody, na szczeblu lokalnym, krajowym i międzynarodowym. Przykład biegaczki Caster Semenyi pokazuje, że na przykład sport olimpijski może przez pewien czas opierać się postępowym zapędom lewicy. Z drugiej strony, w wypadku niektórych organizacji sportowych w USA mieliśmy już przykłady udziału transsportowców w zawodach dla kobiet. Te precedensy dotyczyły lekkoatletyki na poziomie uniwersyteckim, w podnoszeniu ciężarów, a nawet we wszechstylowej walce wręcz (MMA). Ten ostatni przypadek był szczególnie szokujący dla amerykańskiej opinii publicznej, bo oglądanie, jak były mężczyzna okłada kobiety pięściami i łokciami w klatce wymagało od odbiorcy naprawdę sporej wiary w ideały postępu. Problem transwojownika, który występował jako Fallon Fox, ostatecznie rozwiązał się sam, bo skala jego talentu była mocno ograniczona, a treningi MMA rozpoczął bardzo późno. To sprawiło, że w końcu znalazło się kilka kobiet, których umiejętności były na tyle duże, że zniwelowały przewagi transkobiety. Gdyby jednak było inaczej i Fallon Fox pozostałby niepokonany, inne federacje, organizujące walki na wyższym poziomie musiałyby podjąć decyzję, czy dopuścić go do startów.

Choć organizacje międzynarodowe i szefostwo lig zawodowych mogą wcale nie palić się do tego, by dopuszczać transkobiety do zawodów, nietrudno wyobrazić sobie sytuację, w której nawet częściowa i lokalna liberalizacja prawa doprowadzi do powstania precedensu, a ten z kolei przerodzi się w szantaż moralny. Jeśli na przykład transsportowcy zostaną dopuszczeniu do zawodów na poziomie uniwersyteckim w USA, pojawi się sytuacja, w której dla przykładu „mistrzyni" kraju na 100 m nie będzie mogła wystartować na zawodach sankcjonowanych przez IAAF czy MKOl. To z kolei stanie się idealną pożywką dla medialnej kampanii, w której lewica będzie podkreślała, że ta sytuacja właściwie niczym nie różni się od segregacji rasowej, gdy czarni koszykarze czy bejsboliści nie mieli wstępu do zawodowych lig amerykańskich. Z finansowania takich wydarzeń mogą wycofać się sponsorzy, a to będzie najskuteczniejszy argument dla organizatorów. Biden nie może więc nakazać MKOl dopuszczenia do startu transsportowców w Igrzyskach Olimpijskich, ale może stworzyć precedens, który w praktyce taką decyzję wymusi.

Na drodze postępu może stanąć też prawo stanowe. W stanie Idaho republikański gubernator Brad Little podpisał „Fairness in Women's Sports Act", który zabrania transsportowcom udziału w zawodach sportowych, sponsorowanych przez szkoły publiczne, koledże i uniwersytety. Podobne prawo ma niedługo zostać uchwalone w Montanie, a demokratyczni politycy już grożą, że w przypadku wejścia takiej regulacji w życie stan może utracić federalne fundusze przeznaczone na edukację, które w ostatnim roku wyniosły 484 mln dolarów. Z kolei w Connecticut grupa żeńskich sportowców złożyła sprawę w sądzie, której celem było zablokowanie prawa stanowego, pozwalającego na starty chłopcom, którzy identyfikują się jako dziewczynki. Transsportowcy w oświadczeniu przesłanym do sądu zaznaczyli, że możliwość startu w zawodach odgrywa kluczową rolę dla ich emocjonalnego i psychologicznego dobrostanu. **GP**

Wieści z UE

Najnowsze newsy i nie tylko z obszaru Unii Europejskiej

Tomasz **Mysłek**

Europa w skrócie

Pamięć o węgierskich Niemcach Premier Węgier Viktor Orbán upamiętnił 75. rocznicę wywłaszczenia i wywiezienia przez komunistyczne władze (w latach 1946–1948 do Niemiec, Austrii i sowieckich obozów) blisko 240 tys. węgierskich Niemców – obywateli Węgier. Premier złożył wieniec i przypomniał rodakom (w internecie) o ich krzywdach i cierpieniach. W roku 2013 rząd Węgier ustanowił 19 stycznia jako dzień pamięci o tych wydarzeniach. Z kolei sekretarz stanu Zoltán Kovács nazwał wywózki Niemców z Węgier niepowetowaną stratą dla węgierskiego narodu.

Dalsze 50 mld euro pomocy dla niemieckich firm W Bundestagu minister gospodarki Peter Altmaier zapewnił, że rząd Niemiec udzieli przedsiębiorstwom – poszkodowanym przez kolejne rządowe ograniczenia i restrykcje – dalszego wsparcia w wys. 50 mld euro – oprócz już wyasygnowanych na ten cel jesienią 80 mld euro. „Gdy przedsiębiorstwa notują spadki obrotów o 70 proc. i więcej, nie może to być efektem złego zarządzania" – powiedział minister.

Przedsiębiorcy chcą odszkodowań za restrykcje W Lombardii doszło do skandalu, bo okazało się, że władze tego regionu wysyłały do włoskiego ministerstwa zdrowia nieprawdziwe i przesadzone dane dotyczące przebiegu epidemii, w tym dużej liczby zakażeń. Teraz przedsiębiorcy i właściciele sklepów, których biznesy kazano zamknąć, chcą odszkodowań za nieuzasadnione restrykcje i poniesione straty. Na razie rząd złagodził te restrykcje, ale tylko na okres 15 dni.

Norwegia zamknęła granice Premier Norwegii Erna Solberg ogłosiła zamknięcie granic dla cudzoziemców niemieszkających w tym kraju na stałe – od 29 stycznia. Zakaz wjazdu nie dotyczy przedstawicieli niektórych ważnych zawodów, w tym pracowników służb medycznych ze Szwecji i Finlandii. Ale inni pracownicy tymczasowi, w tym Polacy, nie będą mogli wjechać do Norwegii do 12 marca br.

Zielone światło dla Boeingów 737 MAX Agencja Unii Europejskiej ds. Lotniczego Bezpieczeństwa (EASA) zezwoliła na powrót do latania w Europie zmodyfikowanych Boeingów 737 MAX (w roku 2019 dwa takie samoloty uległy zagadkowym katastrofom, w których zginęło łącznie 346 osób). EASA nakazała producentowi, w ramach licznych warunków powrotu do latania, m.in. aktualizację oprogramowania samolotów, przeróbki instalacji elektrycznej, przeglądy konserwacyjne i nowe szkolenia załóg.

KOLEJNY EFEKT HISZPAŃSKIEGO SOCJALIZMU
Oficjalny odsetek obywateli Hiszpanii niemających w grudniu ub. roku zatrudnienia wyniósł 16,4 proc., a wśród młodych do 25. roku życia 40,9 proc.

Problemy Wysp Kanaryjskich Władze Wysp Kanaryjskich obawiają się, że przedłużające się pobyty uciekinierów z Afryki w tamtejszych hotelach, co miało być rozwiązaniem tymczasowym, źle wpłyną na turystyczny wizerunek Wysp. W związku z tym na hotele, w których wciąż „rezyduje" ponad 8 tys. nielegalnie przybyłych emigrantów (w dodatku bez żadnych dokumentów) nałożono grzywny od 6 tys. do 150 tys. euro. Według hiszpańskiego MSW, w 2020 roku na Wyspy przypłynęło blisko 23 tys. nielegalnych przybyszów – wielokrotnie więcej niż w roku poprzednim. W pierwszej dekadzie stycznia br. przybyło ich już 913 – na 23 łodziach. **GP**

FOT. PIXABAY

Odszkodowania dla duńskich hodowców norek

Ponad 2,5 miliarda euro mają otrzymać od rządu duńscy hodowcy norek w ramach odszkodowań za zarządzone w listopadzie wybicie 17 mln sztuk tych zwierząt w okresie intensywnej urzędowej „walki z koronawirusem". Ta kwota uwzględnia nie tylko zwrot kosztów hodowli zwierząt, ale też utracone zyski ze sprzedaży skór i straty związane z rozbiórką budynków i ferm.

ETIOPSKA BECZKA PROCHU

CZYM GROZI DESTABILIZACJA TEGO REGIONU?

Wojskowa pacyfikacja prowincji Tigraj i ponad 2 mln uchodźców. Rzezie na tle etnicznym w innych częściach kraju. Do tego grożące otwartą wojną spory z sąsiadami. To Etiopia, kraj pod rządami laureata... Pokojowej Nagrody Nobla. Destabilizacja Etiopii grozi destabilizacją całego Rogu Afryki.

Antoni **Rybczyński**

Wojna sił federalnych z prowincją Tigraj zaczęła się na początku listopada. Już wtedy były setki zabitych cywilów i dziesiątki tysięcy uciekających do sąsiednich krajów. Jednak w Polsce krwawy konflikt domowy w Etiopii zainteresował wszystkich dopiero po skandalicznym wpisie jednej z posłanek Lewicy – co swoją drogę pokazuje kompromitujący poziom wiedzy o świecie większości polskich polityków. Zaczęło się od podanej przez Vatican News informacji o masakrze 750 chrześcijan, którzy szukali schronienia w kościele. Jak skomentowała to na Twitterze Małgorzata Prokop-Paczkowska? „A po co Kościół katolicki się tam wpakował? Dlaczego nie uszanował miejscowych wierzeń?”. Ten wpis wywołał burzę, a Etiopia znalazła się nawet w trendach na mediach społecznościowych. Posłanka Lewicy skasowała wpis i przeprosiła. Nie da się jednak ukryć, że popisała się nie tylko nienawiścią do Kościoła, lecz także kompletnym brakiem wiedzy. Po pierwsze, tekst o „miejscowych wierzeniach” dziwi w kontekście tego, że w Etiopii chrześcijaństwo pojawiło się już w IV wieku i do dziś tam dominuje. Po drugie, to nie katolicyzm, lecz wschodni Kościół ortodoksyjny. Po trzecie, wspomniana masakra nie miała podłoża religijnego, tylko etniczne. To jeden z krwawych epizodów wojny władz federalnych z prowincją Tigraj.

Wojna w Tigraj

Do rzezi doszło w połowie stycznia – przed kościołem Matki Bożej z Syjonu w Aksum. Choć część mediów sugerowała atak na tle religijnym, to tak naprawdę chodziło o kwestie etniczne. Zarówno ofiary, jak i większość napastników to chrześcijanie.

OFIARY KONFLIKTÓW

Na koniec ubiegłego roku ONZ szacowała, że około 1,3 mln ludzi w Tigraj potrzebuje szybkiej pomocy humanitarnej. Ponad 50 tys. uciekło do sąsiedniego Sudanu.

FOT. JULIA ZABRODZKA/FORUM

Można się tylko domyślać, że była to – za przyzwoleniem sił federalnych – zemsta milicji amharskiej na Tigrajczykach. Warto pamiętać, że Amharowie są w tej prowincji mniejszością, i to mniejszością prześladowaną przez Tigrajczyków. Już w czasie kampanii zbrojnej w prowincji, w nocy z 9 na 10 listopada 2020 roku, w miejscowości Mai-Nagra wymordowano kilkuset Amharów – według Amnesty International miały tego dokonać oddziały Tigrajskiego Frontu Wyzwolenia Ludowego (TPLF), a więc ugrupowania rządzącego prowincją. To właśnie wyjście TPLF z rządu federalnego i jego konflikt z prowadzącym politykę centralizacji państwa rządem premiera Abiya Ahmeda Alego doprowadziły do obecnej wojny. Zbrojna kampania zaczęła się 3 listopada. Premier Abiy określił to jako „krajową operację przywrócenia porządku". Trudno jednak mówić tak o operacji, w którą zaangażowane były siły sąsiedniej Erytrei, a armia federalna sięgnęła po takie środki jak powietrzne naloty, użycie jednostek pancernych oraz danie wolnej ręki sprzymierzonym milicjom etnicznym. Po zajęciu stolicy prowincji, miasta Mekelle, 28 listopada premier Abiy ogłosił zwycięstwo. Ale to nie koniec wojny domowej, bo wobec przewagi wroga oddziały Tigrajczyków wycofały się w góry. Rozpoczęła się partyzancka faza wojny – a należy pamiętać, że TPLF ma pod bronią nawet 100 tys. ludzi. Na koniec ubiegłego roku ONZ szacowała, że około 1,3 mln ludzi w Tigraj potrzebuje szybkiej pomocy humanitarnej. Ponad 50 tys. uciekło do sąsiedniego Sudanu. Atakowani i wypędzani są też uchodźcy z Erytrei, którzy wcześniej znaleźli schronienie w Etiopii. Organizacje humanitarne i media nie mają dostępu do Tigraj. W wyniku walk około 2,2 mln ludzi musiało porzucić swoje domy. Przyznał to jeden z wysokich urzędników tymczasowej administracji prowincji narzuconej przez rząd federalny. Ze względu na blokadę informacyjną nie wiadomo, ilu ludzi zginęło w czasie listopadowej kampanii. Abiy zapewniał, że nie będzie nawet jednej cywilnej ofiary. Tymczasem mówi się o setkach, jeśli nie tysiącach zabitych.

Etniczne konflikty i separatystyczne dążenia różnych regionów to doskonała gleba dla działalności islamskich ekstremistów.

„Państewka" w państwie

44-letni premier przekonuje, że pokonanie TPLF oznacza usunięcie poważnej przeszkody blokującej jego plany demokratycznych i rynkowych reform, jak też pełne wprowadzenie w życie umowy pokojowej z Erytreą z 2018 roku. To właśnie za zakończenie tego konfliktu Abiy dostał w 2019 roku pokojową nagrodę Nobla. Ale dziś wchodzi na ścieżkę, która już jego poprzedników zaprowadziła w przepaść. W latach 2015–2016 rząd zdominowany przez Tigrajczyków z użyciem wojska stłumił masowe protesty, co jeszcze bardziej zdestabilizowało sytuację. Etiopia uniknęła wtedy katastrofy tylko dzięki rezygnacji premiera Hailemariama Desalegna oraz zmianom w układzie rządzącym (m.in. dzięki objęciu władzy przez Abiya) i obiecanym reformom. Abiy chce scentralizować państwo, także po to, by nadać gospodarce nowy impuls. Wszak od 2005 do 2019 roku gospodarka Etiopii wzrosła o zaledwie nieco ponad 10 procent. Tymczasem jest to państwo federalne, a konstytucja z 1994 roku daje głównymi grupom etnicznym bardzo dużą samodzielność w zarządzaniu własnymi regionami – których jest aż 11. Co więcej, każdy region ma zapisane w konstytucji prawo do secesji. Na tym tle doszło zresztą do konfliktu rządu federalnego z władzami Tigraj. Chyba jednak największą słabością obecnego ustroju jest za daleko idąca władza poszczególnych prowincji choćby w kwestiach etnicznych. W efekcie mniejszość etniczna w skali całego państwa, we własnym „państewku" (prowincji) prześladuje inne grupy narodowościowe. Najbardziej drastycznym przykładem jest konflikt Tigrajczyków z Amharami (przejawem masakra w Aksum). W skali całej Etiopii ci pierwsi stanowią zaledwie 6 proc., ci drudzy zaś są drugą największą grupą etniczną w kraju. Ale w samym Tigraj amharska mniejszość była brutalnie prześladowana.

Wrzenie w Rogu Afryki

Podobnych etnicznych konfliktów jest w całej Etiopii dużo więcej. Widać to teraz jeszcze mocniej, gdy Abiy pościągał z innych zakątków kraju siły wojskowe i bezpieczeństwa do rozprawy z Tigrajczykami. 12 stycznia ponad 80 osób zginęło w zbrojnym ataku w regionie Bienszangul-Gumuz na zachodzie Etiopii. To kolejna w ostatnich miesiącach rzeź w tej ubogiej prowincji zamieszkanej przez kilkadziesiąt (!) grup etnicznych. 23 grudnia we wsi Bekoji w powiecie Bulen zamordowano 222 osoby – dzień po wizycie w prowincji premiera. Eskalacja etnicznych starć właśnie w tym regionie jest tym groźniejsza, że właśnie w Beniszangul-Gumuz powstaje gigantyczna tama na Nilu (GERD). W ostatnim czasie to najgorętszy temat we wschodniej

Afryce. Dlaczego? Nil i wszystko, co z nim związane, to kwestia budząca ogromne emocje zarówno w Egipcie, Sudanie, jak i Etiopii. Pomysł wielkiej tamy w górnym biegu Nilu – w Etiopii – wywołuje protesty leżących niżej Sudanu i Egiptu. Obecny kryzys polityczny w tym ostatnim państwie powoduje, że trudniej będzie o kompromis. Przeciwnie, Abiy może sprawę tamy wykorzystać jako temat jednoczący Etiopczyków i wzmacniający jego pozycję. A to oznaczać może konfrontację z Chartumem i Kairem. Zwłaszcza że z Sudanem Etiopia ma dodatkowo spory graniczne. Większość zachodniej części Tigraj zajęły milicje amharskie, a na granicy z Sudanem doszło do starć Amharów z armią sudańską. Jeśli nie dojdzie do kompromisu w sprawie GERD, niewykluczony jest wręcz zbrojny konflikt Egiptu i Sudanu z Etiopią.

To zaś jeszcze mocniej zdestabilizuje Róg Afryki – obszar strategiczny, bo przecież leżący przy jednym z najważniejszych szlaków morskich świata. Arabia Saudyjska i Zjednoczone Emiraty Arabskie politycznie i ekonomicznie inwestują zarówno w Addis Abebie, jak i Kairze czy Chartumie. Konflikty między Etiopią, Sudanem i Egiptem na pewno nie cieszą władz w Rijadzie czy w emiratach nad Zatoką. Ewentualne wezwania do secesji w jednym czy więcej prowincjach Etiopii mogą jeszcze bardziej pogorszyć sytuację. I tak w Rogu Afryki w ostatnich paru dekadach doszło do zmian terytorialnych i powstania nowych państw w stopniu niewidzianym w innych częściach świata. W 1993 roku Erytrea oderwała się od Etiopii. W 2011 roku Sudan Południowy oderwał się od Sudanu. A jest przecież jeszcze, nieuznawany przez społeczność międzynarodową, Somaliland, który oderwał się od Somalii. Etniczne konflikty i separatystyczne dążenia różnych regionów to doskonała gleba dla działalności islamskich ekstremistów. Choćby dżihadystów z al-Shabab w etiopskiej prowincji Somali czy wśród muzułmanów w Oromii i innych częściach kraju. Konflikt w Tigraj i napływ uchodźców może też wpłynąć na sytuację w Sudanie, który po obaleniu Omara Baszira przechodzi trudny okres transformacji i w każdej chwili znów może dojść do konfliktu armii z cywilną opozycją. **GP**

FOT. MOHAMED NURELDIN ABDALLAH/REUTERS/FORUM

W wyniku walk plemiennych swoje domy musiało porzucić 2,2 mln ludzi.

FOT. PAP/ABACA

Etniczne konflikty to codzienność Etiopczyków.

KONDOLENCJE

Z głębokim żalem i smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci naszego Przyjaciela i wielkiego Patrioty

ŚP.

Bogdana Wierzbickiego

Żegnamy Cię, ale nigdy nie zapomnimy Twojego zaangażowania w budowę wolnej i niepodległej Polski.

Towarzystwo Patriotyczno-Historyczne Ziemi Sierpeckiej PAMIĘĆ i PRAWDA

ROSJA **na wesoło**

Wiadomości z kraju wiecznej szczęśliwości, czyli cotygodniowy przegląd ciekawostek z Federacji Rosyjskiej. Od Kaliningradu pod chińską granicę. Od Moskwy do wiosek na Przywołżu.

Feliks **Kazański**

Rosja: Horror from real Mordor

Nie tylko dla bogatych Rosyjscy producenci ziemniaków zwrócili się do resortu rolnictwa o umożliwienie sieciom handlowym sprzedaży „kartofli klasy ekonomicznej", co, jak wyjaśnili, powinno przełożyć się na cenę tego delikatesu. Wspaniały pomysł – możliwość delektowania się ziemniakami powinien mieć każdy, chociaż oczywiście nie każdego powinno być stać na klasę business albo lux.

Przykra wpadka Władze Albanii uznały rosyjskiego dyplomatę za osobę niepożądaną z powodu niestosowania się do zasad przeciwepidemicznych obowiązujących w związku z COVID-19. Zobowiązano go do opuszczenia kraju w ciągu 72 godzin – uściślono w komunikacie albańskiego MSZ. Odmówiono jednak podania pełnionej przez Rosjanina funkcji w ambasadzie oraz szczegółów dotyczących naruszania przez niego przepisów. Szpiegował bez maseczki?

Najuprzejmiejszy z uprzejmych Przed sądem w Tuwie stanął były szef wydziału kryminalnego miasta Kyzył, czyli stolicy republiki. Za to, że przesłuchując podejrzanego, oblał go benzyną i podpalił. Potem jeden z jego podkomendnych dobił ofiarę młotkiem. Osiem lat temu oskarżony wygrał konkurs na najbardziej uprzejmego szefa policji w Tuwie. Nie ma więc wątpliwości, że podczas wspomnianego wyżej incydentu nie przeklinał oraz nie zapominał mówić „proszę", „przepraszam" i „dziękuję"... Ale jeśli tak wygląda najuprzejmiejszy z tamtejszych funkcjonariuszy, to mieszkańcom republiki mimo wszystko nie zazdrościmy.

Blondynka marzeń Złotowłosa piękność Kristina K., znana z sesji w rosyjskiej edycji „Playboya" jako „blondynka twoich marzeń", w pijanym widzie pocięła nożem swoją równie urodziwą koleżankę z branży, z którą spotkała się na drinka w centrum Moskwy. Jak widać, powiedzenie „złość piękności szkodzi" w Rosji ma nieco inne znaczenie. I do tego dosłowne.

Honor sportowca Rosyjski biegacz narciarski Aleksandr Bolszunow nie darował Finowi Joni Maeki sportowego upokorzenia. Kiedy rywal nie dał mu się wyprzedzić w sztafecie zawodów Pucharu Świata, Rosjanin przywalił mu kijkiem, a potem popchnął go i przewrócił. – Człowiek rosyjski nie da się skrzywdzić – pochwalił zachowanie Bolszunowa jego kolega z drużyny Jewgienij Biełow. No i wszystko jasne. Tylko z tymi fińskimi narciarzami to jednak Rosjanie powinni trochę uważać. W 1939 roku też raz z nimi zaczęli... **GP**

WYLECZY WSZYSTKO

Twórca „Nowiczoka" zapowiedział uruchomienie produkcji lekarstwa przeciwko koronawirusowi – informuje dziennik Izwiestia. I o to chodzi. Przynajmniej wiadomo, że preparat był testowany. Na Skripalach i Nawalnym...

FOT. PIXABAY

Kilka słów o dobrobycie

Rospotriebnadzor (Federalna Służba Nadzoru w Sferze Obrony Praw Konsumenta i Dobrobytu Ludzkiego) przypomniał mieszkańcom rosyjskich miast o tradycyjnych sezonowych niedogodnościach. „Kolejna inwazja karaluchów w budynkach wielorodzinnych i ich masowe rozmnażanie przypadnie na luty. To pierwszy punkt szczytowy w roku, a drugi będzie latem" – cytują informacje urzędu agencje informacyjne. A jak tam z aktywnością wszy – też wszystko w normie, wszobojki przygotowane?

Czytajcie więcej na **www.facebook.com/RosjaHFRM**

REKORDY W BUDOWNICTWIE MIMO PANDEMII

CORAZ BLIŻEJ DO UNIJNYCH STANDARDÓW MIESZKANIOWYCH

Ostatnie dane pokazują, że obostrzenia związane z koronawirusem nie wpłynęły na naszą gospodarkę równie negatywnie, co na gospodarki innych krajów UE. Zawdzięczamy to zarówno dobrym wynikom produkcji przemysłowej, jak i budownictwa.

Maciej **Pawlak**
SZEF DZIAŁU GOSPODARKA

Szczególnie spektakularne okazały się rezultaty produkcji mieszkaniowej. W ciągu całego 2020 roku oddano do użytkowania 222 tys. mieszkań (o przeciętnej powierzchni użytkowej 88,5 m^2) – po raz pierwszy tak dużo od 1979 roku.

Dobra końcówka roku

Stosunkowo niewielki – biorąc pod uwagę skalę lockdownów, mających niwelować skutki pandemii COVID-19 w poszczególnych branżach – spadek polskiego PKB okazał się ostatecznie niższy od zakładanego wcześniej przez rząd. Stało się tak wskutek świadomej decyzji naszych władz o niezamykaniu zarówno przemysłu, jak i budownictwa.

Jak powiedział „GP" Jan Styliński, prezes Zarządu Polskiego Związku Pracodawców Budownictwa, skala zachorowań w sektorze budowlanym była niższa niż w innych sek-

CENY W GÓRĘ
Według danych GUS ceny mieszkań wzrosły w III kwartale ubiegłego roku o 10,9 proc. w porównaniu z III kwartałem 2019 roku (i o 2 proc. w stosunku do II kwartału ubiegłego roku).

FOT. PIXABAY

torach. – To sprawiło, że strona rządowa nie podjęła decyzji o zamknięciu budownictwa jako całej branży. Choć nie było to wcale oczywiste. Lockdown w budownictwie ogłoszono m.in. w Belgii, Austrii, co w tamtych krajach odbiło się negatywnie. W Polsce udało się nam przekonać władze, że branża budowlana nie jest niebezpieczna, i faktycznie niebezpieczna nie była – dodał.

Przełożyło się to na jej ubiegłoroczne wyniki. Według wstępnych danych opublikowanych przez GUS produkcja budowlano-montażowa w grudniu 2020 roku była wyższa o 3,4 proc. w porównaniu z grudniem 2019 roku oraz wyższa aż o 34,4 proc. w stosunku do listopada ubiegłego roku. Jednocześnie w całym ubiegłym roku produkcja ta w porównaniu z 2019 rokiem okazała się nieznacznie (o 2,2 proc.) niższa.

Zasługi sektora rynkowego

Uwagę wszystkich skupiają jednak przede wszystkim wyniki sektora mieszkaniowego. W ciągu całego 2020 roku oddano do użytkowania 222 tys. mieszkań. Było to zatem o 7,0 proc. więcej niż rok wcześniej (207 tys.). Jak wynika z danych GUS, wpływ na taką sytuację miał sektor rynkowy, obejmujący blisko 98,2 proc. wszystkich oddanych do użytkowania w analizowanym okresie mieszkań – podkreśla Ministerstwo Rozwoju, Pracy i Technologii.

Z łącznej liczby mieszkań oddanych do użytku deweloperzy przekazali do eksploatacji 143,8 tys. (64,8 proc. wszystkich mieszkań), zaś inwestorzy indywidualni 74,1 tys. (33,4 proc.). Według Polskiego Związku Firm Deweloperskich (PZFD) liczba mieszkań oddanych do użytku przez deweloperów „jest wynikiem inwestycji rozpoczynanych około dwóch lat wcześniej i jest zgodna z długoterminowymi przewidywaniami. W kolejnych miesiącach powinniśmy obserwować podobne wskaźniki obrazujące liczbę mieszkań oddawanych do użytkowania".

Wskaźnik nasycenia mieszkań – do nadrobienia

Choć nie wszyscy eksperci podzielają ten optymistyczny pogląd, to oprócz spodziewanego wskutek słabnięcia pandemii odbicia w górę całej naszej gospodarki istotny wpływ na dalszy rozwój tego segmentu budownictwa może mieć wciąż spory dystans, który dzieli Polskę od innych państw europejskich pod względem liczby mieszkań przypadającej na tysiąc mieszkańców.

Według ubiegłorocznego raportu resortu rozwoju („Stan mieszkalnictwa w Polsce") zasoby mieszkaniowe w naszym kraju (według stanu na 31 grudnia 2018 roku) wynosiły 14,62 mln mieszkań. Oznacza to, że na 1000 mieszkańców przypada około 386 mieszkań (po zsumowaniu mieszkań wybudowanych w kolejnych dwóch latach wskaźnik ten podniósł się do niemal 400). Słabszy wynik wśród krajów UE odnotowano jedynie na Słowacji (369 mieszkań). Natomiast w Niemczech wskaźnik ten wyniósł 509, na Węgrzech – 456, w Czechach – 455. Łącznie w ponad połowie państw UE liczba mieszkań na tysiąc mieszkańców przekroczyła 500. „Należy jednak pamiętać, że najwyższe wartości osiągane są w krajach będących celem turystycznym, gdzie w atrakcyjnych miejscach buduje się domy i mieszkania użytkowane w celach turystycznych w okresach wakacyjnych, a budynki te nie przyczyniają się do zaspokajania potrzeb mieszkaniowych ogółu społeczeństwa" – dodaje ministerstwo. Dlatego najwyższe wartości tego wskaźnika osiągnęły Portugalia (579), Grecja (576), Bułgaria (566). Według resortu rozwoju „docelowym wskaźnikiem nasycenia mieszkań w polskich warunkach jest wartość bliższa ok. 450 mieszkań na tysiąc mieszkańców". Brakuje ich zatem obecnie z górą ponad 1,5 mln.

Co dalej w sektorze mieszkaniowym

Gdybyśmy zatem utrzymali tendencję do budowania w kolejnych latach ponad 200 tys. mieszkań rocznie, taki wskaźnik moglibyśmy osiągnąć za kolejne 7–8 lat. Jak widać po wynikach ostatnich dwóch lat, nie jest to zadanie niewykonalne. W jego realizacji mogłoby pomóc np. państwo, które wdraża program Mieszkanie Plus (lokale na wynajem). Jednak, jak na razie, nie rozwija się on na tyle dynamicznie, by liczba lokali budowanych w jego ramach mogła w jakiś znaczący sposób zbliżyć się do wyników osiąganych choćby przez inwestorów indywidualnych, budujących domy na własne potrzeby (w ubiegłym roku wznieśli ich 74,1 tys.). To o tyle istotne, że średnie ceny mieszkań w naszym kraju (według GUS na koniec ubiegłego roku około 5 tys. zł/m^2.; najdroższe w stolicy, według portalu otodom.pl, kosztowały śred-

nio niemal 11 tys. zł/m²) dalece odbiegają od możliwości ich zakupu przez miliony naszych obywateli, biorąc pod uwagę ich średnie dochody i tym samym potencjalną zdolność kredytową w ocenie banków, udzielających kredytów hipotecznych. Jednocześnie osoby posiadające zdolność kredytową, o odpowiednio wysokich zarobkach, częściej niż w poprzednich latach podejmują teraz decyzję o kupnie mieszkania na kredyt, biorąc pod uwagę jego obecnie relatywnie niskie oprocentowanie. Z kolei posiadacze oszczędności, umieszczający je do niedawna na lokatach, likwidują je wskutek ich praktycznie zerowego oprocentowania, decydując się nierzadko na kupowanie mieszkań za gotówkę.

Tymczasem, według danych GUS, ceny mieszkań wzrosły w III kwartale ubiegłego roku o 10,9 proc. w porównaniu z III kwartałem 2019 roku (i o 2 proc. w stosunku do II kwartału ubiegłego roku). Oznacza to jednocześnie, że wówczas ich ceny były aż o 37,1 proc. wyższe w porównaniu ze średnią ceną dla 2015 roku. Według PZFD „to pokazuje, że rynek mieszkaniowy jest dość odporny na zawirowania". Co do cen mieszkań w 2021 roku PZFD spodziewa się „dalszego kilkuprocentowego wzrostu wynikającego z wyższych kosztów budowy (...). Ponadto podaż będzie dalej pod presją, wciąż brak jest gruntów, mimo pandemii dostępność ziemi się nie zwiększyła".

Owoce wysokiego optymizmu z lat 2018–2019

W ocenie Piotra Soroczyńskiego, głównego ekonomisty Krajowej Izby Gospodarczej, można mieć obawy w odniesieniu do budownictwa mieszkaniowego, które osiągnęło wysokie wyniki w 2020 roku. – Były to bowiem przede wszystkim owoce wysokiego optymizmu z lat 2018–2019, za którym stał boom inwestycyjny, wskutek którego w ubiegłym roku wybudowano tak dużo mieszkań. Zatem analizując ilość wydanych w ubiegłym roku pozwoleń na budowę oraz budowy rozpoczęte, nie ma dużej nadziei, by można było wypracować w tym roku tak bardzo dobre wyniki jak w 2020 roku. Część deweloperów ma bowiem nieco gorszą sytuację – nowo wybudowane przez nich mieszkania nie zawsze są sprzedawane w cenach, które zakładali w czasie, gdy gospodarka odnotowywała stały rozwój. Obecnie rentowności są więc nieco inne, nieco inaczej może zatem wyglądać przygotowywanie przez nich następnych inwestycji. Ponadto konsumenci oraz kredytujące banki zachowują się dość powściągliwie w tak niepewnych czasach jak dzisiejsze.

> Część deweloperów ma nieco gorszą sytuację – nowo wybudowane przez nich mieszkania nie zawsze są sprzedawane w cenach, które zakładali w czasie, gdy gospodarka odnotowywała stały rozwój.

Jednak, uważa Piotr Soroczyński, pewnego rodzaju czynnikiem wspierającym dla rynku mieszkaniowego byłoby wprowadzenie ujemnych stóp procentowych. – Wówczas mogłoby się okazać, że społeczeństwo – jako deponenci, mający w bankach około 1 bln zł – zacznie poszukiwać bardzo aktywnie sposobów inwestowania oszczędności, tak by przynosiły przynajmniej 3–5 proc. zysku rocznie, a nie straty.

W opinii prezesa Stylińskiego, ostatnie dane pokazały, że wybudowano w 2020 roku więcej mieszkań, niż się rynek spodziewał. – Nie widzimy dziś ryzyka pogorszenia pozytywnego trendu w tym segmencie budownictwa – mówi Jan Styliński. – Natomiast duży znak zapytania stanowią inwestycje hotelowe, wypoczynkowe. Bo ten rynek rzeczywiście zupełnie się zatrzymał. Jesteśmy także świadomi, że samorządy będą miały mniej pieniędzy. W wielu przypadkach może dojść do 30–35-proc. zmniejszenia nakładów inwestycyjnych w porównaniu z latami minionymi. Zobaczymy także, które branże na tym najwięcej zyskają, a które stracą. Myślę, że mało które zyskają. To jest rynek, który w dużej mierze kierowany był do firm średnich – zaczną one konkurować o inne zlecenia, m.in. o zlecenia podwykonawcze na dużych kontraktach rządowych. **GP**

RYNEK MIESZKANIOWY W POLSCE Q4 2020

Deweloperzy działający na sześciu największych rynkach mieszkaniowych sprzedali w ubiegłym roku 53 tys. mieszkań, o 19 proc. mniej niż w 2019 roku. Nowa podaż była o 4,4 tys. niższa niż liczba transakcji, a spadek nowej podaży w całym ubiegłym roku wyniósł 24 proc. Na koniec grudnia na rynku pierwotnym pozostawało 48 tys. nowych mieszkań. W porównaniu z końcem 2019 roku na żadnym z analizowanych rynków nie odnotowano spadku cen mieszkań w ofercie. – Wyniki rynku sprzedaży nowych mieszkań w IV kwartale ubiegłego roku okazały się lepsze od oczekiwań – uważa Kazimierz Kirejczyk, wiceprezes firmy JLL.

KONCERN INWESTUJE W BIOGAZOWNIE ROLNICZE

Orlen Południe, spółka z Grupy Orlen, nabyła dwie działki w gminie Ryn, woj. warmińsko-mazurskie, z rozpoczętą budową biogazowni rolniczej. Spółka rozbuduje instalację w kierunku biometanowni, produkującej około 7 mln m³ biogazu rocznie. Realizacja projektu wpisuje się w strategię Grupy Orlen do 2030 roku, zakładającą budowę efektywnego ekonomicznie i energetycznie systemu OZE. – Stawiamy na nowoczesny biznes, który pozwoli Grupie Orlen rozwijać się w sposób zrównoważony – mówi Daniel Obajtek, prezes Grupy Orlen.

FOT. WIKIPEDIA, PIXABAY

GAZETA POLSKA

IZBY APTEKARSKIE WCIĄŻ SILNE

Od chwili wprowadzenia ustawy „Apteka dla aptekarza" w 2017 roku liczba aptek spadła o 1200. Od tego czasu Wojewódzkie Inspektoraty Farmaceutyczne i Główny Inspektorat Farmaceutyczny uzyskały uprawnienia nieznane do tej pory w żadnej innej branży. Mogą zamykać apteki na drodze prawomocnych decyzji, które podważyć może jedynie sąd administracyjny. Takie wnioski płyną z dyskusji, która miała miejsce podczas styczniowego posiedzenia Zespołu Parlamentarnego ds. Polityki Lekowej.

Maciej **Pawlak**

KONTROWERSJE WOKÓŁ SYTUACJI NA RYNKU FARMACEUTYCZNYM

Dyskutowano wówczas na temat dzisiejszej roli władz aptekarskich. Inspektoraty mają możliwość decydowania nie tylko o jakości świadczonych w aptekach usług, lecz także o funkcjonowaniu wszystkich aptek na rynku i ich własności. Wiceprezes Naczelnej Rady Aptekarskiej, Marek Tomków, odpiera te zarzuty. – Ustawa „Apteka dla aptekarza" mówi o tym, kto może się otworzyć, a nie o tym, kto powinien się zamknąć. (...) To, z czym mamy dzisiaj do czynienia, to jest właśnie wolny rynek, bo jeśli mamy do czynienia z proporcją pół na pół, jeśli chodzi o upadek aptek sieciowych i indywidualnych, to właśnie o tym decyduje niestety ekonomia – dodał podczas posiedzenia.

Jednak według przedstawicieli aptek i samych aptekarzy biorących udział w posiedzeniu, inspektoraty mogą dowolnie interpretować i wydawać decyzje dotyczące zezwoleń na prowadzenie aptek i ich cofania – podczas gdy te zagadnienia są zazwyczaj regulowane przez inne instytucje, np. Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów (UOKiK). Dodatkowo niekorzystne decyzje podjęte przez Główny Inspektorat Farmaceutyczny (GIF) są prawomocne, a jedyną ścieżkę odwoławczą stanowi przekazanie sprawy do sądów administracyjnych, które wydają wykluczające się decyzje.

Kontrowersje wzbudza wsteczne blokowanie aptek przez inspektoraty farmaceutyczne na podstawie zapisów antykoncentracyjnych obowiązującej ustawy. Na jej podstawie GIF wykorzystuje rozmaite przesłanki do podważenia ważności pozwolenia na działalność, nawet gdy zostało ono wydane na wiele lat przed wejściem w życie ustawy „Apteka dla aptekarza".

W styczniu bieżącego roku został odwołany główny inspektor farmaceutyczny. To, być może, dobra okazja, aby zmienić wytyczne doboru kandydata na to stanowisko. Może warto, aby do konkursu mogły stanąć osoby z innych grup zawodowych, spoza środowiska farmaceutycznego, na przykład lekarz, prawnik lub ekonomista.

Konieczne jest ujawnienie prowadzenia przez członków izb lub ich rodziny aptek konkurencyjnych.

Potrzebne są również jasne przepisy precyzujące, na czym polega w konkretnych sytuacjach konflikt interesów, poprzez m.in. nałożenie obowiązku ujawnienia przez członków władz izb aptekarskich rozliczeń z innymi uczestnikami rynku: producentami leków, hurtowniami, aptekami – analogicznie do przepisów dotyczących korzyści majątkowych lekarzy. Konieczne jest też ujawnienie prowadzenia przez członków izb lub ich rodziny aptek konkurencyjnych. Ważne jest przecież, aby organ odwoławczy był całkowicie wolny od nacisków wszystkich uczestników rynku.

Krótki czas przeznaczony na przeprowadzenie konkursu na stanowisko Głównego Inspektora Farmaceutycznego wskazuje jednak, że kolejną nominowaną osobą na ten urząd będzie zapewne osoba ze środowiska izb zrzeszonych w Naczelnej Izbie Aptekarskiej. Sytuacja na rynku aptecznym nie zmieni się więc szybko. **GP**

FOT. PIXABAY

Ryszard
Kapuściński
PREZES KLUBÓW „GP”

158. rocznica wybuchu powstania styczniowego

Kluby „Gazety Polskiej” jak co roku uczestniczyły w uroczystościach upamiętniających rocznicę zrywu z 1863 roku.

W bazylice w Brzozowie pod tablicą upamiętniającą powstańców styczniowych

Zryw przeciwko imperium rosyjskiemu rozpoczął się 22 stycznia 1863 roku w Królestwie Polskim i 1 lutego 1863 roku na Litwie; trwał do jesieni 1864 roku. Był to największy i najdłużej trwający w XIX wieku polski zryw narodowy. Podczas powstania, które miało charakter wojny partyzanckiej, stoczono ponad tysiąc bitew, a w siłach polskich uczestniczyło w sumie około 200 tys. osób. Pod koniec 1863 roku łączny stan wojsk rosyjskich wynosił ponad 400 tys. żołnierzy, 170 tys. w Królestwie Polskim, na Litwie 145 tys., a na Ukrainie 90 tys. Rząd Narodowy miał w polu jednocześnie nie więcej niż 10 tys. partyzantów. Pomimo początkowych sukcesów powstanie zakończyło się przegraną powstańców, kilkadziesiąt tysięcy poległo w walkach, blisko tysiąc stracono, około 38 tys. skazano na katorgę lub zesłanie na Syberię, a około 10 tys. wyemigrowało. Wojska rosyjskie pacyfikowały powstanie z wyjątkowym okrucieństwem, a miejscowości, które udzieliły schronienia powstańcom, były palone, zdarzały się również przypadki rzezi ludności cywilnej. Niszczono dobra kultury, np. spalono archiwum Ordynacji Zamojskiej w Zwierzyńcu. Wilno zostało spacyfikowane przez oddziały Murawjowa „Wieszatiela”, na Litwie zginęło 10 tys. szlachty polskiej na ogólną liczbę 40 tys. Po upadku powstania kraj i Litwa pogrążyły się w żałobie narodowej. W roku 1867 zniesiono autonomię Królestwa Polskiego, jego nazwę i budżet. W latach 1869–1870 setkom miast wspierających powstanie odebrano prawa miejskie, doprowadzając je tym samym do upadku. W roku 1874 zniesiono urząd namiestnika, a w 1886 roku zlikwidowano Bank Polski. Skasowano klasztory katolickie w Królestwie, skonfiskowano około 1600 majątków ziemskich i rozpoczęto intensywną rusyfikację ziem polskich. Pomimo niepowodzenia militarnego powstanie styczniowe osiągnęło część celów politycznych, jakie postawili sobie jego organizatorzy. Przyczyniło się m.in. do zahamowania ugodowej wobec zaborcy polityki reprezentowanej przez polskie elity Królestwa. Pamięć o powstaniu ożywiała w kolejnych dziesięcioleciach nastroje patriotyczne, co przyczyniło się do odzyskania niepodległości pół wieku później. Powstanie przyczyniło się do korzystniejszego niż w dwóch pozostałych zaborach i w etnicznej Rosji uwłaszczenia chłopów zarówno w Królestwie, jak i na ziemiach zabranych. Znaczna część patriotów zwróciła się ku pracy organicznej, zaś pamięć o powstańcach stała się ważnym motywem w literaturze (np. Bolesław Prus, Eliza Orzeszkowa, Stefan Żeromski) i malarstwie (m.in. Artur Grottger, Jan Matejko, Maksymilian Gierymski) oraz motywacją dla nowego pokolenia działaczy niepodległościowych (np. skupionych wokół Józefa Piłsudskiego).

Uroczystości w Brzozowie tak opisuje Henryk Kozik, przewodniczący miejscowego klubu „GP”: „W bazylice mniejszej pw. Przemienienia Pańskiego w Brzozowie odbyła się uroczysta msza św. w intencji Ojczyzny. Odczytano uroczysty apel skierowany do uczestników przez wojewodę podkarpackiego panią Ewę Leniart. Pod tablicą upamiętniającą powstańców styczniowych została złożona wiązanka biało-czerwonych kwiatów i zapalone światła pamięci. Tablica poświęcona temu wydarzeniu znajduje się na filarze nawy bocznej i zawiera 28 nazwisk obywateli powiatu brzozowskiego – uczestników, organizatorów i aktywistów powstania styczniowego w latach 1863–1864. Tablica opatrzona jest obustronną wstęgą z datami 1863 i 2013 i spięta pośrodku trójpolowym herbem Rzeczypospolitej z 1863 roku (zawiera herby Korony Królestwa Polskiego, Litwy i Rusi). Została tam umiesz-

złożono wiązankę biało-czerwonych kwiatów i zapalono światła pamięci.

FOT. KLUBY „GP"

czona staraniem i z inicjatywy posła na Sejm RP Piotra Babinetza, przewodniczącego Rady Powiatu Brzozowskiego Henryka Kozika oraz Jednostki Strzeleckiej 2222 kierowanej przez Jana Gieferta w 2013 roku w 150. rocznicę wybuchu powstania styczniowego. Pierwszymi bohaterami wymienionymi na tablicy są starosta brzozowski Jan Kalita de Brenzenheim i jego żona Barbara Kalita de Brenzenheim z Komorowskich, aktywnie organizujący i wspierający powstanie. W tym miejscu należy dodać za Karolem Kalitą de Brenzenheim (płk »Rębajło«), autorem publikacji »Ze wspomnień krwawych walk«, że byli to rodzice sześciu synów, którzy czynnie walczyli w powstaniu styczniowym: Józefa (służył w kawalerii), Ludwika (sześć lat spędził na Syberii), Romana (ranny w prawą nogę), Stanisława i Władysława (obaj polegli w bitwie w Lubelskiem) i najsłynniejszego Karola (pułkownik ps. Rębajło, dowódca Pułku Stopnickiego, dzierżawca Golcowej). Jednym z upamiętnionych jest Alojzy Malawski, który walczył w elitarnym oddziale Żuawów Śmierci, czyli jakbyśmy dzisiaj powiedzieli – w oddziale komandosów. Pozostałych brzozowskich powstańców styczniowych wymienia napis znajdujący się na pamiątkowej tablicy, który brzmi: »W hołdzie Rodakom / mieszkańcom Brzozowa / Bohaterom Powstania Styczniowego / w 150. rocznicę jego wybuchu«".

W 158. rocznicę powstania styczniowego, w imieniu klubu „GP" w Nowym Sączu, przewodniczący Tomasz Baliczek oddał hołd powstańcom, którzy w 1863 roku podjęli walkę przeciwko zaborcy rosyjskiemu. Tomasz Baliczek przypomniał: „Ostatnim akordem powstania styczniowego było wykonanie 23 maja 1865 roku wyroku śmierci na ks. gen. Stanisławie Brzósce – Naczelniku Wojennym i jego adiutancie Franciszku Wilczyńskim. Pamięć o powstaniu ożywiała w kolejnych dziesięcioleciach nastroje patriotyczne, co przyczyniło się do odzyskania niepodległości pół wieku później. Józef Piłsudski w 1919 roku jako Wódz Naczelny wydał specjalny rozkaz, dotyczący weteranów tego zrywu niepodległościowego. Dokument nie tylko sławił powstańców, uznając ich za »niedościgniony ideał zapału, ofiarności i trwania w nierównej walce, w warunkach fizycznych jak najcięższych, za ostatnich żołnierzy Polski, walczącej o swą swobodę i wzór wielu cnót żołnierskich, które naśladować będziemy«. Naczelnik Państwa w swoim rozkazie uznał także wszystkich weteranów zrywu niepodległościowego z 1863 roku za żołnierzy Wojska Polskiego z prawem noszenia munduru w dni uroczyste. Wszystkich żyjących weteranów powstania (było ich wówczas 3644) awansowano na stopień podporucznika, czyli najniższy oficerski, a dotychczasowych oficerów – na stopień wyższy. Przyznano im też stałą dożywotnią pensję, a rozkazem ministra spraw wojskowych nakazano wojskowym oddawać honory powstańcom równego i wyższego stopnia. Nadawano im także ordery – odnowiony Virtuti Militari i nowo ustanowiony Krzyż Niepodległości. W przeddzień 70. rocznicy powstania to ostatnie odznaczenie, w najwyższej klasie, z Mieczami, nadano wszystkim poległym i zmarłym powstańcom, symbolicznie dekorując nim Krzyż Traugutta w warszawskiej Cytadeli". Wieczna chwała bohaterom!

Również w innych miastach uczczono 158. rocznicę powstania styczniowego, m.in. w Gliwicach, gdzie delegacja gliwickiego klubu z panem Henrykiem Czajkowskim rozwinęła flagę w Golgocie Polskiej, na której widniały: Orzeł Biały, Pogoń i Archanioł Michał. Herby trzech narodów zjednoczonych stanowiących kiedyś potęgę. Zapalono znicze pod tablicą powstania i pomodlono się za bohaterskich prapradziadków i praprababcie. W Koninie członkowie klubu „GP" im. Marii i Lecha Kaczyńskich złożyli wiązanki kwiatów i zapalili znicze pod pomnikiem ojca Maksymiliana Tarejwo. Klub „GP" Elbląg II im. Lecha Kaczyńskiego jak co roku uczestniczył w obchodach rocznicowych wybuchu powstania styczniowego pod pomnikiem Romualda Traugutta, gdzie złożono kwiaty i zapalono znicze. W Sandomierzu zapalono znicze na grobach powstańców na Cmentarzu Katedralnym w Sandomierzu i na mogile uczestnika powstania styczniowego porucznika Ignacego Marynowskiego, porucznika Lamberta Nejmarka i księdza Tomasza Sokalskiego. Następnie w ramach obchodów odbyła się msza święta w intencji powstańców styczniowych w kościele św. Józefa w Sandomierzu, co, jak podkreślił poseł Marek Kwitek, ma wymiar symboliczny. – Kościół świętego Józefa stoi w miejscu, gdzie wcześniej funkcjonował klasztor Reformatów Franciszkanów, który wcześniej był ośrodkiem patriotycznym – przypomniał poseł Marek Kwitek. – Należał do głównych centrów myśli patriotycznej, powstaniowej w Sandomierzu. **GP**

Kontakt dla osób, które chcą założyć klub „GP"

Tomasz Sakiewicz
REDAKTOR NACZELNY „GP"
e-mail: tomasz.sakiewicz@gazetapolska.pl

Ryszard Kapuściński
PREZES KLUBÓW „GP"
e-mail: ryszard.kapuściński@gazetapolska.pl

Ewa Wójcik
BIURO KLUBÓW „GP"
ul. Bracka 15, I piętro
31-005 Kraków
e-mail: klubygp@gazetapolska.pl
tel. (12) 422 03 08, 505 038 217

WIĘCEJ INFORMACJI NA **WWW.KLUBYGP.PL**

Grzegorz
Broński

Perfidny szantaż

Omal nie zabiła córki

Sąsiadka zagroziła Małgorzacie G., że „wywiezie jej córkę do burdelu". Sterroryzowana kobieta miesiącami płaciła za spokój. Gdy już nie miała pieniędzy, próbowała zabić dziecko!

W wydziale karnym Sądu Okręgowego w Poznaniu w przeszłości zapadały wyroki za makabryczne zbrodnie, a podczas rozpraw analizowano ludzkie dramaty, o których nie można zapomnieć. Także niedawno zakończono proces, który na długo pozostanie w pamięci prawników. Niektórzy wręcz współczuli… oskarżonym! Małgorzata G. i jej syn Tomasz odpowiadali za usiłowanie zabójstwa 10-letniej córki i siostry. „Uchodzili za zwykłą, kochającą się rodzinę. Olga G. była wzorową, lubianą przez kolegów i nauczycieli uczennicą, oskarżona cieszyła się opinią osoby zainteresowanej dzieckiem i dbającej o nie, a oskarżony Tomasz G. był uważany przez sąsiadów za spokojnego człowieka" – mówiła (cytat za PAP) sędzia Joanna Rucińska w uzasadnieniu wyroku, chwilę po tym, jak ogłoszono, że oboje są winni popełnienia zbrodni.

Na co dzień mieszkali w Rawiczu (Wielkopolska). Mąż Małgorzaty G. zarabiał w Holandii, kobieta opiekowała się ich córką (dwaj synowie byli już dorośli). Prowadziła normalne, przeciętne życie. Dramat rozpoczął się w połowie 2017 roku. Wtedy policjanci zatrzymali młodego mieszkańca kamienicy, której lokatorami była również rodzina G. Matka podejrzanego Katarzyna Ch. uznała, że wpadka jej syna była skutkiem donosu jednego z synów Małgorzaty G. Nie ukrywała pretensji, zażądała „rekompensaty". Domagała się pieniędzy grożąc, że jeśli nie dostanie gotówki, to sąsiadom stanie się krzywda. „Mówiła, że wywiezie moją córkę do burdelu w Niemczech" – twierdziła podczas późniejszych przesłuchań Małgorzata G., która uznała, że nie są to czcze pogróżki. Bała się o Olgę mającą wtedy zaledwie 10 lat. Kobieta szybko dała się sterroryzować szantażystce. I płaciła – na każde żądanie. Gdy zabrakło oszczędności, zaczęła w bankach zaciągać kredyty. W ciągu kilku miesięcy przekazała około 170 tys. złotych! Katarzynie Ch. jednak ciągle było mało. Jej ofiara nie miała już skąd wziąć gotówki, bała się, że dręczycielka spełni groźby. Co gorsze, o koszmarnej sytuacji nie powiadomiła męża, nie zgłosiła nękania policji. Sama próbowała sobie poradzić, ale nie zdołała. Wtajemniczyła jedynie 27-letniego syna Tomasza i razem podjęli dramatyczną decyzję. Postanowili odebrać sobie życie. Najpierw jednak chcieli zabić Olgę, a później popełnić samobójstwo. „Olgusia już po drodze w samochodzie i w altanie na działkach mówiła, że nie chce iść do burdelu. I ja jej mówiłam: dziecko, nie bój się, pójdziemy do dziadziusia. Bo mój tata nie żyje" – opowiadała Małgorzata G. „Olga usiadła na tapczanie i wytłumaczyłam jej, co by jej groziło, gdyby ją złapali i wywieźli (...), powiedziała mi: dobrze mamusiu, możemy iść do dziadziusia".

24 stycznia 2018 roku pojechali na działkę. W altanie matka odkręciła gaz – ten sposób okazał się jednak nieskuteczny. Wtedy zaczęła dusić Olgę. Gdy dziewczynka straciła przytomność, sądziła, że ją zabiła. Ona się jednak ocknęła. Stanęli więc na poboczu drogi czekając, aż potrąci ich samochód. Na szczęście Małgorzata G. w końcu zrezygnowała. Skontaktowała się z drugim synem, a ten powiadomił policję. Małgorzata i Tomasz G. trafili do aresztu z zarzutem trzykrotnego usiłowania zabójstwa dziewczynki. Podczas przesłuchań kobieta opowiedziała, co ją skłoniło do tak desperackiego kroku. Zatrzymano również Katarzy-

Wybaczyła matce

WRAŻLIWE DZIECKO

Pomimo makabrycznych doświadczeń rodzina G. przetrwała. Mąż odwiedzał żonę, która przebywała w areszcie. Natomiast córka (nie odniosła poważnych obrażeń) wybaczyła matce. Dziewczynka zapewniała o miłości do niej. Także sąd zwrócił na to uwagę. „Olga nadal jest wesołym dzieckiem i wzorową uczennicą" – mówiła sędzia Rucińska.

W altanie matka odkręciła gaz – ten sposób okazał się nieskuteczny. Wtedy zaczęła dusić Olgę. Gdy dziewczynka straciła przytomność, sądziła, że ją zabiła.

Szansa

WYJDZIE WCZEŚNIEJ?

Małgorzata G. przebywa w areszcie od trzech lat. Jeśli wyrok utrzyma się w mocy, to już za kilka miesięcy będzie mogła się starać o warunkowe przedterminowe zwolnienie. I ma spore szanse, aby tak się stało. Według sądu, popełniła zbrodnię, ale wyraziła szczerą skruchę, wyznała prawdę i zasługuje na szansę. Także do naprawienia krzywdy.

Szantażystka

SUROWA KARA

Po ujawnieniu prawdy przez Małgorzatę G., za kratki trafiła także Katarzyna Ch. Usłyszała zarzut gróźb i szantażu. Nigdy nie przyznała się do winy, zaprzeczała, że brała pieniądze od sąsiadki. Zapewniała wręcz, że relacje między nimi były przyjacielskie. Sąd nie uwierzył i skazał ją na 8 lat pozbawienia wolności.

ną Ch., a w sprawie dręczenia wszczęto odrębne śledztwo (ramka).

Akt oskarżenia przeciwko matce i bratu Olgi trafił do Sądu Okręgowego w Poznaniu. Wprawdzie obie strony (prokuratura z obroną) chciały wyłączenia jawności rozpraw, ale sąd nie wyraził na to zgody. Podczas procesu nie tylko weryfikowano materiał dowodowy, ale również zasięgnięto opinii biegłych psychiatrów. Stwierdzili oni, iż oboje oskarżeni mieli w znacznym stopniu ograniczoną zdolność rozpoznawania znaczenia czynu. Dlatego sąd mógł zastosować nadzwyczajne złagodzenie kary. I z tego skorzystał. W wyroku ogłoszonym w poniedziałek 25 stycznia Małgorzatę G. uznano za winną i skazano na 7 lat pozbawienia wolności. Natomiast jej syn ma spędzić 5 lat w więziennej celi. Biorąc pod uwagę popełnioną zbrodnię, kara nie była surowa. Głównie z powodu motywów, jakie kierowały sprawcami. „Oskarżeni ze strachu przed losem, jaki miał spotkać osobę dla nich najbliższą, zdecydowali się na pozbawienie życia i siebie, i Olgi" – uzasadniała sędzia Rucińska. Orzeczenie jest nieprawomocne. Obrońca Małgorzaty G. najprawdopodobniej nie będzie składał apelacji. Prokuratura tego nie wykluczyła. **GP**

RYSOWAŁ **FILIPBĄK.PL**

CHCĘ PLURALIZOWAĆ SZTUKĘ

ODNALEŹĆ MOMENT RÓWNOWAGI

Wprowadzajmy do obiegu publicznego tych, którzy robią ciekawe prace, często idące pod prąd kulturowego mainstreamu. Ot i cała filozofia. Chociaż jestem postrzegany jako człowiek o poglądach konserwatywnych, mogę wyobrazić sobie w jednej galerii dzieła, które reprezentują różne opcje i poglądy – mówi Piotr Bernatowicz, dyrektor Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski w Warszawie.

ROZMAWIA
Sylwia
Krasnodębska
albicla.com/SylwiaKrasnodebska

Jakże uboga byłaby sztuka krytyczna, gdyby nie wiara katolicka…

... A wielu mówi, że prawo zakazujące obrazy uczuć religijnych powinno być zlikwidowane. To sygnał, że uczucia religijne przestają być traktowane jako coś wartościowego, co należy chronić. Ale skoro dziś otacza się ochroną na przykład różne skłonności seksualne, dlaczego także uczucia religijne nie miałyby zasługiwać na ochronę?

Tymczasem Muzeum Sztuki Nowoczesnej ze środków publicznych zakupiło właśnie za 71 tys. zł „Strachy" Daniela Rycharskiego. Na krzyżach różnych wyznań widzimy stroje osób LGBT+ „doświadczających na co dzień dyskryminacji". W opisie czytamy, że „seria dotyczy już nie tylko katolicyzmu, lecz także innych wyznań, które mogą okazać się opresyjne, hierarchiczne, posługujące się przemocą". Denerwuje to Pana?

W sumie nawet nie jest to dla mnie zaskakujące. W mojej ocenie ta praca to narzędzie zmiany społecznej, emancypacji, do której dążą środowiska postępowe. Największą przeszkodą w tym procesie zmiany jest Kościół, przynajmniej w obecnym kształcie. Każdy fenomen kulturowy, który będzie wskazywał, że Kościół, religia katolicka to opresja, przemoc itp. zyska aprobatę i przychylne recenzje w „Gazecie Wyborczej" i „New York Timesie". W gruncie rzeczy jest to praca nudna, bo ile już powstało różnych wariacji z użyciem krzyża, wskazujących na rzekomą problematyczność religii? Te prace są powtarzalne i nudne, bo proces uderzenia w fundamenty społeczne musi być powtarzalny i monotonny. Tak jak rozbijanie fundamentów młotem jest nudne. Jak tłumaczyć fakt, że to dzieło zostało zakupione ze środków publicznych? Moim zdaniem to kwestia procedur stworzonego dekadę temu programu grantowego, które są tak ustawione, że nie można z zaproponowanego wniosku wyłączyć jednego dzieła, a dofinansować zakup innych. Można zaakceptować cały wniosek zawierający kilka, kilkanaście dzieł albo cały odrzucić.

Tylko że sztuka zawsze mocno wchodziła w politykę i artyści w swoim krwiobiegu mają chęć komentowania, a nawet ingerowania. Może nie ma się co obrażać?

Nie trzeba się obrażać, ale rozważać sytuację. Czy każda myśl czy komentarz artysty jest godny uwiecznienia? Przecież to może być komunał. Albo ilustracja szerszej tendencji czy procesu ideologicznego, jak w tym wypadku. Moim zdaniem mamy do czynienia z czymś w rodzaju nowego socrealizmu, tylko że nie chodzi już o malarstwo czy rzeźbę, ale o instalacje, obiekt, sztukę akcji. Jednak podobnie jak w przypadku socrealizmu musi być ona zgodna z linią partii, tzn. z linią wyznaczaną przez kulturowy establishment i instytucje zdominowane przez środowiska lewicowe. Nie jestem przeciwnikiem tego, by artysta włączał się do społecznej debaty. Aby wyrażał swoje stanowisko

RÓWNOWAGA

Równowagę w sztuce można osiągnąć prostym zabiegiem. Wprowadzając artystów, którzy byli dotąd pomijani.

FOT. MATEUSZ MAREK/PAP

w kwestiach politycznych. Sztuka i polityka nie muszą się wykluczać. Oczekuję jednak, że artysta w tej materii przekaże coś ciekawego, oryginalnego, własnego. Głębszą myśl, a nie komunały.

Przez te komunały artyści strzelają sobie w stopę. I trudno o ich dziełach dyskutować poważnie. Nie chcę się zastanawiać nad tym, czy penis na krzyżu Nieznalskiej jest powieszony na krzyżu katolickim czy niekatolickim i czy to obraża katolików, czy jednak nie. Wracając do instytucji kultury – o randze dzieła stanowi bardzo wąskie środowisko, prawda?

Tak. Skoro mówimy o zakupach do kolekcji, weźmy za przykład program pt. „Narodowe kolekcje sztuki współczesnej", w ramach którego przeznaczane są największe pieniądze na zakupy sztuki współczesnej w Polsce. Niemalże przez całą dekadę tylko cztery instytucje mogły się ubiegać o pieniądze ministerialne na zakupy do kolekcji – Muzeum Sztuki Nowoczesnej, Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie, Muzeum Sztuki w Łodzi i Muzeum Współczesne we Wrocławiu. Na stole leżało od 6 do 9 mln zł. Niedawno to grono zostało poszerzone. Co ciekawe, nigdy w tych budżetach nie uwzględniono ani jednej pracy Jerzego Kaliny.

Przecież Pan kupił jego „Topos" do CSW w zeszłym roku.

I spotkało się to z krytyką. Józef Robakowski, zasłużony łódzki artysta, niepochlebnie się wyraził w kontekście nowych zakupów do kolekcji CSW, między innymi prac Jerzego Kaliny, Jacka Adamasa i Ignacego Czwartosa. Pojawił się zarzut, że to zamach na sztukę współczesną. Tylko że obecność dzieł Józefa Robakowskiego w kolekcjach publicznych jest duża.

To źle?

Skądże. To bardzo dobrze. Ale dlaczego dzieła takich artystów jak wspomniany Kalina czy Jacek Adamas w kolekcjach znaleźć się już nie mogą? Wiele dzieł Adamasa było w przeszłości pozytywnie ocenianych przez środowiska lewicowe i były one wystawione, w tym także praca odnosząca się do tragedii smoleńskiej. Ale na liście zakupów do kolekcji publicznych nigdy się te prace nie znalazły.

Kto się bał?

Dobre pytanie. Teraz słyszę, że zakup takich dzieł jest jakimś naruszeniem. Tylko skoro w sztuce współczesnej najważniejsze jest przekraczanie granic, to dlaczego w tym przypadku granice są tak bardzo strzeżone? I to przez tych, którzy zachęcają do ich przekraczania?

Czy w tak skonfliktowanym środowisku nie tylko artystów, ale też menagerów kultury można znaleźć moment równowagi? Szuka go Pan?

Tak i prostym zabiegiem można go osiągnąć. Wprowadzając artystów, którzy byli dotąd pomijani.

Chce Pan pluralizować sztukę?

Dokładnie tak. Tych, którzy robią ciekawe prace, często idące pod prąd kulturowego mainstreamu, wprowadzajmy do obiegu publicznego. Ot i cała filozofia. Na scenie artystycznej wciąż widzę wyraźną dominację lewicowej opcji światopoglądowej. Na szczęście są pewne zmiany. Na przykład Galeria Narodowa Zachęta pokazało ostatnio wystawę Antoniego Krauzego, reżysera, rysownika współpracującego także z konserwatywnymi tygodnikami. Szkoda tylko, że poddano jego twórczość normom politycznej poprawności i wystawiono wyłącznie prace opublikowane w lewicowej, brytyjskiej gazecie „The Guardian". Prace dla magazy-

nów konserwatywnych na wystawie już się nie znalazły. Ale dobrze, że w ogóle go dostrzeżono.

Dla wielu środowisk lewicowych to pluralizowanie jest odbierane jako atak. Dlaczego?

Bo to środowisko nie jest tolerancyjne, wbrew hasłom, które głosi. Ja, chociaż jestem postrzegany jako człowiek o konserwatywnych poglądach, mogę wyobrazić sobie w jednej galerii dzieła, które reprezentują różne opcje i poglądy. W galerii Arsenał, którą prowadziłem, była wystawa „Strategie buntu", która wywołała oburzenie feministek i postępowego mainstreamu, ale odbyła się także wystawa Marka Sobczyka, który jest członkiem lewicowej partii Razem. Nie widziałem w tym problemu. To lewica widzi instytucje jako monolity, gdzie wejście z inną wrażliwością, innymi poglądami jest jakimś horrendum.

Wspomniany już Jacek Adamas nigdy nie miał wystawy indywidualnej w ważnej publicznej galerii, a należy on do środowiska Artura Żmijewskiego, Katarzyny Kozyry, Pawła Althamera. To był ich kolega z roku. Wszyscy wywodzili się z pracowni Grzegorza Kowalskiego, współpracowali, razem wystawiali.

Pan sięgnął po jego „Tonfę" i… przyczepiono jej łatkę sztuki homofobicznej.

Anda Rottenberg, zasłużona działaczka sztuki, powiedziała kiedyś, że dzieło sztuki nigdy nie jest przeciwko czemuś i nie obraża, tylko stawia problem, pytanie. Okazuje się jednak, że – jak u Orwella – są dzieła równe i równiejsze. Jedne nie obrażają, tylko stawiają problem, na przykład wspomniana przez Panią „Pasja" Doroty Nieznalskiej, a inne obrażają – czyli „Tonfa" Jacka Adamasa.

Jednak ta praca w moim przekonaniu zwraca właśnie uwagę na bardzo poważny i aktualny problem. Na fakt, że rewolucja emancypacyjna, mimo szczytnych i miło brzmiących dla ucha haseł i ładnych symboli (przecież flaga tęczowa jest bardzo atrakcyjna wizualnie), w gruncie rzeczy opiera się na narzucanych odgórnie restrykcjach wspartych na aparacie przemocy współczesnego państwa.

Jesteśmy na wojnie kulturowej, a na wojnie trzeba się opowiedzieć. Po której stronie Pan stoi?

Nie widzę wojny. Widzę raczej rozciągniętą w czasie rewolucję – dążenie do podważania tożsamości, na której opiera się nasza cywilizacja. To działanie w kierunku zmiany myślenia. Tak, by uznane pojęcia uważane za ważne, jak wspólnota narodowa, religia, rodzina, były uznane za nieważne, drugorzędne, a nawet szkodliwe. To atak. Pytanie, czy społeczeństwo ma prawo bronić się przed tym atakiem. Uważam, że tak.

> Ile już powstało różnych wariacji z użyciem krzyża, wskazujących na rzekomą problematyczność religii? Te prace są powtarzalne i nudne, bo proces uderzenia w fundamenty społeczne musi być powtarzalny i monotonny.

Jak jest rewolucja, to musi być kontrrewolucja. Czuje się Pan kontrrewolucjonistą?

Tak. Czuję się nawet reakcjonistą.

Powiedział Pan, że manifest polityczny artystów jest czymś pożądanym. Jaki manifest polityczny przyjąłby Pan w progach CSW?

Nie myślę o polityce w kontekście rywalizacji między partiami, ale bardziej jako o kształtowaniu i wzmacnianiu wspólnoty. Jednak nie w oparciu o odgórne utopijne teorie, lecz w zgodzie z tym co we wspólnocie najlepsze, najbardziej wartościowe, choć czasem trudne i wymagające. Tak rozumiem istotę polityki. I na tej płaszczyźnie nie widzę konfliktu między sztuką i polityką. Na przykład zakupiona do kolekcji praca Jerzego Kaliny „Topos" odwołuje się właśnie do toposu, miejsca wspólnego dla III RP, jakim były obrady Okrągłego Stołu. W mojej opinii stawia on pytanie, czy nie tam powinniśmy paradoksalnie szukać źródeł współczesnych podziałów. To praca, którą można definiować jako pracę polityczną, ale nie w znaczeniu bieżącej polityki partyjnej.

CSW kupiło „Topos" za 100 tys. zł, a MSN kupiło właśnie obraz „Puszka Pandory" Lubainy Himid za 370 tys. zł. Na obrazie mężczyzna wkłada do ucha końcówkę swojego penisa. Na co Pan przeznaczyłby 370 tys. zł?

Choćby na prace Ludwiki Ogorzelec. Mam nadzieję, że dostaniemy dotację z ministerstwa i uda nam się kupić dzieła Ogorzelec i wypełnić kolejną lukę. Tymczasem przygotowaliśmy jej wystawę. Pokazuje ona po raz pierwszy w takiej przekrojowej formie twórczość Ogorzelec w Polsce, choć jest ona obecna na całym świecie od kilku dekad. Nie jestem zainteresowany wąskim postrzeganiem sztuki. Teraz pracujemy nad wystawą wybitnego reżysera, nieco dziś zapomnianego, Grzegorza Królikiewicza, który reprezentował postawę awangardową, innowacyjną, a z drugiej strony czerpał wartości z przeszłości, historia była dla niego bardzo ważna. To był jeden z największych twórców polskiego kina, czyli kina światowego.

Wspomniana przez Pana wystawa Ludwiki Ogorzelec nosi tytuł „Szukam momentu równowagi". I znów wracamy do tematu równowagi. Dobrze się składa, bo trzymam kciuki, by Pan, jako dyrektor Centrum Sztuki Współczesnej, też ją znalazł. Tylko czym ta równowaga dla Pana jest?

Ludwika Ogorzelec przekonuje, że tylko dzieło zrównoważone może coś znaczyć. Dzieło, w którym nie ma równowagi, stacza się w absurd. Umyka. W takim rozumieniu równowaga pozwala przekazać znaczenia. Królikiewicz natomiast wskazuje, że balans między nowatorstwem a uchwyceniem najistotniejszych elementów tradycji jest kluczowy dla rzeczywistego postępu w sztuce. Może dla CSW taka równowaga jest potrzebna – być otwartym na nowe, a jednocześnie czerpać siłę i oparcie z tego, co ważne w przeszłości. **GP**

POLECAMY

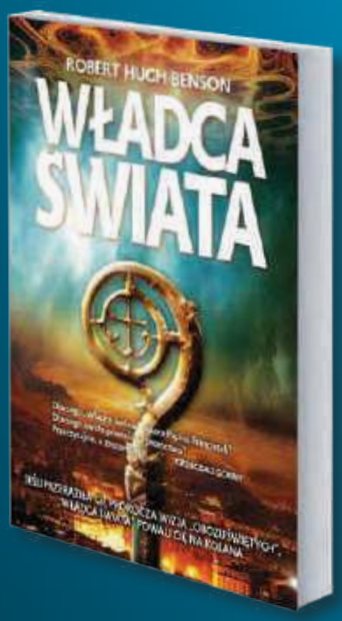

WŁADCA ŚWIATA

Ojciec Święty Franciszek, wracając do Rzymu z pielgrzymki na Filipiny w styczniu 2015 roku, powiedział: „Jest taka książka, przepraszam, że robię reklamę, została napisana w 1907 roku w Londynie...Nosi tytuł „Władca świata", a autorem jest Robert Hugh Benson. I chociaż została napisana w 1907 roku, to warto ją przeczytać, a czytając ją dobrze zrozumiecie, co mam na myśli mówiąc o kolonizacji ideologicznej".

HISTORIA MEDYCYNY DLA KAŻDEGO

Popularna i autorska wersja historii medycyny, napisana gawędziarskim stylem, pełna dygresji i osobistych przemyśleń Zdzisława Gajdy – profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego.Dlaczego Kazimierz Wielki zmarł bez męskiego potomka? Jaka choroba była przyczyną niepłodności Zygmunta Augusta? Przedwczesna śmierć Stefana Batorego wywołała oskarżenia wobec jego lekarzy, posądzano ich o otrucie króla na zlecenie Rosji. Dopiero po kilkuset latach współcześni medycy wystawili diagnozę: nieuleczalna choroba nerek. Gdy Ludwik Pasteur wprowadził w połowie XIX wieku szczepienie ochronne przeciw wściekliźnie, nauka nie miała jeszcze pojęcia o immunologii i wirusologii. Gdyby czekał na naukowe uzasadnienie swoich poczynań, wiele istnień ludzkich straciłoby życie. Jednym zdaniem gawęda o historii medycyny – od epoki, kiedy zeszliśmy z drzew, do czasów, kiedy na powrót zaczęliśmy się do nich przypinać łańcuchami.

Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp z o.o.,
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa
Konto **61 1240 6003 1111 0010 7516 5807**
sklep@gazetapolska.pl / +48 722 111 655

SKLEP GAZETY POLSKIEJ

sklep.GazetaPolska.pl

KRÓLEWSKI DAR

CO POLSKA I POLACY DALI ŚWIATU

Wynalazcy – Odkrywcy – Badacze

Pierwszy tom monumentalnego dzieła poświęconego wkładowi Polaków do światowego dziedzictwa kultury, nauki i ducha.

To Poczet badaczy i odkrywców nowych lądów, prekursorów radiochemii, pogromców tyfusu i ojców internetu. Ponad sto postaci, o których powinieneś wiedzieć; tych pomnikowych i tych niedocenionych przez historię powszechną. Łączyła ich polska nić wspólnoty.

Lektura obowiązkowa dla wszystkich, którzy interesują się historią i tych, którzy dobrze życzą Polsce.

ZACISZE MELOMANA

★★★★★★

POD OKIEM MISTRZYNI

Martha Argerich, Theodosia Ntokou
BEETHOVEN SYMPHONY NO.6, PIANO SONATA NO.17
Warner Classics

Pochodząca z greckiej wyspy Rhodos pianistka Theodosia Ntokou ma za sobą studia w nowojorskiej Juilliard School, wiele prestiżowych nagród i występy na najważniejszych festiwalach i salach koncertowych świata. Spotkanie z Marthą Argerich okazało się przełomowe dla kariery młodej pianistki, odtąd dalszą naukę mogła kontynuować pod okiem legendarnej wirtuozki fortepianu. Na wydawnictwie Warner Classics mamy więc możliwość wysłuchania efektów wieloletniej współpracy uczennicy i mentorki, które z niezwykłą precyzją i wdziękiem odsłaniają czar VI Symfonii „Pastoralnej" i nawiązującej do szekspirowskiej „Burzy" Sonaty nr 17 Ludwiga van Beethovena.

★★★★★★

WOKÓŁ MORZA ŚRÓDZIEMNEGO

Steve Hackett,
UNDER A MEDITERRANEAN SKY
Inside Out Music

Były gitarzysta „Genesis", Steve Hackett, przyzwyczaił nas do muzycznych wypraw, dalekich od twórczości rockowej. Tym razem zaprasza słuchaczy do dźwiękowych odkryć związanych z krajami położonymi wokół basenu Morza Śródziemnego. Oprócz sentymentalnej podróży do Włoch i Grecji, na odkrycie czeka również wybrzeże hiszpańskie „Andalusian Heart", a także tajemnicze dźwięki odległego Maroko. Wśród inspiracji znalazła się nawet barokowa sonata Domenico Scarlattiego. Hackettowi towarzyszą w nagraniach liczni goście, oddając malowniczy klimat dalekich podróży.

Przygotował
Marek **Kalinowski**

KSIĄŻKA { POWIEŚĆ }

Marcin **Wolski** poleca

★★★★★★

Siłaczka po francusku

„KOLORY OGNIA"

Pierre Lemaitre
ALBATROS, WARSZAWA 2020

Jeden dzień potrafi zmienić wszystko. Tak przynajmniej staje się z życiem Madelaine Pericourt. Na pogrzeb jej ojca, wybitnego francuskiego bankiera, przybywa cała paryska socjeta. Młoda kobieta staje się niebywale bogata, lecz jej ukochany syn wyskakuje z okna na drugim piętrze i spada na trumnę dziadka. Przeżywa, ale jest dożywotnio sparaliżowany. Bohaterka powieści Pierre Lemaitre „Kolory ognia" długo nie potrafi się otrząsnąć po tym nieszczęściu. Całą energię poświęca dziecku, zdając się w interesach na rodzinę i przyjaciół. Okazuje się osobą łatwowierną i naiwną, w dodatku bez większego wykształcenia i jakichkolwiek praktycznych umiejętności. Na szczęście, syna z głębokiej apatii wydobywa zafascynowanie muzyką operową i polska piastunka, niemówiąca ani słowa po francusku. W międzyczasie jednak Madelaine traci cały majątek i staje przed widmem nędzy. Ale egzystencjalne zagrożenie i miłość do własnego dziecka dokonują w niej gruntownej przemiany. Madelaine twardnieje, staje się zdecydowana, bezwzględna, wyzwala całą swoją inteligencję, spryt i przedsiębiorczość. Nie tylko zaczyna odbudowę majątku, ale jak nowy hrabia Monte Christo przystępuje również do wymierzania sprawiedliwości tym, którzy ją skrzywdzili. Przy okazji odkrywa motywy, które pchnęły siedmioletnie dziecko do samobójczej próby. Barwna panorama lat wielkiego kryzysu, początków hitleryzmu w Niemczech, świetny obraz mechanizmów dotyczących polityki i mediów, stanowią doskonałe tło tej frapującej historii. **GP**

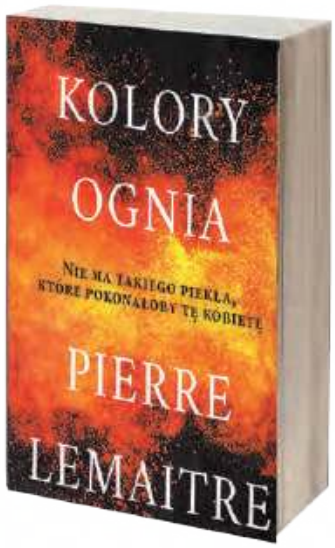

MIX **Kulturalny**

zobacz

DRAMAT TOMASZA KOMENDY

Film „25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy" Jana Holoubka jest dostępny na DVD. To opowieść o życiu młodego mężczyzny, który został niesłusznie skazany na 25 lat więzienia za gwałt i zabójstwo nastolatki. Aż 18 lat czekał w celi na sprawiedliwość.

poczytaj

MALEŃSTWU

„Nowa Seria Dobra Książeczka" to cykl 7 książek Agnieszki Starok dla dzieci od 0 do 3 lat. Ich treść opiera się na dorobku światowych psychologów rozwojowych. Wyniki ich badań pozwalają na dopasowanie przekazu do umiejętności maluszków.

GAZETA POLSKA

★★★★★★

„Lupin" prosi się o kontynuację

„Lupin" przebija już popularnością „Wiedźmina" i „La Casa del Papel" na platformie Netflix. Druga seria pojawi się już niebawem.

„LUPIN"
SCEN. MARCELA SAID, LUDOVIC BERNARD, LOUIS LETERRIER
NETFLIX 2021

Grzegorz **Wszołek**

FOT. MAT. PRAS.

Omar Sy, historia dżentelmena włamywacza Arsène Lupina i kryminalna zagadka sprzed 25 lat – to świetne połączenie, idealne na beztroski weekend. Któż z nas nie docenia czarnoskórego komika, który podbił w ostatniej dekadzie francuskie kino? Omar Sy zgarnął w 2012 roku statuetkę Cezara za genialną rolę w poruszającym dramacie „Nietykalni", wszystko też wskazuje na kolejne laury za „Lupina". To historia imigranta, który za wszelką cenę dąży do wyjaśnienia zagadkowego samobójstwa ojca, niesłusznie osadzonego w więzieniu. Serialowy Assane Diop opanował do perfekcji motyw działania z książek Maurice'a Leblanc'a o Arsène Lupinie. Jako że mało kto zna powieść o szlachetnym złodzieju w środowisku policji, bohaterowi za każdym razem udaje się przechytrzyć służby. Zmienia stroje, podrabia dowody, tworzy za każdym razem inną tożsamość, dzięki czemu jest o krok przed stróżami prawa. W filmie jego złodziejska kariera nie jest obliczona na łatwy zarobek. Celem jest poznanie prawdy o zaginionym naszyjniku Marii Antoniny i rzekomym złodzieju, czyli ojcu. Diop dochodzi do niej po nitce do kłębka, odkrywając groźny układ na czele z francuskim oligarchą, zakochanym w wielkiej fortunie.

„Lupin" to pozycja obowiązkowa dla wszystkich fanów lekkich komedii, którzy nie zwracają uwagi na realistykę. Szlachetny złodziej w dzisiejszych czasach brzmi jak science-fiction. Pierwsza seria objęła pięć odcinków po około 40 minut rozrywki. Według przecieków, na drugą część hitu poczekamy do kwietnia. **GP**

ciesz się

Z DA VINCI

Skradziona XV-wieczna kopia obrazu „Salvator Mundi" Leonarda da Vinci została odzyskana. Co ciekawe, pracownicy muzeum w Neapolu, skąd zniknęło dzieło, nie wiedzieli o kradzieży. Obraz odnaleziono podczas śledztwa prowadzonego w innej sprawie.

pamiętaj

O PAPCIU CHMIELU

Tydzień po śmierci Henryka Chmielewskiego ukazał się jego ostatni tytuł, nad którym artysta pracował w czasie pandemii. To „Tytus, Romek i A'Tomek pomagają księciu Mieszkowi ochrzcić Polskę. Z wyobraźni Papcia Chmiela narysowani".

zrelaksuj się

Z „NIECODZIENNĄ GAZETĄ POLSKĄ"

Do każdego weekendowego wydania „Gazety Polskiej Codziennie" dołączona jest „Niecodzienna Gazeta Polska". A w niej: Niecodzienna Lista Przebojów, cykl tekstów z dziedziny medycyny naturalnej i niecodzienny wehikuł czasu.

Hubert
Kowalski
albicla.com/HubertKowalski

MALI WIĘŹNIOWIE Z PRZEMYSŁOWEJ

NIEMIECKI OBÓZ DLA POLSKICH DZIECI

W obozie utworzonym w Łodzi Niemcy umieszczali dzieci, które zmuszano do ciężkiej pracy w bardzo trudnych warunkach. Mali więźniowie byli bici i głodzeni. Ci, którzy przeżyli, jeszcze przez wiele lat musieli zmagać się z traumą. A folksdojczka, która znęcała się nad dziećmi, po wojnie pracowała w żłobku.

Mało znaną historią niemieckiego obozu dla dzieci w Łodzi zainteresowała się niedawno cała Polska. Stało się tak, gdy Facebook zablokował możliwość promowania za granicą filmu dokumentalnego „Poznaj nasz strach". Kampanię uznano bowiem za „polityczną o cechach społecznych". Cenzurę następnie wycofano, kiedy sprawę nagłośniły polskie media. „Chcieliśmy, aby świat mógł zapoznać się z historią niemieckiego obozu, który był stworzony stricte dla dzieci. Nie było drugiego takiego obozu w Polsce. Ten film jest bardzo trudny, pokazuje gehennę najmłodszych. Wiemy, że dla niektórych środowisk, przede wszystkim zagranicznych, jest to niewygodna prawda, ale mamy obowiązek ujawniać tę historię" – mówi nam dr hab. Dariusz Rogut, dyrektor Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Łodzi.

Poparcie Himmlera

Niemiecki Prewencyjny Obóz Policji Bezpieczeństwa dla Młodzieży Polskiej przy ul. Przemysłowej w Łodzi (Polen-Jugendverwahrlager der Sicherheitspolizei in Litzmannstadt) istniał od 1 grudnia 1942 do 19 stycznia 1945 roku. Na jego potrzeby ogrodzono około 5 hektarów terenu. Z trzech stron ustawiono płot o wysokości 3 metrów z dodatkowym drutem kolczastym. Granicą obozu był także mur cmentarza żydowskiego. „Odpowiednio zaadaptowano również największy budynek z czerwonej cegły i z płaskim dachem pokrytym papą. W dzielnicy żydowskiej pełnił on funkcję manufaktury cukierków, teraz stał się magazynem i warsztatem, lecz dopiero w styczniu 1944 roku usytuowano w nim pralnię oraz łaźnię, aby przeciwdziałać tyfusowi. Należy jednak pamiętać, że obóz funkcjonował przez niemal 25 miesięcy. Znajdowały się w nim

KRWAWY RYGOR

Za złą pracę dzieci karano karcerem i chłostą, a na plecach malowano czerwony krzyż jako znak piętnujący. Zmniejszano im racje żywnościowe, nakazywano m.in. czyszczenie latryn i rozbiórkę domów.

FOT. ARCHIWUM IPN

niemowlęta oraz kilkuletnie dzieci, a najstarsi więźniowie przebywali w obozie do 16. roku życia. Dlatego inicjatywa Niemców była spóźniona i została wymuszona zagrażającą miastu epidemią tyfusu, nie zaś potrzebami higienicznymi więźniów" – czytamy w artykule dr. Artura Ossowskiego „Proces Eugenii Pol a historia Polen-Jugendverwahrlager", który ukazał się w 2018 roku w publikacji IPN „Łódź pod okupacją 1939–1945. Studia i szkice".

Pomysłodawcą utworzenia obozu był m.in. kierownik Krajowego Urzędu ds. Młodzieży w Katowicach Alvinn Brockmann. Pozytywnie o pomyśle wypowiedział się główny inspektor niemieckich obozów koncentracyjnych SS-Obergruppenführer Oswald Pohl. Pomysł uzyskał również akceptację Heinricha Himmlera. Wzorowano się na obozie dla nieletnich Niemców w Moringen w Dolnej Saksonii, dokąd także zsyłano m.in. młodzież z Polski i Czechosłowacji.

Gehenna dzieci

Najważniejszym obowiązkiem dzieci była praca. Zadaniem chłopców było prostowanie igieł tkackich, a także zszywanie zimowych butów dla żołnierzy niemieckich. Z kolei dziewczęta m.in. szyły odzież roboczą i naprawiały mundury. Dzieci zmuszano do pracy przez kilkanaście godzin dziennie. Wykonywały ją w bardzo złych warunkach, były również bite i głodzone. Część zeznań z procesu, który toczył się w czasach PRL, oraz niemieckie uzasadnienia kierowania dzieci do obozu zostały opublikowane w opracowaniu dr. Ossowskiego „Dzieci z Przemysłowej. Niemiecki obóz w Łodzi 1942–1945". „Była duża rywalizacja o chleb. Dzieci były tak głodne, że obgryzły sobie ręce. Jak komuś przysłano paczkę, to dziecko miało lepiej, inne dzieci nie miały co jeść. Jak przyszła duża paczka z jedzeniem, to Niemcy odbierali część jedzenia. Mówiono, że odejmują dla tych, co nic nie otrzymywali; niewykluczone, że zabierali dla siebie" – czytamy we fragmencie zeznania Gertrudy Skrzypczak z domu Nowak urodzonej w 1930 roku.

Dzieci musiały także zmagać się ze wszechobecnymi pchłami i wszami. Za złą pracę karano karcerem i chłostą, a na plecach malowano czerwony krzyż jako znak piętnujący. Kierowano je również do tzw. karnej kompanii, gdzie obowiązywały zmniejszone racje żywnościowe. Kompania zajmowała się m.in. czyszczeniem latryn i rozbiórką domów. „Po latach badania lekarskie wykazały, że stan fizyczny i psychiczny tych, którzy przeżyli, był na poziomie 70-latków, choć te osoby miały około trzydziestu lat. Był to efekt przejść obozowych" – mówi dyrektor Rogut. Jak wskazuje dr Artur Ossowski w swoim artykule, Niemcy często uznawali osadzone dzieci za potomstwo „niebezpiecznych bandytów", co oznaczało, że ich rodzice lub opiekunowie należeli do ruchu oporu.

Niemcy używali również terminu „element aspołeczny". Odnosił się on m.in. do przestępców kryminalnych, włóczęgów, złodziei. „Bez opieki rodzicielskiej, zaniedbana w wyglądzie, w kilku przypadkach kierowała mniejszymi dziećmi, które umiejętnie wchodziły do sklepów i kradły kartki żywnościowe" – czytamy w uzasadnieniu skierowania do obozu urodzonej w 1929 roku Augustyny Borowiec.

„Matka nie troszczyła się o dzieci, nie miała stałego miejsca pobytu i wciąż ukrywała się, nie chcąc być wywiezioną do pracy w Niemczech" – napisano z kolei w uzasadnieniu skierowania Teresy Małeckiej urodzonej w 1929 roku. Do obozu trafiały też dzieci z lekkim upośledzeniem psychicznym lub fizycznym. Jak podkreśla dr Ossowski, do obozu często wysyłano dzieci osób, które nie przyjęły volkslisty. „Do Łodzi dowieziono również nieletnich Polaków z niemieckiego zakładu wychowawczego w Grodkowie (niem. Grodcov) na Opolszczyźnie. Chłopcy ci dobrze znali język niemiecki, byli karni, dlatego często sprawowali funkcje sztabowych lub blokowych" – pisze historyk.

Eugenia

Podczas powojennego procesu ujawniono nazwiska oprawców z obozu. „Ja zostałam przydzielona do »Blumensztuby«, tzn. wytwórni sztucznych kwiatów. Nadzór nad komandem w »Blumensztubie« sprawowała wachmanka [Maria] Linke i częściowo Genowefa Pohl [vel Eugenia Pol], która wybierała nas do pracy w cieplarni u ogrodnika. [Maria] Linke i Pohl karały nas za drobne przewinienia chłostą, chłosta polegała na tym, że kijem biły nas, gdzie popadło. Ja sama dostałam lanie od Linke, ale widziałam również, jak biła dziewczynki także Pohl, której było obojętne, w jaką część ciała bije. Podobno wykonywała rozkazy [Sydonii] Bayer [stracona 9 listopada 1945 roku]" – czytamy w zeznaniu Heleny Ofiary z domu Leszczyńskiej, urodzonej w 1931 roku.

„Od jesieni 1942 roku przebywałem z bratem, a w 1943 roku do obozu przywieziono siostrę. Jestem Polakiem, chociaż mam niemieckie nazwisko. Do obozu zostałem przywieziony za to, że rodzina moja nie chciała podpisać volkslisty. W obozie tym w 1943 roku znalazła się również moja siostra Gertruda. Dostałem wiadomość, że przywieziono moją siostrę, z którą widziałem się. Mówiła mi, że oskarżona [Eugenia Pol] ją bije. […] Wyniesiono ją z baraku, z izby chorych, a właściwie to ja nie wiem skąd, to był niski barak, podobny do karceru. Po tym przypadku już nigdy siostry Gertrudy nie widziałem. Pozostał mi tylko żal w sercu" – zeznał Bronisław Weinhold urodzony w 1932 roku.

FOT. ARCHIWUM IPN

Niemieccy funkcjonariusze wizytują obozową szwalnię.

Proces

Po wojnie uległy zniszczeniu prawie wszystkie pozostałości po obozie. Najwięcej materiałów na jego temat zebrała Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Łodzi. Prowadziła śledztwo w tej sprawie, które rozpoczęło się dopiero w 1969 roku. W 1970 roku aresztowano Eugenię Pol, która wcześniej posługiwała się nazwiskiem Pohl. W 1941 roku otrzymała wpis na volkslistę. Była funkcjonariuszką obozu dla dzieci. Po wojnie pracowała jako intendentka w żłobku Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Armii Ludowej. Jak pisze dr Ossowski, Pol miała doskonałe referencje, trenowała rzut oszczepem, biegi, a także koszykówkę i siatkówkę. „Na postronnych Pol sprawiała wrażenie osoby żyjącej pełnią życia. Nie ukrywała się ani nie planowała opuszczenia Łodzi, gdzie spędziła dzieciństwo oraz młodość. (…) Wierzyła, że wiele więźniarek uchroniła przed brutalnością panującą w ośrodku". Oskarżono ją o zabójstwo sześciu więźniarek, jednak sprawę komplikował m.in. fakt, iż po wojnie utrzymywała kontakty z niektórymi więźniarkami i pożyczała im pieniądze. Co ciekawe, pojawiała się również na spotkaniach łódzkiego koła ZBoWiD. W 1974 roku za zbrodnie na dzieciach skazano ją na 25 lat więzienia, na poczet kary zaliczono jej pobyt w areszcie. Została również pozbawiona praw publicznych na 10 lat, a dodatkowo skonfiskowano jej majątek na rzecz Skarbu Państwa. „Swym postępowaniem mogła przyczynić się do śmierci dzieci, choć nie udowodniono jej bezpośredniego udziału w zamordowaniu Kaczmarek, Jakubowskiej i Bammes" – czytamy w artykule dr. Ossowskiego. W uzasadnieniu wyroku podkreślono, że Pol sama inicjowała dręczenie więźniów. Jej kara została jednak złagodzona, w efekcie czego wyszła na wolność w 1989 roku. Nigdy nie pogodziła się z wyrokiem. Zmarła w 2003 roku w Łodzi.

Do obozu często wysyłano dzieci osób, które nie podpisały volkslisty.

„Dziś warto skupić się na warunkach panujących w obozie oraz traumie dzieci, które go przeżyły, a miejscem zadumy pozostaje Pęknięte Serce – najładniejszy z łódzkich pomników" – uważa Artur Ossowski. **GP**

Tadeusz **Płużański**

10 LAT ZA ULOTKĘ

3 lutego 1982 roku Sąd Marynarki Wojennej w Gdyni wydał najwyższy z wyroków wobec działaczy opozycji w stanie wojennym. Ewa Kubasiewicz, która pracowała w Wyższej Szkole Morskiej jako kierownik Działu Gromadzenia i Opracowania Zbiorów uczelnianej biblioteki, została skazana na 10 lat pozbawienia wolności i 5 lat pozbawienia praw publicznych. Jaki był powód drakońskiej kary? Kolportaż ulotki nawołującej do protestów przeciwko stanowi wojennemu. Podpisała ją imieniem i nazwiskiem razem z Jerzym Kowalczykiem. Pokazowy proces miał zastraszyć społeczeństwo. Sądzili: Andrzej Grzybowski, Andrzej Finke i Aleksander Głowa – ten ostatni to do niedawna wzięty adwokat w Gdyni. Wcześniej Kubasiewicz współpracowała z Wolnymi Związkami Zawodowymi Wybrzeża i Solidarnością. Z Zarządu Regionu Gdańskiego NSZZ „S" odeszła po konflikcie z Lechem Wałęsą. W dniach 14–16 grudnia 1981 roku brała udział w strajku w swoim zakładzie pracy, następnie pozostawała w ukryciu. Aresztowana 20 grudnia. W tym samym procesie przed gdyńskim sądem komuniści skazali syna pani Ewy – Marka Czachora, a także Cezarego Godziuka, Krzysztofa Jankowskiego, wspomnianego Jerzego Kowalczyka, Wiesławę Kwiatkowską, Sławomira Sadowskiego, Jarosława Skowronka i Władysława Trzcińskiego. Kubasiewicz trafiła do Zakładu Karnego w Gdańsku, a następnie do Fordonu oraz Grudziądza. Z więzienia napisała list otwarty „Do moich przyjaciół", w którym oświadczyła, by nikt nie prosił przewodniczącego Rady Państwa o łaskę dla niej, bo jej nie przyjmie. 25 kwietnia 1983 roku Izba Wojskowa Sądu Najwyższego zmniejszyła jej wyrok do 3 lat więzienia, 6 maja tego samego roku została zwolniona na przerwę w odbywaniu kary ze względu na stan zdrowia, a 28 lipca objęta amnestią. Na wolności związała się z Solidarnością Walczącą, organizując razem z Zofią Kwiatkowską i Andrzejem Kołodziejem trójmiejski oddział SW. W 1984 roku na zaproszenie Amnesty International wyjechała na cztery miesiące do Francji, by od 1988 roku pozostać tam na emigracji. Nie zaprzestała działalności niepodległościowej, koordynując przedstawicielstwa SW na Zachodzie.

KONDOLENCJE

„Polskości dumo Biało-Czerwona
walk, trudu, zwycięstw świadectwo
na skrzydłach Orła niesiona
Polski szlachetne dziedzictwo,
(...)
Z naszych barw dzisiaj dzień chwały
przywiązania do polskich wartości
przepełniony jestem honorem cały
O największa Polaków świętości."

Z głębokim smutkiem i żalem
zawiadamiamy o śmierci założyciela i długoletniego
Przewodniczącego Klubu „Gazety Polskiej" w Sierpcu

ŚP.

Bogdana Wierzbickiego

Wyrazy szczerego współczucia i słowa otuchy dla całej rodziny

składają członkowie Klubu „Gazety Polskiej" w Sierpcu

WARCHOŁY SPOD AKROPOLU

CIEMNE STRONY ATEŃSKIEJ DEMOKRACJI

W ostatnich dniach urzędowania amerykańskiego prezydenta Donalda Trumpa byliśmy świadkami szerzących się w internecie teorii spiskowych i wielkiej kulminacji całego zamieszania, jaką były zamieszki w Waszyngtonie i na Kapitolu. Dziesiątki komentatorów i politologów zastanawiają się, co owe wydarzenia, kosztujące życie pięciu ludzi, mówią o naszej cywilizacji. Jedną z najpowszechniej stawianych diagnoz jest stwierdzenie, iż oto na naszych oczach rozgrywa się kryzys demokracji.

Łukasz **Czarnecki**

Jak się ma ów transmitowany przez media całego świata wybuch przemocy do demokratycznych ideałów? Co by na to wszystko powiedzieli wynalazcy ustroju demokratycznego – starożytni Ateńczycy? Jeśli chodzi o ostatnie pytanie, odpowiedź prawdopodobnie byłaby zaskakująca: współcześni Sokratesa, widząc człowieka-żubra – symbol waszyngtońskich zamieszek – uznaliby go za mieszczącego się w granicach normy. Pod Akropolem nie takie rzeczy się zdarzały.

A tu rzeczywistość skrzeczy

Ateńczycy stworzyli jedną z najbardziej zadziwiających kultur w dziejach ludzkości, co sprawia, że wciąż dobrze ma się trend patrzenia na nich przez różowe okulary. Miasto pod Akropolem, wedle ucukrowanej wersji dziejów, było miejscem nieskrępowanej dyskusji toczonej przez filozofów, którzy zastanawiali się nad sensem życia, spacerując dostojnie pomiędzy zachwycającymi rzeźbami z białego marmuru. Tymczasem prawdziwe Ateny były miastem o niezbyt imponujących rozmiarach, zabudowanym chaotycznie i bez żadnego planu. Budynki nie lśniły bielą, bo pokrywała je

NIE BEZ SKAZY

Miasto pod Akropolem, wedle ucukrowanej wersji dziejów, było miejscem nieskrępowanej dyskusji toczonej przez filozofów. To tylko część prawdy...

FOT. ARCH.

warstwa brudu, a posągi... owszem, były piękne i marmurowe, tyle że pomalowane w krzykliwe kolory. Do tego dodajmy smród, fatalne warunki higieniczne, dość obrzydliwe obyczaje mieszkańców (którzy na przykład wychodząc na zakupy, używali jako portmonetek swoich policzków, przez co płacili obślinionymi monetami!) i uzyskamy widok podobny do współczesnych miast trzeciego świata.

Już starożytni Grecy zauważali złe cechy charakteru Ateńczyków. Mieszkańcy miasta bogini Ateny byli swarliwi i zawistni. To prawda, że to ich ojczyzna stała się w końcu „szkołą Hellady", do której młodzież z całego świata śródziemnomorskiego zjeżdżała, by studiować filozofię i retorykę. Brzmi świetnie, dopóty nie uświadomimy sobie, że to właśnie mieszkańcy tego uniwersyteckiego miasta skazali na śmierć Sokratesa, a sztuka przemawiania osiągnęła pod Akropolem wyżyny dzięki długiej tradycji sądowego pieniactwa i „obracania kota ogonem" na zgromadzeniu ludowym.

Zbawcy ojczyzny już dziękujemy

Łaska ateńskiego ludu jeździła na koniu już nawet nie pstrym, lecz pomalowanym w kolorowe ciapki. Boleśnie przekonał się o tym choćby człowiek, któremu Grecja zawdzięczała ocalenie przed Persami, a Ateny – bycie morską potęgą. To archont i strateg Temistokles.

Polityk ten, zdając sobie sprawę, że pokonani w bitwie pod Maratonem w roku 490 p.n.e. perscy wojownicy stanowili wyłącznie zwiad armii Króla Królów, która prędzej czy później wkroczy z całą swą potęgą do Hellady, poświęcił znaczną część kariery na przygotowanie ojczyzny do nieuchronnej konfrontacji. Pomógł mu w tym w dużym stopniu los: w latach 80. V wieku p.n.e. w attyckich górach odkryto wydajne żyły srebra, które zaczęto na wielką skalę eksploatować. Temistokles przekonał rodaków, żeby zyskane w ten sposób pieniądze zamiast przejeść – bo taki pomysł padł na zgromadzeniu ludowym – zainwestować w budowę floty, która zapewni Atenom panowanie na morzu. Po burzliwej dyskusji Ateńczycy poparli projekt. Wkrótce miało się okazać, jak dobrze zrobili, bo w roku 480 p.n.e. rzeczywiście doszło do perskiej inwazji na pełną skalę. Ateńska flota wojenna liczyła już wtedy trzysta trier, dzięki którym rozgromiono nieprzyjaciela w bitwie pod Salaminą.

Już starożytni Grecy zauważali złe cechy charakteru Ateńczyków. Mieszkańcy miasta bogini Ateny byli swarliwi i zawistni.

Po zakończeniu wojny obronnej Temistokles zabrał się za wzmacnianie ojczyzny. Z jego inicjatywy zbudowano tzw. Długie Mury łączące Ateny z portem w Pireusie, co zapewniło miastu łączność z morzem i sprowadzanie bez przeszkód żywności. Powołano Związek Delijski, skupiający szereg miast-państw utrzymujących wspólne morskie siły zbrojne i płacących ateńskiemu hegemonowi coroczną składkę na fundusz obronny. Organizacja z czasem przekształciła się w ateńskie imperium kolonialne. Wspaniałe dzieła sztuki i architektury, jakie powstały w następnym pokoleniu, sfinansowano w dużej części ze zdefraudowanych składek związkowych.

Wydawać by się mogło, że po takich zasługach rodacy będą całować Temistoklesa po rękach. Gdzie tam! Już w 472 roku p.n.e. został wygnany z miasta. Wkrótce potem sąd ludowy wydał na niego wyrok śmierci! Wtedy nastąpiła jedna z najdziwniejszych wolt w dziejach ludzkości – ów pogromca Persów znalazł bezpieczną przystań w... Persji. Resztę swego długiego życia spędził, pracując dla Króla Królów jako gubernator trzech greckich miast na wybrzeżu Azji Mniejszej. Poddani pokochali jego sprawiedliwe rządy do tego stopnia, że gdy umarł, wznieśli mu pomnik, który można było oglądać jeszcze w czasach rzymskich.

Uczciwość nie popłaca

Współczesnym Temistoklesa, a zarazem jego wielkim politycznym przeciwnikiem był Arystydes, zwany Sprawiedliwym. Ten mąż stanu słynął z cechy rzadkiej u polityków – był absolutnie uczciwy. Przez całą karierę nie wziął dla siebie ani obola, co więcej, pełniąc obowiązki państwowe, dokładał do nich z własnej kieszeni. Robił to tak hojnie, że gdy zmarł, okazało się, iż jego dzieci nie mają go nawet za co pochować, bo nieboszczyk cały swój majątek rozdał pro publico bono i trzeba było urządzać mu pogrzeb na koszt państwa.

To właśnie Arystydes był pomysłodawcą wykorzystania nagłego przypływu gotówki spowodowanego odkryciem złóż srebra na ufundowanie ateńskim obywatelom swego rodzaju 500 plus. Pomysł sam w sobie był szczytny, szczęśliwie jednak zgromadzenie ludowe go odrzuciło, popierając projekt Temistoklesa. Szczęśliwie,

gdyż jeśli Ateńczycy wydaliby wszystko na dodatki socjalne, to w roku perskiej inwazji mogliby co najwyżej wysłać Arystydesa do najeźdźców w celu wynegocjowania kapitulacji.

Podobnie jak w wypadku twórcy Związku Delijskiego, Arystydes przekonał się, że koło fortuny obraca się w Atenach błyskawicznie i w zaskakujących kierunkach. W roku 482 p.n.e. on także został wygnany z ojczyzny. Z tej konkretnej procedury ostracyzmu (czyli głosowania, w trakcie którego ustalono, kto w mieście jest najmniej popularnym politykiem, po czym delikwenta wyganiano na okres dziesięciu lat) zachowała się anegdota dużo mówiąca o ateńskich realiach. Otóż, do Sprawiedliwego podszedł ze skorupą garnka (tzw. ostrakony stanowiły karty wyborcze) pewien niepiśmienny chłop z głębokiej prowincji i poprosił polityka o wypisanie na niej imienia osoby, którą tenże rolnik chciałby widzieć wygnaną. Nasz bohater zapytał, czyje personalia ma wyryć na ostrakonie, a wówczas wieśniak, niemający pojęcia, z kim rozmawia, rzekł: Arystydesa. Skonfundowany Arystydes wypisał swoje imię, po czym spytał rolnika, skąd jego niechęć. Ten zaś odpowiedział bez ogródek: „Bo mam dość ciągłego słuchania, jaki on jest sprawiedliwy".

Ty męska (ocenzurowano)!

W połowie IV wieku p.n.e. Ateny miały już czasy największej potęgi za sobą. Na politycznej mapie Hellady najpoważniejszym graczem było królestwo Macedonii, rządzone przez rzutkiego króla Filipa II. Ateńczycy z całych sił starali się bronić swoich wpływów, co ostatecznie doprowadziło w 349 roku p.n.e. do otwartej wojny z Macedonią. W roku 346 p.n.e. wyekspediowano na dwór w Pelli poselstwo mające ustalić warunki pokoju. Pech chciał, że w skład delegacji weszło dwóch nienawidzących się polityków: Demostenes i Ajschines. Różniło ich wszystko – pierwszy był zajadłym wrogiem Macedonii, drugi dążył do nawiązania z nią przyjaznych stosunków. Gdy poselstwo wróciło do ojczyzny, Demostenes namówił swego zausznika, Timarchosa, by ten oskarżył Ajschinesa o przyjęcie łapówki od Filipa.

Ostraki z imieniem Temistoklesa

Napadnięty odbił piłeczkę. Zamiast się bronić, zaatakował sojusznika Demostenesa, oskarżając go o kupczenie własnym ciałem. Nie przebierając w słowach (wielokrotnie nazwał Timarchosa dziwką), opisał przed sądem ludowym bujne życie seksualne pozwanego, powołując jako świadków jego klientów. Przy okazji niedwuznacznie sugerował, że sam Demostenes również jest kodomitą. W starożytnej Grecji normą były związki uczuciowe pomiędzy dojrzałym mężczyzną a dorastającym chłopcem. Młodzieniec adorowany przez swego wielbiciela absolutnie nie mógł jednak zgodzić się na nic ponad miłość platoniczną. Z jeszcze większą naganą patrzono na młodych byczków, którzy uprawiali seks za pieniądze. Za taki proceder groziła utrata praw obywatelskich.

Ajschines dowodził przed sądem, że jego niedawny oskarżyciel, prostytuując się jako nastolatek, stracił prawo do udziału w życiu publicznym. Barwna przeszłość Timarchosa była chyba dobrze znana, bo mówca bez trudu doprowadził do publicznego upokorzenia mężczyzny, który wkrótce po procesie popełnił samobójstwo. Demostenes zaś nigdy nie wybaczył niewybrednych komentarzy, które przy okazji procesu padły na jego temat i 16 lat później doprowadził do wygnania Ajschinesa.

Spór między dwoma mówcami, którego ofiarą padł Timarchos, stanowi klamrę zamykającą naszą opowieść. Demostenes i Ajschines mogli się szarpać na Areopagu, obrzucając się ku uciesze gawiedzi niewybrednymi komentarzami, ale cała ta wojna ateńsko-ateńska była już niewiele znaczącą burzą w szklance wody. Centrum prawdziwej władzy znajdowało się na macedońskim dworze w Pelli, który wkrótce miał rozciągnąć swą kontrolę na całą Helladę, odsyłając dawne potęgi epoki klasycznej do podręczników historii. **GP**

GAZETA POLSKA

FOT. PIXABAY

Nawet 11 GW mocy dzięki bałtyckiemu wiatrowi

MORSKIE FARMY WIATROWE SZANSĄ DLA POLSKIEJ GOSPODARKI

Do 2030 roku moc morskich farm wiatrowych PGE osiągnie 2,5 GW. Do 2040 roku wzrośnie ona do 6,5 GW. W ostatnim czasie PGE podpisała z Eneą i Tauronem list intencyjny w sprawie współpracy przy przyszłych projektach morskich farm wiatrowych o potencjale mocy około 6 GW.

Maciej Pawlak

Firmy, sygnatariusze zawartego w styczniu bieżącego roku porozumienia, dostrzegają wartość sektora morskiej energetyki wiatrowej dla rozwoju polskiej gospodarki oraz zwiększenia stopnia bezpieczeństwa energetycznego Polski. Podpisany list intencyjny stanowi pierwszy krok do powołania przez PGE, Eneę i Tauron spółki, której celem będzie rozwój morskiej energetyki wiatrowej. To PGE Polska Grupa Energetyczna spośród polskich przedsiębiorstw z udziałem Skarbu Państwa jest liderem w zakresie rozwoju morskiej energetyki wiatrowej w Polsce. I – co więcej – dysponuje najbardziej rozległą wiedzą na temat realizacji tego rodzaju przedsięwzięć.

Jednocześnie z punktu widzenia całej naszej gospodarki istotna jest możliwość uczestniczenia w tym projekcie setek kolejnych polskich firm, które mogą być dostawcami i podwykonawcami w ramach łańcucha dostaw. Podjęcie wspólnych działań pomiędzy PGE, Eneą i Tauronem uzasadnione jest m.in. dużą konkurencją ze strony firm zagranicznych, zaangażowanych w projekty morskiej energetyki wiatrowej na obszarze Polskiej Wyłącznej Strefy Ekonomicznej Morza Bałtyckiego.

Już obecnie, niezależnie od podpisanego listu intencyjnego o współpracy z Eneą i Tauronem, PGE prowadzi proces wyboru partnera branżowego dla inwestycji wiatrowych: Baltica 2 i Baltica 3 o łącznej mocy 2,5 GW.

Zgodnie z założeniami Strategii PGE posiadanie 6,5 GW mocy zainstalowanej w offshore do 2040 roku przyczyni się do uniknięcia blisko 21 mln t emisji CO_2. Energia produkowana z wiatraków będzie w stanie zasilić w energię elektryczną ponad 10 mln gospodarstw domowych.

Program Offshore w Grupie Kapitałowej PGE zakłada budowę minimum trzech morskich farm wiatrowych:

- Elektrowni Wiatrowej Baltica-1, która w czerwcu 2020 roku otrzymała techniczne warunki przyłączenia do sieci przesyłowej dla mocy do 896 MW;
- Elektrowni Wiatrowej Baltica-2, która w grudniu 2020 roku podpisała umowę o przyłączenie do sieci przesyłowej morskiej farmy wiatrowej Baltica-2 o mocy zainstalowanej do 1498 MW;
- Elektrowni Wiatrowej Baltica-3 z umową przyłączeniową na maksymalnie 1045 MW.

W 2019 roku Polskie Stowarzyszenie Energetyki Wiatrowej zidentyfikowało ponad 100 polskich podmiotów, które mogą zostać włączone w procesy przygotowania, budowy i eksploatacji farm wiatrowych w polskiej części Bałtyku. Mają one szansę powstawać z udziałem polskich przedsiębiorców. Według raportu firmy McKinsey & Company budowa morskich farm wiatrowych o mocy 6 GW może wiązać się z 70 mld zł wartości inwestycji oraz wygenerowaniem do 2030 roku 60 mld zł dodatkowego PKB. Ponadto rozwój morskiej energetyki wiatrowej do 2030 roku może zaowocować stworzeniem ponad 70 tys. nowych miejsc pracy. ■

Jacek
Liziniewicz
albicla.com/JacekLiziniewicz

Morsowe ŻYCIE

CIEKAWOSTKI O MORSACH

To jedne z największych zwierząt Arktyki. Od tysięcy lat losy ludzi i tych ssaków są ze sobą splecione.

DWIE POPULACJE

Morsy występują wyłącznie na półkuli północnej w miejscach, gdzie jest ekstremalnie zimno. Dzieli się je na dwie populacje – pacyficzną i atlantycką. Obie praktycznie się ze sobą nie kontaktują.

NARAŻONE NA WYGINIĘCIE

Populacja morsów przekracza 200 tys. osobników. To jednak bardzo przybliżona liczba, bo ciężko je policzyć. Jest to gatunek narażony na wyginięcie. Obecnie dużym problemem jest topniejący lód.

WOKÓŁ MORSA

Polskę opadł szał zimowych kąpieli. W każdy weekend w sieci pojawia się tysiące zdjęć śmiałków, którzy pomimo mrozów wchodzą do lodowatej wody. Mówią, że są morsami. Te jednak na dalekiej północy tylko by się z tego uśmiały.

FOT. PIXABAY

POLUB NAS /GazetaPolskaPL

Steven Bennet to mało znany XVII-wieczny eksplorator oceanów. Odkrył kilka niewielkich, dzisiaj niezasiedlonych, wysp na północnych rubieżach Atlantyku. To, co jednak wydaje się mało istotne z perspektywy ludzkości, było dość znaczące w historii morsów. W 1604 roku Steven Bennet odkrył bowiem tzw. wyspę niedźwiedzią, która charakteryzowała się dość dużą liczebnością populacji morsów. Mówi się, że właśnie to wydarzenie zdecydowało o rozpoczęciu masowej eksploatacji morsów. Już po pierwszej wyprawie statkiem Godspeed, Bennet przywiózł do Europy ciała 100 zwierząt. Wtedy kły morsów, ale także olej uzyskiwany z ich tłuszczu były chodliwym towarem zapewniającym olbrzymie wpływy.

Przystosowane do lodu

Wcześniej morsy były znane niewielkim, żyjącym na północy ludom Eskimosów i Inughuitów, którzy od pokoleń żyli w symbiozie z przyrodą. Dla nich zwierzęta te były ważną częścią nie tylko życia gospodarczego, ale również wierzeń. Część ludów wierzyła, że morsy pierwotnie były ludźmi. Ślady tego wierzenia można znaleźć w specyficznym szyciu kożuchów i strojów, które z przodu mają dwa trójkątne fragmenty skóry, przypominającej właśnie kły morsów. Oczywiście wierzenia te nie przeszkadzały Eskimosom polować na morsy, choć nie był to wyjątkowo ceniony pokarm. W XIX i XX wieku mięso morsów służyło do karmienia psich zaprzęgów. Można więc powiedzieć, że to na północy powstała idea specyficznej karmy dla psów. Był też wyjątek – języki morsów uznawano za wielki przysmak. Na walory smakowe morsów narzekali głównie Europejczycy, ludy północy były mniej wybredne, wykorzystywały też każdy fragment ich ciała. Mięso morsów jedzono, ale również przetwarzano na fermentowaną potrawę z ich płetw. Wykorzystywano również blubber, czyli rodzaj ich podskórnej tkanki tłuszczowej. Tej zresztą morsy mają wyjątkowo dużo, co jest zrozumiałe, gdy się pływa w najzimniejszych morzach na świecie. Warstwa izolacyjna ma często nawet 15 cm grubości. To sprawia, że morsy bez żadnego problemu wytrzymują temperaturę powietrza –35 stopni. Spędzają też całe godziny w lodowatej wodzie, w której potrafią zanurkować nawet na 80 metrów. Zresztą gruba skóra to niejedyne ich przystosowanie. Ich mięśnie charakteryzuje wysoka zawartość mioglobiny, która transportuje i magazynuje tlen w tkance. Podczas nurkowania przepływ krwi jest odcięty

> Mors, który wydaje się sympatycznym gamoniem, jest w stanie wydać krwawą bitwę niedźwiedziowi polarnemu, a także orkom.

OLBRZYM

Mors ma ciężkie ciało osiągające długość od 2,5 do 4,3 m. Osłonięty jest grubą na 3,5 cm, niemal nagą, pofałdowaną skórą. Masa ciała wynosi od 400 do 1700 kg. Samce są większe od samic.

REKORDZISTA

Samiec morsa jest najhojniej obdarzonym przez naturę ssakiem żyjącym na lądzie. Jego kość penisa (fachowo zwana baculum) ma długość do 63 cm. To prawdziwy rekord.

DŁUGIE KŁY

Cecha charakterystyczna morsa. Kły mają zarówno samice, jak i samce. Mogą osiągać długość 1 m i ważyć do 5,4 kg. Były używane przez ludy tubylcze do wytwarzania przedmiotów ozdobnych i użytkowych.

FOT. ADOBE STOCK

od skóry i żołądka, a skierowany w kierunku narządów, którym potrzebny jest tlen, takich jak serce i mózg. To sprawia, że morsy mogą się nie wynurzać z wody przez 25 minut. Dodatkowo mają worki powietrza pod gardłem, które działają jak boja, co pozwala im tkwić pionowo w wodzie i spać. W tej pozie przydają się również zęby, którymi mors zahacza się o lód, żeby nie dryfować.

Mors zabójca

Oczywiście kły tych zwierząt służą nie tylko do spania, podobnie jak żołnierski bagnet nie służy jedynie do otwierania konserw. Takie długie uzębienie przydaje się też w walce. Mors, który wydaje się sympatycznym gamoniem, jest w stanie wydać krwawą bitwę niedźwiedziowi polarnemu, a także orkom. Wynik tych walk dla drapieżników zawsze wydaje się niepewny. W tym miejscu należałoby powiedzieć o kulinarnych zwyczajach samych morsów. Zwykle żywią się one bezkręgowcami zamieszkującymi dno oceanu, na przykład małżami, ślimakami i rozgwiazdami, ale także padliną, rybami czy fokami. Te wywąchują pod wodą z pomocą wibrysów, czyli wąsów czuciowych. Co ciekawe, morsy bardzo dobrze słyszą pod wodą. Wprawdzie dużo gorzej idzie im to na lądzie i dodatkowo mają słaby wzrok,

ŚMIESZNE WIBRYSY

Druga rzecz, która rzuca się w oczy u morsów, to ich wibrysy, czyli wąsy na pysku. Te czułe, 30-cm włoski umożliwiają poruszanie się i szukanie pożywienia pod wodą w całkowitej ciemności.

ŚWIETNY NUREK

Morsy dobrze nurkują. Spokojnie schodzą na głębokość 80 m, by na dnie szukać pożywienia. Wytrzymują bez oddechu 25 minut. Pod wodą ich serca biją wolniej i wstrzymywane są niektóre funkcje organizmu.

WALECZNE ZWIERZĘ

Mors mimo swojego gamoniowatego wyglądu jest bardzo waleczny. Stawia opór niedźwiedziowi polarnemu i zdarza się mu zabić misia. Udokumentowane są też walki morsów z większymi orkami.

WIERZENIA

Dla Eskimosów i Inughuitów zwierzęta te były ważną częścią życia gospodarczego i wierzeń. Wierzono, że morsy pierwotnie były ludźmi.

ale nadal można uznać, że zwierzęta te są wyjątkowo dobrze przystosowane do warunków życia. Niestety ich największym i śmiertelnym przeciwnikiem pozostaje człowiek. Równowaga pomiędzy morsami a ludźmi została zaburzona w XVII wieku. Wcześniej bowiem polowanie na morsy nie należało do przyjemności. Większość z nich odbywała się na lodzie z użyciem harpunów z linami. Kilku ludzi jednocześnie skradało się po cienkim lodzie, by w jednym momencie ugodzić morsa. Następnie natychmiast biegli w przeciwnym kierunku, ciągnąc ze sobą linę. Było naprawdę trudno nie wpaść do wody, co w takich warunkach równało się śmierci. Sytuacja zmieniła się wraz z wymyśleniem broni palnej, która zmniejszyła szanse zwierząt w starciu z człowiekiem. W XX wieku szybko zauważono, że liczba morsów spada, i postanowiono je chronić. Dziś ich liczba jest dość stabilna, mają jeden z niższych statusów ochrony. Ile ich jest?

Wielkość populacji

Dane europejskie mówią o krytycznym stanie morsów. Jednym tchem dodaje się również, że zwierzęta te zdychają z głodu przez topniejący lód. Jednostki badawcze zajmujące się tymi ssakami nie potwierdzają jednak tych alarmujących informacji. W 2017 roku przeprowadzono badanie, z którego wynika, że liczba samych tylko pacyficznych morsów to około 283 tys. sztuk, przy czym rozbieżności mogą być spore. Równie dobrze może ich być np. 93 tys., jak i 479 tys. Amerykańscy badacze nie potwierdzają także dramatycznych informacji ekologów, którzy mówią o głodujących morsach. „Jest prawdopodobne, że w niektórych przypadkach morsy umierają z głodu, ale nie ma udokumentowanych takich zdarzeń. Niedożywione zwierzęta występują często, ale obecnie stanowią niewielką część populacji" – czytamy na stronie U.S. Fish & Wildlife Service regionu Alaski. Jest więc niemal pewne, że morsy zostaną z nami jeszcze długo. Nie takie warunki przeżywały! **GP**

NIEBEZPIECZNY DLA LUDZI

Morsy bywają również niebezpieczne dla ludzi. Potrafią wywrócić i zatopić nawet sporą łódź. Czasem w takich wypadkach są ofiary śmiertelne. Nie ma jednak dowodów na to, że morsy atakują ludzi.

POLOWANIA

Dla ludów Arktyki morsy były jednym z podstawowych źródeł pożywienia. Polowano na nie z harpunami. Zabijano je wyłącznie na lądzie lub lodzie, polowanie z wody było zbyt niebezpieczne.

FOT. ADOBE STOCK; DALOUS P.

PRZYRODNICZY FLASH

LISTA ZAGROŻONYCH PTAKÓW

Ogólnopolskie Towarzystwo Ochrony Ptaków opublikowało nową edycję „Czerwonej listy ptaków Polski". Wynika z niej, że w ostatnich 200 latach w Polsce wymarło 16 gatunków ptaków, a kolejnych 47 jest zagrożonych wymarciem. Na listę zagrożonych ptaków trafiły m.in. płaskonos, mewa siwa i gawron. Aż 12 gatunków zakwalifikowano jako krytycznie zagrożone (CR). Są to: świstun, rożeniec, rycyk, batalion, łęczak, rybitwa czubata, gadożer, orlik grubodzioby, błotniak zbożowy, kraska, dzierzba czarnoczelna oraz pomurnik.

ZNÓW AWANTURA O WILKI

Wielkopolska to obszar, w którym coraz chętniej pojawiają się wilki. A wraz z nimi – niepokój mieszkańców i problemy. Mieszkańcy narzekają na częste przypadki atakowania psów domowych przez wilki. Kontakt z wilkami mieli również niektórzy rolnicy. Ze względu na powtarzające się sytuacje samorząd rolniczy i rolnicy zwrócili się z prośbą do ministra klimatu i środowiska o podjęcie działań prewencyjnych, a także o określenie rzeczywistej populacji wilka na tym terenie.

Stefan
Czerniecki
CZERNIECKI.NET

Pochód pełen świec

WIEŚ ROSICA

– Stefan... – Andriej, na oko niemający jeszcze czterdziestu wiosen marianin, zatrzymuje się nagle, aby na chwilę spojrzeć mi głębiej w oczy. Pomimo zaparowanych od zimna szkieł okularów, dość wyraźnie widać jego niebieskie oczy. Są coraz większe. Mężczyzna ewidentnie jest czymś przejęty. – Masz przepustkę, prawda?

A potrzebuję? – odpowiadam wymijająco.

– No, trzymajcie mnie, wszyscy święci – woła głośno Białorusin. – Czy potrzebujesz? No pewno, że potrzebujesz. To nadgraniczny rewir. Każdy przyjezdny musi mieć przepustkę.

– Nic mi nie mówiłeś… – próbuję się tłumaczyć.

– Bo byłem przekonany, że ją masz… – zawiesza głos Andriej. – Teraz będę musiał ich przekonywać.

– Kogo?

Duchowny delikatnym skinięciem poleca mi, abyśmy ruszyli dalej. Po kilku sekundach spaceru dyskretnym ruchem głowy wskazuje na stojącą obok furgonetkę. Żołnierze uważnie się nam przyglądają. Andriej przyjaźnie bierze mnie pod rękę.

– Może się uda. Staramy się tutaj dobrze z nimi żyć.

Znajdujemy się 6,5 km od granicy z Łotwą. Do sąsiedniego państwa nie prowadzi jednak w tej okolicy żadna droga. Pogranicze porasta gęsty las. To naprawdę zapomniane przez świat ziemie. Podobnie jak wieś, do której przywiózł mnie Andriej. Wieś nazywa się Росіца, po polsku Rosica.

Język polski znają tu zresztą niemal wszyscy. Bo i historia tej położnej na północy Białorusi wioski ma mocno polski odcień. Tutejszy proboszcz, ksiądz Czesław, jest Polakiem z krwi i kości.

– Ilu mam parafian? Szczerze mówiąc, to już straciłem rachubę – spogląda gdzieś w dal, gdy zadaję mu pytanie. – Ostatnio bez przerwy kogoś grzebię. Kiedyś mieszkało tu nawet trzy tysiące ludzi. A teraz? Może dwieście? Choć pewnie i nawet to nie. Ze sto osób raczej.

– Szczęść Boże, proszę ojca! – słyszymy nagle. Z tyłu nadjeżdża dwójka starszych ludzi na rowerach. Kobieta zatrzymuje się przy księdzu Czesławie. To ona pozdrawiała.

– O, pani Tamara! No, jak tam?

– A dobrze, już lepiej. Dziękuję.

Ot, grzecznościowa wymiana uprzejmości.

– Ta akurat nie jest moją parafianką. Nie jest nawet katoliczką – szepcze, gdy pani oddala się. – Ale za to zatrzyma się. Z księdzem pogada.

– Prawosławna? – dopytuję.

– Też chyba nie. Jak większość tutaj. Wszystko ateiści. Widzisz… Komunizm zrobił swoje.

CIEKAWOSTKI

13 czerwca 1999 roku podczas mszy świętej na placu Piłsudskiego w Warszawie Jan Paweł II wyniósł na ołtarze 108 męczenników. Wśród beatyfikowanych znaleźli się także dwaj księża spaleni przez Niemców wraz z wiernymi w Rosicy: Antoni Leszczewicz oraz Jerzy Kaszyra.

Tragiczna lutowa noc 1943 roku nie była końcem trudnych wydarzeń dla rosickiego kościoła. Po wojnie świątynia była co i rusz zamykana, a nawet zamieniona na skład zbożowy i paliwowy. Ówczesnemu proboszczowi Lucjanowi Pawlikowi ogłoszono zaś w 1950 roku wyrok śmierci, zamieniony potem na 25 lat więzienia. Marianin powrócił z łagrów dopiero po śmierci Stalina w 1956 roku, ale nie miał już prawa posługiwania w Kościele.

Kościół pw. Świętej Trójcy w Rosicy zwrócono parafianom dopiero w 1989 roku. Dziś świątynia jest już odrestaurowana, a kościół – co ciekawe – nigdy nie jest zamykany. Można tu wejść nawet nocą.

FOT. STEFAN CZERNIECKI

Kościół pw. Świętej Trójcy zwrócono parafianom dopiero w 1989 roku.

Niemym potwierdzeniem jego słów na temat tego, co zrobił komunizm, są mijane chaty. W większości już opuszczone, z poprzepalanymi płotami i zapadniętymi dachami. Bieda aż piszczy.

– Poprzedniej zimy mieliśmy tu – 30… – mówi ksiądz, gdy zbliżamy się do pomnika z umocowanym na polu krzyżem. – Pewno tyle też było wtedy. W 1943 roku…

Noc z 17 na 18 lutego 1948 roku sprawiła, że Rosica przestała być bezimienną wsią na mapie Europy. Wówczas Niemcy przeprowadzili tu karną akcję jako odwet na mieszkańcach za pomoc udzieloną radzieckim partyzantom. Niemcy zamknęli wszystkich w tutejszym drewnianym kościele. Wśród uwięzionych było też dwóch ojców marianów: Antoni Leszczewicz i Jerzy Kaszyra. Dowodzący brygadą nawet oferował im uwolnienie. „Nie mamy rozkazów was zabijać” – tłumaczył. Księża poprosili jednak, aby zamiast nich wypuścić zakonnice. Sami zostają z wiernymi. Zapalają świece. Rozpoczynają celebrować mszę święta. Jedną, potem drugą. Gdy przyjdą po nich Niemcy, aby spalić ich w jednej z pobliskich drewnianych chat, wyjdą z kościoła i na miejsce kaźni będą iść w procesji, w modlitwie z zapalonymi świecami. Na śmierć. – Mówi się, że gorąc od palonych chat z ludźmi był tak wielki, że stopił wszystkie lutowe śniegi pokrywające okoliczne pola i jeziora – ksiądz Czesław żegna się pod krzyżem pamięci. Sam go postawił. Nikt mu nie pomagał. Dzisiejsza Białoruś woli nie wspominać.

Jednak w pierwszy piątek sierpnia do Rosicy nadal zjeżdżają autokary. Wówczas na te kilkanaście godzin wieś ożywa. Spod kościoła Świętej Trójcy rusza uroczysty pochód, tworzony przez kilkaset osób idących z zapalonymi świecami. Trochę tak jak 78 lat temu. **GP**

Tutejsi mieszkańcy to życzliwi ludzie, ale coraz mniej wśród nich jest katolików.

Pomnik na pamiątkę tragicznej lutowej nocy z 1943 roku.

W pierwszy piątek sierpnia wieś Rosica ożywa...

NA RATUNEK PAULO SOUSA

Bez wątpienia 53-krotny reprezentant Portugalii „ma papiery" na trenera. Był piłkarzem inteligentnym, mózgiem środka pola, zawodnikiem, który ogromną wagę przywiązuje do taktyki. Futbolowi eksperci podkreślają jednak, że Portugalczyk w pracy trenerskiej znajdował się raz na wozie, a raz pod wozem. Które oblicze Paulo Sousy zobaczymy w pracy z reprezentacją Polski?

KIBICE CZEKAJĄ NA ZMIANĘ STYLU GRY

Leszek **Galarowicz**

Po zaskakującej dymisji Jerzego Brzęczka stało się oczywiste, że jego następcą będzie szkoleniowiec z zagranicy. Wybór padł na Paulo Sousę – lepszego piłkarza niż trenera. Zarówno w karierze piłkarskiej, jak i trenerskiej Portugalczyk nie zagrzał miejsca na dłużej w żadnym klubie.

Sousa należał do złotego pokolenia portugalskiej piłki wraz z Fernando Couto, Joao Pinto, Luisem Figo czy Rui Costą. W 1989 roku Portugalia z nim w składzie wywalczyła mistrzostwo świata do lat 20. Środkowy pomocnik nie powtórzył tego sukcesu w dorosłej piłce. Trzecie miejsce na Euro 2000 było wynikiem poniżej oczekiwań złotej generacji. Portugalczyk więcej osiągnął z klubami, m.in. triumfował z Borussią Dortmund w Lidze Mistrzów. Jako trener zwiedził Anglię, Węgry, Izrael, Szwajcarię, Włochy, Francję, a nawet Chiny. W żadnym z tych krajów nie osiągnął spektakularnych sukcesów, choć dwukrotnie zdobył krajowe mistrzostwo, z Maccabi Tel Aviv i FC Basel.

Szkoleniowcy z zagranicy

Sousa jest drugim w XXI wieku selekcjonerem spoza Polski. Pierwszym był Leo Beenhakker, który wprowadził Biało-Czerwonych do finałów Euro 2008, ale te dla naszych zakończyły się klapą. Później stawiano już tylko na rodzimych szkoleniowców. Tym bardziej że prezes Boniek uchodził za zwolennika polskiej myśli szkoleniowej aż do 2021 roku. Postawił na Adama Nawałkę, co było strzałem w dziesiątkę, ale już przy wyborze wujka Kuby Błaszczykowskiego intuicja Bońka zawiodła. Brzęczek wprawdzie zrealizował cele postawione przez PZPN, ale kadra pod jego dowództwem prezentowała się przeciętnie lub słabo. Na eliminacje ME to wystarczyło, lecz Liga Narodów obnażyła jej wszystkie słabości. Czarę goryczy przelała porażka w kompromitującym stylu z Włochami.

Szansa dla Portugalczyka

Niewielu przedstawicieli środowiska futbolowego uroniło łzę po zwolnieniu Brzęczka. Jednak część ekspertów słusznie zarzuciła prezesowi PZPN fatalny styl rezygnacji z usług selekcjonera. Przed 50-letnim Portugalczykiem otworzyła się ogromna szansa przyspieszenia kariery

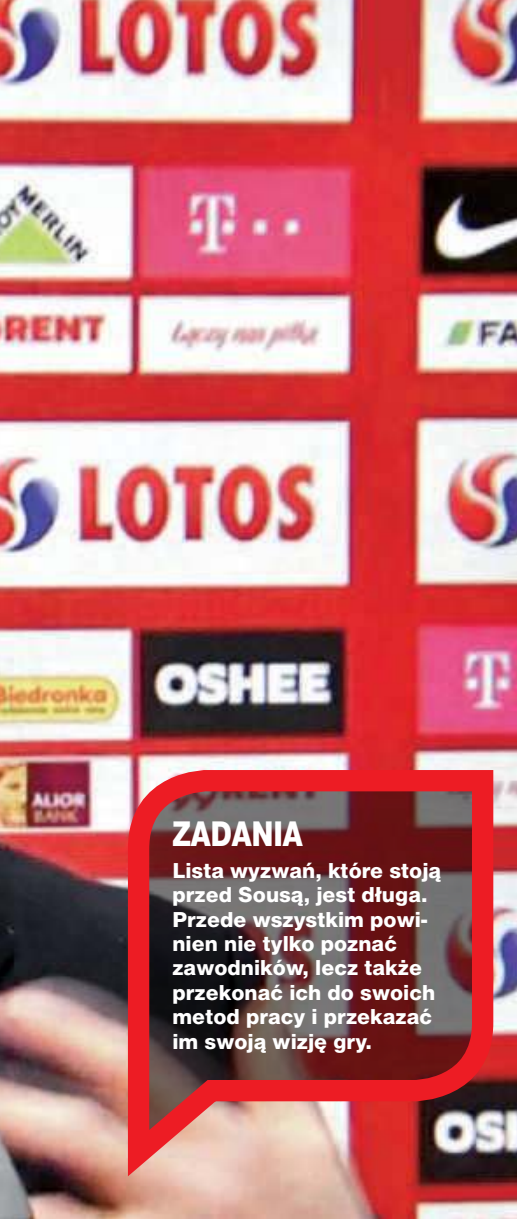

ZADANIA

Lista wyzwań, które stoją przed Sousą, jest długa. Przede wszystkim powinien nie tylko poznać zawodników, lecz także przekonać ich do swoich metod pracy i przekazać im swoją wizję gry.

FOT. PIOTR NOWAK/PAP

trenerskiej. Do tej pory był jedynie asystentem selekcjonera reprezentacji Portugalii. Teraz dostał drużynę z niewykorzystanym potencjałem, przed którą w najbliższym roku są dwa poważne wyzwania: kwalifikacje do Mistrzostw Świata w Katarze, a przede wszystkim finałowy turniej Euro 2021. Paulo Sousa dostał niespodziewany prezent od Zbigniewa Bońka, ale też moment, w którym obejmuje kadrę, nie jest łatwy. Portugalczyk powinien mieć świadomość, że oczekiwania wobec niego są wysokie. Nie chodzi tylko o to, by Biało-Czerwoni wygrywali, ale musi się zmienić styl gry reprezentacji.

Lista wyzwań, które stoją przed 50-latkiem, jest zdecydowanie dłuższa. Powinien nie tylko poznać zawodników, lecz także przekonać ich do metod pracy i przekazać im swoją wizję gry. Były reprezentant Polski Tomasz Kłos twierdzi, że jest to możliwe, ale bardzo trudne, bo Sousa będzie miał do dyspozycji tylko tygodniowe zgrupowanie przed marcowymi meczami eliminacji MŚ. Jedną z kluczowych spraw, od których zależy przyszłość nowego selekcjonera, jest ułożenie relacji z kapitanem reprezentacji, żeby nie powtórzyła się sytuacja wymownego milczenia Roberta Lewandowskiego po meczu z Włochami. Zresztą chodzi nie tylko o znalezienie wspólnego języka z kapitanem, lecz także o „odblokowanie" jednego z najlepszych napastników świata. W kadrze Brzęczka potencjał Lewandowskiego był niewykorzystany. Paulo Sousa musi zorganizować grę „pod Lewego". Nie może się powtarzać obrazek osamotnionego piłkarza, który walczy z trzema rywalami. Chodzi zresztą o wykorzystanie potencjału nie tylko Lewandowskiego, lecz także innych reprezentantów, którzy w klubach prezentowali się znacznie lepiej niż w barwach narodowych. Podobno Paulo Sousa to wymarzony trener dla środkowych pomocników, jest zatem nadzieja, że w końcu ujawni swoje nietuzinkowe umiejętności Piotr Zieliński.

Najważniejsze sportowe wyzwanie nowego selekcjonera to występ w Mistrzostwach Europy. Celem minimum jest wyjście z grupy, która nie jest łatwa.

Awans do mistrzostw świata i dobry występ na Euro

Najważniejsze sportowe wyzwanie nowego selekcjonera to występ w Mistrzostwach Europy. Celem minimum jest wyjście z grupy, która nie jest przecież łatwa. Hiszpania wydaje się poza zasięgiem. Szwecja była dla nas niewygodnym rywalem. Słowacja to solidny europejski poziom. Każdy wynik powyżej awansu z grupy będzie sukcesem Biało-Czerwonych. Drugi cel to udany start w kwalifikacjach do katarskich Mistrzostw Świata, czyli minimum 2. miejsce gwarantujące baraże. Sam start będzie ważny z dwóch powodów. Po pierwsze, stanie się sygnałem, że Zbigniew Boniek podjął słuszną decyzję, po drugie, wzmocni morale drużyny przed czerwcowymi finałami ME. Nie ma złudzeń, że o awans do Mistrzostw Świata może być szalenie trudno. Obecność w naszej grupie Anglików sprawia, że raczej będziemy rywalizować o drugie miejsce z Madziarami, które nie gwarantuje startu na imprezie w Katarze.

Od Paulo Sousy kibice, fachowcy oczekują też zmiany stylu gry, który był piętą achillesową reprezentacji Brzęczka. Polacy zdobywali punkty, lecz organizacja gry, ofensywa, kreowanie sytuacji bramkowych pozostawiało wiele do życzenia. Trudno było w ich poczynaniach dostrzec jakiś zamysł trenera. Nikt nie oczekuje, że pomysł Portugalczyka będzie widoczny już w marcu, ale podczas finałów ME już powinno tak się stać. Nowemu szkoleniowcowi kadry pomogłoby też wsparcie kibiców, czyli to, czego nie udało się pozyskać byłemu selekcjonerowi. W histerycznym tonie pisze o tym Małgorzata Domagalik w biografii Brzęczka, kreując go na ofiarę wyjątkowego hejtu. Mimo wszystko Sousa powinien mieć od niego łatwiej, bo jednak stosunek ekspertów i kibiców do selekcjonera z zagranicy jest bardziej powściągliwy.

Zbigniew Boniek zagrał va banque i zamienił polskiego trenera na zagranicznego tuż przed bardzo trudnym i ważnym rokiem dla reprezentacji Polski. Nie będzie miał łatwo. Jeszcze nie zaczął on pracy, a już jest atakowany za niewłaściwy dobór sztabu szkoleniowego. Jeśli osiągnie sukces w eliminacjach MŚ i finałach Euro, nikt nie będzie pamiętał o dymisji Jerzego Brzęczka, ale gdy powinie mu się noga, musi być przygotowany na druzgocącą krytykę. Jeszcze w 2019 roku Zbigniew Boniek w jednym z wywiadów bronił polskiej myśli szkoleniowej. Minęło półtora roku i nagle swoją decyzją zaprzeczył temu, co powiedział. Futbolowi eksperci podkreślają, że Portugalczyk w pracy trenerskiej znajdował się raz na wozie, raz pod wozem. Które oblicze Paulo Sousy zobaczymy w pracy z reprezentacją Polski? **GP**

Robert
Kilen

PROJEKT NA PIĄTKĘ

Gdy byłem chłopcem, szczytem marzeń każdego młodzieńca było mieć tzw. resoraki. Były to metalowe modele prawdziwych samochodów. Każdy z moich kolegów posiadał o wiele bardziej imponującą kolekcję od mojej. W jej uzupełnianiu pomocni byli wujek mieszkający za granicą albo tata pilot. Niestety, mój ojciec nie był lotnikiem, a wujkowie mieszkali po drugiej stronie Wisły, a nie po drugiej stronie Odry. Mimo tych niedogodności miałem i ja parę resoraków. A pierwszym z nich, który udało mi się kupić, był model Renault 5. Był to mały czerwony model, z którego tylnej szyby wychylał się plastikowy łeb psa. Niestety samochodzik, w przeciwieństwie do innych resoraków, nie miał ani otwieranej maski, ani drzwi. Nie przeszkadzało mi to w ogóle. Pamiętam natomiast ogromne emocje, które odczuwałem, gdy po raz pierwszy wyciągałem go z pudełka. Dzięki tej zabawce Renault 5 stał się samochodem, do którego mam wielki sentyment. Tak wielki, że chciałem nawet kilka lat temu kupić sobie na własność prawdziwą wersję tego samochodu. Żonie jednak nie podobał się kolor i to, że jeden błotnik był srebrny, a drugi granatowy. To oczywiście sugerowało, że auto nie jest bezwypadkowe i mogą być z nim pewne problemy w użytkowaniu. Jednak mój młodzieńczy sentyment do Renault 5 robił wszystko, żeby zbagatelizować problem, dowodząc ponad wszelką wątpliwość, że miłość bywa ślepa.

Renault 5, jak się okazało, to legenda motoryzacji nie tylko dla mnie. Także dla managerów koncernu, którzy uznali, że samochód należy wskrzesić. I tak, prawdopodobnie już w przyszłym roku nowe wcielenie „piątki", tym razem elektryczne, wyjedzie na ulice. Co prawda Francuzi zapowiadają, że nowe modele będą pokazywane sukcesywnie do 2024 roku, lecz jestem przekonany, że akurat Renault 5 będzie miał swoją premierę w przyszłym roku. Dlaczego? Bo pierwsza wersja samochodu została pokazana światu 28 lutego 1972 roku. Tak więc niefrasobliwością byłoby nie pokazać następcy na 50-lecie, w roku 2022! A na niefrasobliwość managerowie francuskiego koncernu nie mogą sobie pozwolić. Zwłaszcza teraz, gdy na czele koncernu stoi włoski specjalista od wskrzeszania legend motoryzacji, Luca de Meo. Na swoim koncie ma on już reinkarnację Fiata 500. Jak wiemy, niezmiernie udaną. Nic więc dziwnego, że i Francuzi mają apetyt na sukces swojej legendy, czyli modelu Renault 5. W przeciwieństwie do 500-ki nowe wcielenie francuskiego auta ponoć nie będzie aspirowało do segmentu premium. Ma być przystępne cenowo, jak się wyrażono. A przynajmniej takie są plany. Nie przywiązywałbym się jednak do nich choćby z tego powodu, że samochód powstanie na tej samej platformie co Nissan Ariya i przyszłe wcielenie Renault Mégane. Skoro więc Renault 5 ma powstać z tych samych podzespołów co Mégane, to te samochody trzeba jakoś zróżnicować. „Zaadresować" je do innej klienteli. Podobnie jak to zrobiono w Fiacie. Technicznie identyczne Panda i 500 przeznaczone są dla innych klientów. Panda to model popularny, a 500 to model semi premium. Myślę, że Luca de Meo podąży tą samą drogą w Renault. Choć sformułowanie „premium" nie pasuje do „przystępne cenowo". Na razie, oczywiście, jeszcze za wcześnie na szczegóły techniczne samochodu, poza tym, że wiadomo, iż samochód powstanie na platformie CMF-EV. Widać wyraźnie, że udało się uchwycić pewną ascetyczną formę oryginalnego Renault 5 i doskonale zaimplementowano ją do współczesnych standardów. To zasługa Gillesa Vidala, który pracował m.in. nad konceptem Peugeota e-Legend czy modelami: 208 i 508, czyli obecnie najładniejszymi samochodami rywala Renault. Widocznie mister de Meo ma zdolność przekonywania, skoro skłonił do współpracy designera pracującego dla konkurencji. A może Vidal po prostu jest sentymentalny i lubi pracować, czerpiąc inspirację z legend motoryzacji. W końcu najnowsza 208 to także powrót, a przynajmniej mrugnięcie okiem w stronę innej ikony, czyli Peugeota 205. Nie ukrywam, że trzymam kciuki za Francuzów w kwestii Renault 5. Pierwszego wcielenia sprzedało się ponad 5,5 mln. Luca de Meo z pewnością liczy na powtórzenie sukcesu. I ma na to szanse, bo po swojej stronie ma potężną broń marketingową: sentyment i doskonały projekt. **GP**

FOT. MAT. PRAS.

ZAPRASZAMY NA
www.prenumerata.swsmedia.pl

GAZETA POLSKA

PŁYWAJĄCE ODKURZACZE NA ODPADY

Jan **Przemyłski**

WIELKIE SPRZĄTANIE RZEK NA ŚWIECIE

Każdego roku do oceanów trafia blisko 2,7 miliona ton plastikowych śmieci. Większość z nich wpływa tam poprzez rzeki. Fundacja The Ocean Cleanup stworzyła urządzenie, które ma powstrzymać ten proces. Chodzi o Interceptor – niewielkich rozmiarów łódź przystosowaną do wyłapywania odpadów unoszących się na powierzchni wody.

Morza i oceany pełne są plastikowych odpadów wyrzucanych przez człowieka. Butelki, opakowania czy torby z tworzyw sztucznych znajdowane są nawet w najodleglejszych zakątkach świata, gdzie ludzie docierają bardzo rzadko. O tym, jak bardzo zanieczyszczamy naszą planetę, świadczyć może fakt, że w zeszłym roku blisko 1,6 mld maseczek jednorazowych trafiło nie do śmietników, lecz do oceanów – tak wynika z raportu OceansAsia, przygotowanego przez grupę naukowców z Hongkongu.

Sprawą narastającej w zatrważającym tempie góry odpadów w wodach postanowił już w 2013 roku zająć się wówczas nastoletni holenderski wynalazca Boyan Slat. Najpierw zaprojektował urządzenie, które miało wyłapywać odpady na morzach i oceanach. Jednak po pewnym czasie zdał sobie sprawę, że zamierzony cel osiągnie szybciej, jeśli ograniczy wpływ śmieci na otwarte wody. Zatem wymyślił i skonstruował łódź, która zbiera tworzywo sztuczne z powierzchni najbardziej zanieczyszczonych na świecie rzek. Wynalazek nosi nazwę Interceptor i składa się z dwóch zasadniczych części. Pierwsza to sam statek, na którym znajduje się taśma zbierająca odpady i transportująca je do wewnętrznych pojemników. Druga część to pływająca bariera – dzięki niej śmieci unoszą się w wyniku ruchu wody rzecznej, a następnie wpływają na taśmę.

W ciągu kolejnych pięciu lat Interceptory mają oczyszczać z plastiku ponad 1000 rzek na całym świecie.

Interceptor jest w 100 proc. zasilany energią słoneczną, a dzięki litowo-jonowym akumulatorom może pracować 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu. Co ciekawe, urządzenie jest w stanie zebrać 50 ton śmieci dziennie, nie wydzielając przy tym żadnych spalin i nie wywołując hałasu.

Do tej pory The Ocean Cleanup umieściło Interceptory na dwóch najbardziej zanieczyszczonych rzekach w Azji – Sungai Klang w Kuala Lumpur w Malezji i kanalizacji Cengkareng w Dżakarcie w Indonezji. Pierwsze efekty pracy urządzeń są bardzo obiecujące. **GP**

FOT. MAT. PRAS.

Iwona
Balcerak
TEKST I ZDJĘCIA

CHLEB AZTEKÓW

Tortilla to jeden z najważniejszych elementów kuchni meksykańskiej. Okrągły płaski placek kukurydziany o średnicy od kilku do nawet 30 centymetrów pochodzi z czasów prekolumbijskich i stosowany jest jako pieczywo lub baza do innych potraw.

Tradycyjna tortilla liczy sobie już ponad 12 tysięcy lat. Pierwotnie stanowiła podstawowy element diety starożytnych Azteków i Majów. Gdy na kontynent południowoamerykański dotarli konkwistadorzy, od razu zakochali się w płaskich plackach, zwanych przez tubylców „tlaxcalli". To oni zmienili jego nazwę na tortilla i przywożąc przepis do Europy, rozpowszechnili go na całym świecie. Gdy tortilli spróbowali konkwistadorzy, była ona wytwarzana wyłącznie w tradycyjny sposób – z mąki kukurydzianej. Wersje pszenne wprowadzono dopiero wtedy, kiedy Hiszpanie sprowadzili pszenicę na Nowy Kontynent. Za twórców tlaxcalli uznaje się Azteków, dla których kukurydza, z której pieczono tortille, była nie tylko jedzeniem, ale też symbolem. Aztekowie traktowali kukurydzę jak roślinę świętą, wręcz czcili ją, sądząc, że bez niej człowiek nie jest w stanie przeżyć. Powstanie pierwszych tortilli było oczywiście dziełem potrzeby. Kukurydzy w Ameryce Południowej było pod dostatkiem, jednak trudno było ją przetrzymywać w świeżej postaci. Ziarna więc suszono, a potem miażdżono, aby w dowolnym momencie przygotowywać z nich placki. Najistotniejszym etapem było gotowanie boskich ziaren. Robiono to w glinianym garnku z dodatkiem wody, wapna i popiołu drzewnego. Ugotowaną kukurydzę odstawiano do ostygnięcia, co pozwalało na oddzielenie się łupinki od ziarna. Następnie ręcznie usuwano łupinki i resztki roztworu wapna, zostawiając samo ziarno. Tak przygotowane ziarna mielono na masę zwaną nixtamal, z której wyrabiano ciasto i na rozgrzanych kamieniach pieczono tortille oraz przygotowywano inne tradycyjne potrawy. Współcześni Meksykanie kupują codziennie świeże tortille jako dodatek do każdego posiłku, od śniadania po kolację. Do najpopularniejszych pomysłów na podanie należy „taco", czyli składana na pół kukurydziana lub pszeniczna tortilla z farszem z kawałków wieprzowiny, wołowiny, kurczaka oraz przypraw i warzyw. Drugim daniem na bazie kukurydzianego placka jest „quesadilla". To tortilla wypełniona serem, czasem z dodatkiem mięsa i warzyw, i zapiekana w całości. Kolejne to „enchiladas" – rolowane placki z nadzieniem, które posypuje się serem i polewa sosem chili, a następnie zapieka w gorącym piecu, oraz „burrito", czyli tortilla wypełniona mięsem mielonym, warzywami i sosem. Pokrojona w paski tortilla jest podawana jako dodatek do gęstych, pikantnych zup. Wreszcie, najpopularniejsze na całym świecie tortille w postaci kukurydzianych trójkątnych chipsów, które podawane są przede wszystkim jako dodatek do dipów, takich jak salsa czy guacamole. **GP**

CZY WIESZ, ŻE...

Kukurydzianych tortilli nie da się zrobić ze zwykłej dostępnej w sklepach mąki z kukurydzy, konieczna jest mąka zwana masa i uzyskiwana w tradycyjny aztecki sposób .

Tortilla pszenna jest drugim na świecie najczęściej kupowanym produktem mącznym po paczkowanym chlebie. Ze względu na zawartość glutenu jest miękka, bardziej elastyczna i łatwiej daje się kształtować w większe, cieńsze placki. Kukurydziane tortille są bardziej kruche i mają tendencję do łamania się.

Tortilla tradycyjnie była plackiem zastępującym talerz i sztućce. Jedzono więc z jej pomocą zupy i dania mięsne czy fasolowe, nabierając kęsy do ust i wycierając ciastem talerz.

ZAPRASZAMY NA
www.prenumerata.swsmedia.pl

KOLOROWA QUESADILLA
Z SZYNKĄ I SEREM

- 4 placki tortilli
- 1 czerwona cebula
- 1/2 czerwonej papryki
- 1/2 żółtej papryki
- 150 g szynki dojrzewającej
- 1 łyżka oleju
- 200 g tartego żółtego sera
- 100 g tartej mozzarelli
- 1 pomidor
- 1/2 awokado
- garść rukoli
- sól i pieprz

Papryki i pomidor pokrój w 1,5-cm kostkę. Cebulę pokrój w cieniutkie piórka. Porwij szynkę na kawałki. Wszystkie składniki podziel na połowę. Rozgrzej na patelni łyżkę oleju, dodaj cebulę, podsmażaj około 2 min. Dodaj paprykę i razem podsmażaj jeszcze przez 3–4 min. Patelnię o średnicy większej niż placek tortilli podgrzej na palniku małej mocy. Na patelni ułóż placek tortilli. Posyp go połową żółtego sera, połową podsmażonej cebuli z papryką i połową pokrojonego w kostkę pomidora oraz awokado. Oprósz solą i pieprzem. Ułóż połowę porwanej na kawałki szynki i posyp połową mozzarelli. Przykryj drugim plackiem tortilli i podgrzewaj 3–4 min. Po tym czasie obróć quesadillę na drugą stronę. Najłatwiej zrobić to, przykrywając ją talerzem, następnie obróć patelnię, a gdy quesadilla jest już na talerzu, zsuń ją z powrotem na patelnię. Z drugiej strony podsmażaj quesadillę przez kolejne 3–4 min. Przed podaniem pokrój quesadillę na trójkąty i posyp rukolą. W taki sam sposób przygotuj drugą porcję.

CZAS	**40 min**
KOSZT	**20-25 zł**
PORCJE	**4**
STOPIEŃ TRUDNOŚCI	**łatwe**

BURRITO

- 1 opakowanie miks sałat
- 2 ząbki czosnku
- 300 g mięsa mielonego, na przykład z indyka
- 1 cebula
- 1 czerwona papryka
- 1 puszka czerwonej fasoli konserwowej
- 1/2 puszki kukurydzy
- 8 sztuk tortilli pszennej
- 1 puszka pomidorów krojonych
- sól, pieprz ziołowy
- ostra papryka w proszku
- kilka gałązek świeżej bazylii
- 100 g tartej mozzarelli
- 1 łyżka oleju

Cebulę i paprykę pokrój w kostkę. Czosnek przeciśnij przez praskę. Kukurydzę i fasolę odcedź z zalewy. Bazylię porwij na małe kawałki. Na patelni rozgrzej olej i smaż na nim mięso mielone przez 5 min. Podczas smażenia rozbijaj mięso widelcem na drobne kawałki. Dodaj cebulę, czosnek, bazylię, paprykę. Posól i dopraw pieprzem. Podsmażaj mieszając, aż mięso będzie miękkie. Dodaj pomidory, kukurydzę, fasolę i duś na mocnym ogniu, by zredukować sos. Na koniec dopraw do smaku ostrą papryką w proszku i wymieszaj z tartą mozzarellą. Podgrzewaj tortillę na gorącej, suchej patelni przez 10 sek. z każdej strony. Następnie tortillę zdejmij z patelni i przełóż na drewnianą deskę. Ułóż nadzienie na jednej połowie tortilli, pozostawiając około 3 cm wolnego miejsca od brzegów placka. Zwijanie rozpocznij od zawinięcia na farsz jednego brzegu (tego, który jest bliżej ciebie). Następnie złóż dwa prostopadłe brzegi do środka tak, by powstała koperta. Trzeba przy tym pamiętać, aby wykonać tę czynność wraz z „rolowaniem" placka, starając się również ugniatać palcami nadzienie. Kontynuuj zawijanie koperty, aż dojdziesz do samego końca tortilli. Przy tej czynności dociskaj również zagięte brzegi do środka, żeby nic nie wystawało po bokach rulonu. Tak przygotowane rulony ułóż na patelni do grillowania. Zapiekanie burrito rozpocznij od miejsca z łączeniem, wtedy ciasto się sklei i nie będzie się rozpadać.

CZAS	**45 min**
KOSZT	**20 zł**
PORCJE	**4**
STOPIEŃ TRUDNOŚCI	**średnio**

PLASTUSIOWY KOMENTARZ

Barbary Pieli

GAZETA POLSKA

TEKST I KONCEPT
HELENA TROJAŃSKA

BŁYSKAWICE NA ULICE!

GAZETA POLSKA

Oburzająca krzyżówka Piotra Lisiewicza

ILUSTRACJA TREVOR

Jak nazywa się najlepszy karabinek Wojsk Obrony Terytorialnej zaatakowany przez Niemców z Onetu? Kim jest syn komunistycznego prokuratora, który grał Podbipiętę herbu Zerwikaptur, a teraz wyrwał bez kolejki szczepionkę? A jakie nazwisko nosi syn zastępcy Kiszczaka, autor najgłupszej wypowiedzi w historii III RP – na temat Polaka w śpiączce? Kto zna odpowiedź na te pytania, może zabierać się do rozwiązywania dzisiejszej krzyżówki.

Nagrodą główną jest dziś monumentalny album Adama Bujaka „Tragedia Aleppo" wydawnictwa Biały Kruk. Ci z Państwa, którzy nie wygrają nagrody głównej, mogą zamówić książkę na stronie sklep.gazetapolska.pl lub telefonicznie pod nr 722 111 655.

Hasło krzyżówki sprzed tygodnia o powstaniu styczniowym to OBOK ORŁA ZNAK POGONI, nagrody przyznam za tydzień. Dziś wyróżnienia za krzyżówkę sprzed dwóch tygodni, tę z przepięknym hasłem ANI GROSZA OWSIAKOWI. Nagrody główne, czyli książki „Dla nas i całego świata", otrzymują Irena Kulesza z Sieradza i Grażyna Adamska z Wrocławia. Niespodzianki trafiają do Janina Firli z Leszna, Jacka Klima z Giżycka, Wiesława Dubaniowskiego z Wrocławia i Dariusza Krawczyńskiego z Gniezna.

Przypominam, że w naszej krzyżówce nagród nie losujemy. Rozwiązanie to hasło krzyżówki (tworzą je litery z kratek oznaczonych cyferkami w prawym dolnym rogu).Oprócz hasła podać trzeba OBOWIĄZKOWO propozycję haseł (wyrazów) do kolejnej krzyżówki wraz z opisem oraz Państwa adres. Ci z Państwa, którzy podadzą prawidłowe hasło krzyżówki i najciekawsze pomysły do krzyżówek kolejnych, mogą wygrać dwie nagrody główne i cztery niespodzianki. Nagrody można więc wygrywać wielokrotnie, decydują nadesłane pomysły. Koniecznie podawajcie nam Państwo swój adres, na który mamy wysłać upominki. Przypominam też, że rozwiązania krzyżówki dotrzeć muszą do nas do wtorku na e-mail krzyzowka@gazetapolska.tv.

Piotr **Lisiewicz**

Regulamin konkursu dostępny na stronie www.gazetapolska.pl

PODAJ HASŁO

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11

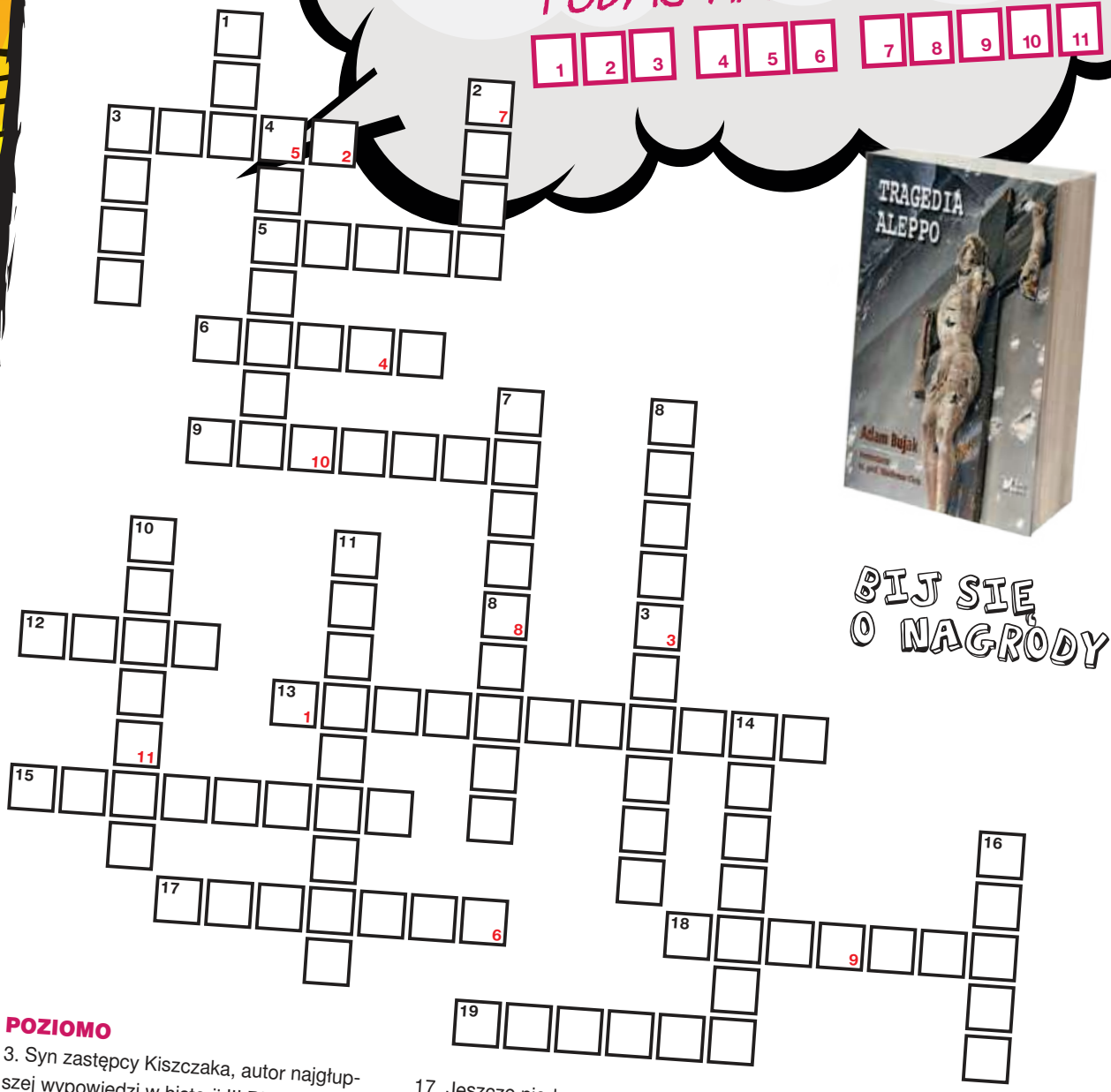

BIJ SIĘ O NAGRODY

POZIOMO

3. Syn zastępcy Kiszczaka, autor najgłupszej wypowiedzi w historii III RP – na temat Polaka w śpiączce
5. Pierwsza szansonistka Ciamajdanu, która poszła śpiewać Hołowni, by już nie płakał
6. Chytra baba z teatru
9. Państwo, w którym wymordowano 750 chrześcijan, a posłanka „polskiej" „lewicy" zapytała, po co się tam pchali
12. W czasie zimy stulecia mówiono: „Nam nie trzeba Bundeswehry, nam wystarczy minus cztery". A dziś i tyle nie trzeba, by one pękały w stolicy jedna za drugą
13. Nazwał nagłaśnianie afery reprywatyzacyjnej „graniem antysemicką kartą"
15. Miasto, w którym w 2011 roku dochodową sieć ciepłowniczą sprzedano Francuzom, żeby starczyło pieniędzy na Euro 2012
17. Jeszcze niedawno pracował jako kelner, a dziś jest ostoją reprezentacji skoczków narciarskich
18. Zapijaczony postrach autostrad, który co jakiś czas bluzga na PiS udając, że jeszcze ktoś z nim politycznie się spiera
19. W Polsce w kolejkę po szczepionki wcinają się celebryci i ubecy, a ten kraj robi to samo w skali Europy

PIONOWO

1. Partia, której rządy były, zdaniem Tuska, błogosławieństwem dla całej Europy
2. Najweselszy ze skoczków w polskiej reprezentacji
3. Najlepszy karabinek Wojsk Obrony Terytorialnej zaatakowany przez Niemców z Onetu
4. Opowiada, że robi rewolucję, a potem specjalizuje się w widowiskowych upadkach i płaczach
7. Jego udział w Powstaniu Warszawskim Stanisław Pigoń określił strzelaniem do wroga brylantami. Minęła 100. rocznica jego urodzin
8. Czerwona na tle czarnej głowy, symbolizuje zwarcie w mózgu
10. Były niemiecki kanclerz, a teraz pachołek Putina za grubą kasę
11. Syn komunistycznego prokuratora, który grał Podbipiętę herbu Zerwikaptur, a teraz wyrwał bez kolejki szczepionkę
14. Patriotyczny region Polski, który ma pecha, bo urodzili się tam Erika Steinbach i Donald Tusk
16. Płaczliwa ksywka Hołowni, która do niego przylgnęła po jego wzruszeniu nad postkomunistyczną konstytucją

Listy

OKŁADKA: TREVOR. FOT. PHOTOSHOT/PAP, COSTFOTO/PAP/EPA , ADOBE STOCK, YOU TUBE

Niebezpieczny strajk

Dlaczego zamykamy biznesy, ograniczamy działalność firm – skazując je na biznesową śmierć, każemy mandatami normalnych ludzi tęskniących za świeżym oddechem, a to coś [Strajk Kobiet – przyp. red.] nie dość, że nawołuje do anarchii, to jeszcze łamie wszystkie przepisy narzucone nam w czasie epidemii? Może nastał czas na rozwiązanie francuskie normowania demokracji?

Jj

„Święci" przed sądem

Mam wrażenie, że wymiar sprawiedliwości w Polsce to hinduiści – co raz to wpada im na wokandę święta krowa. Nie mogą skazać, bo religia im tego zabrania. Gangsterzy, Najsztuby, Durczoki, Gawłowscy... Gdybym trafił przed sąd w Polsce, to zadeklaruję, że czuję się świętą krową, i nic mi nie zrobią.

Obserwator z boku

Zakulisowe wsparcie

Teraz zdrajcy Polski nie dostają łapówek bezpośrednio, w gotówce, co wszyscy by od razu widzieli i potępili. Nie, teraz wszyscy zdrajcy są finansowani przez wszelkiego rodzaju lewackie partyjki, lewackie stowarzyszenia, lewackie fundacje, lewackie instytuty, lewackie media. A te z kolei finansowane są przez kilka dużych fundacji powołanych tu w Polsce przez obce siły. One są zasilane setkami milionów euro z zagranicy właśnie po to, by wspierały te różne lewackie mendy, lewackie organizacje, lewackich „naukowców", lewackich „artystów". Ta dzicz, dobrze opłacana, nie musi się martwić o to, co do garnka włożyć, że trzeba gdzieś pracować. Ona za srebrniki może całe życie nie pracować, demonstrować, w mediach pluć na Polskę, ma przecież za to sowicie opłacaną i nadzwyczajną kastę w sądach.

Ewka

Klub wzajemnej adoracji

Gdyby TVN zrobił program pt. „Jak oni kłamią", to mieliby niekończącą się listę swoich ulubieńców, którzy mogliby w tym programie występować.

Anonim

Liczą się ludzkie uczynki

Moja droga, ale niezbyt rozgarnięta Pani Prokop-Paczkowska – proszę mi wierzyć, że słowa dotyczące „Papcia Chmiela" (którego szanuję i na którego komiksach się wychowałem), aby „odszedł do Pana", są bardzo po myśli zmarłego. Życzę Pani rozumu i aby Pani kiedyś (w przyszłości oby jak najdalszej) „odeszła do Pana", a nie do Rogatego. A teraz pomódlmy się za duszę zmarłego „Papcia Chmiela", bo tego potrzebuje najbardziej, a nie waszej socjalistycznej poprawności. TAM, u „Pana", liczą się ludzkie uczynki i dobre myśli o zmarłym, jakie mamy my tu na ziemi. A idee Lenina... cóż, Lenin zgnił i tyle po nim zostało – pomijając was z SLD i socjalistycznej Europy. [...] Czas odsiewa plewy powoli, ale skutecznie. Zawsze skutecznie. [...]

s.a600

EPITAFIUM DLA „PAPCIA CHMIELA"

„Papciu", dziękuję Ci za wspaniały komiksowy świat Tytusa, Romka i A`tomka, czytany po szkole w latach 80. Działał jak antidotum na całą truciznę i szarzyznę oraz smutek tamtych lat. Dziękuję i spoczywaj w pokoju. Do zobaczenia.

Polak mały

Adres redakcji:
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa
Tel. (+48 22) 290-29-58
redakcja@gazetapolska.pl

redaktor naczelny Tomasz Sakiewicz, zastępcy redaktora naczelnego Katarzyna Gójska i Piotr Lisiewicz, sekretarz redakcji Martyna Hajdo-Trolińska (kier.), Małgorzata Wiankowska

kraj Piotr Lisiewicz (kier.), Dorota Kania, Piotr Nisztor, Grzegorz Wierzchołowski, Kaja Bogomilska, świat Maciej Kożuszek (kier.), kultura Sylwia Krasnodębska (kier.), Bohdan Urbankowski, Marcin Wolski, historia Tomasz Łysiak (kier.), gospodarka Maciej Pawlak (kier.), publicystyka Piotr Grochmalski, Joanna Lichocka, Grzegorz Wszołek, obrona narodowa Igor Szczęsnowicz (kier.), Konrad Wysocki, Jacek Liziniewicz (Środowisko), Jan Przemyłski (Technika), Iwona Balcerak (Kulinaria), Grzegorz Broński (Kryminalni), Ryszard Kapuściński (kluby), stali felietoniści Ryszard Czarnecki, Tadeusz P. Płużański, Jan Pospieszalski, Michał Rachoń, Jerzy Targalski, Tomasz P. Terlikowski, Piotr Wielgucki „Matka Kurka", Dawid Wildstein

projekt layoutu i logotypu Mariusz Troliński

nadzór graficzny i foto Mariusz Troliński (kier.), Krzysztof Lach-Kubica
DTP Paweł Chrzanowski, Aleksander Razcwarkow, Paweł Pawluszek, Maciej Kiełkucki

sekretariat redaktora naczelnego Anna Kazimierczuk
Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o., Wyszków

NAKŁAD KONTROLOWANY

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie zwraca niezamówionych materiałów.

Kontakt z czytelnikami, interwencje w godz. 9–13:
Anna Kazimierczuk, tel. 603 117 483;
Ewa Wójcik, tel. 505 942 224
e-mail: kontakt@gazetapolska.pl
WYDAWCA
Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o.o.
Kontakt z działem reklamy:
e-mail reklama@gazetapolska.pl,
tel. (+48) 603 117 134
Kontakt z działem promocji:
e-mail promocja@gazetapolska.pl,

GAZETA POLSKA
www.gazetapolska.pl

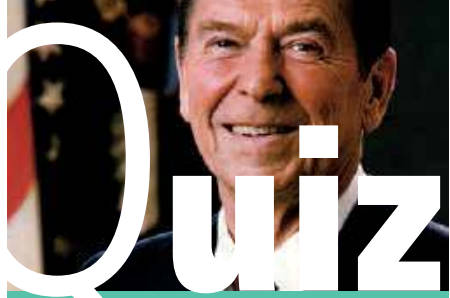

Quiz

GAZETA POLSKA

1. „Nie mam wątpliwości, że jestem przeszkodą w odbudowie państwa, w którym wszystko, co było najgorsze w III RP, miałoby powrócić w pełnej chwale" – mówił w 2008 roku w wywiadzie dla „GP" prezydent...

2. „Widzę to jasno na białym", „Dokonałem zwrotu o 360 stopni", „Miała być demokracja, a tu każdy wygaduje, co chce!" czy „To są ostatnie godziny naszych pięciu minut" – to złote myśli naszej byłej głowy państwa. Czyje?

3. Ten polski prezydent jeszcze jako poseł w kadencji 2001–2005 ustanowił rekord... najwyższych rachunków telefonicznych. Komentując sprawę, rzucił tylko: „Dzwonię wszędzie". O kim mowa?

4. Który amerykański prezydent jest autorem słów: „Nie pytajcie, co kraj może zrobić dla was; pytajcie, co wy możecie zrobić dla kraju"?

5. „Jak rozpoznać komunistę? Cóż, jest to ktoś, kto czyta Marksa i Lenina. A jak rozpoznać antykomunistę? To ktoś, kto rozumie Marksa i Lenina" – to słowa 40. prezydenta Stanów Zjednoczonych, czyli...

ODPOWIEDZI:
1. ...LECH KACZYŃSKI; 2. LECHA WAŁĘSY; 3. O BRONISŁAWIE KOMOROWSKIM; 4. J.F. KENNEDY; 5. ...RONALDA REAGANA

FOT. WIKIPEDIA

PRENUMERATA

Kontakt: prenumerata@swsmedia.pl
www.prenumerata.swsmedia.pl
Tel.: 605 900 002
Konto do wpłat: Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o.o.
konto: Bank PEKAO SA
Nr konta:
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelewy z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

Zamówienia książek na:
sklep.gazetapolska.pl
lub tel.: 722 111 655
Nr konta:
61 1240 6003 1111 0010 7516 5807

ZAPRASZAMY NA
www.prenumerata.swsmedia.pl

FELIETON

{ WRZUTKA }

Marcin **Wolski**

DYSTOPIA **NADCIĄGA**

Coraz częściej, gdy fantastyka sięga po opisywanie przyszłości, proponowany obraz nie jest utopią, lecz ponurą dystopią. Pesymistyczną wersją dziejów ludzkości i, co gorsze od utopii, bardziej prawdopodobna. Na jej tle ideał komunistyczny wydawał się radosny – tylko droga do niego usiana trupami – ale później nastąpić miał raj na Ziemi. Tyle że bez surowego Boga. Równość, dobrobyt, każdemu według potrzeb, wszystko wspólne – łącznie z żonami. Projekt potknął się o drobiazg – o naturę ludzką. Najpierw nie wyszło ze wspólnymi żonami, potem o swoje prawa upomniała się własność, Bóg nie dał się do końca zabić i cały marksizm diabli wzięli. Niestety, nie do końca. Jego późni wyznawcy dokonali transformacji i ze zdwojoną siłą zajęli się dewastacją natury ludzkiej. Na pierwszy ogień poszły prawa naturalne i równie naturalne instytucje. Podział płci, rodzina, tradycja, historia, religia. Wbrew pozorom, kiedy funkcjonuje dekalog, istnieją nieprzekraczalne tabu, a granica między dobrem a złem jest oczywista i nieprzekraczalna – łatwiej żyć. Zakwestionowanie uniwersalności życia otwiera bramę piekieł – kiedy zasada „nie zabijaj" może być interpretowana dowolnie, wnet okazuje się, że wykluczone z niej są nieurodzone dzieci, ciężko chorzy, z czasem zapewne starcy, kaleki, a może nawet ludzie nieprzystosowani społecznie, inaczej myślący... Zza landszaftu cywilizacji rozkoszy wyłania się koszmarny łagier, przed którym bledną pomysły Hitlera i Stalina. Nawet Orwell może okazać się przesadnym optymistą. Wyobraźmy sobie świat, który chcą zbudować dzisiejsi lewacy. Świat całkowitej samotności – bez wspólnot wiary, nienaruszalnej rodziny, twardych wartości, w którym oparcia nie zapewnią ani rodzice, ani dzieci. Świat bez wolności słowa, bez choćby pozornej demokracji – rządzić będą medialne korporacje i globalny kapitał. Najgorsze, że w odróżnieniu od komunistycznej utopi ta dystopia może się udać. Chyba że nie dopuszczą do niej Chińczycy i Arabowie!

Późni wyznawcy marksizmu dokonali transformacji i ze zdwojoną siłą zajęli się dewastacją natury ludzkiej.

FELIETON

{ MYŚLI NIENOWE }

Tomasz **Łysiak**

JERZMANOWSKI **I INNI**

Mija 200. rocznica śmierci człowieka-symbolu. 3 lutego 1821 roku zmarł szwoleżer Jan Kozietulski, uczestnik szarży pod Somosierrą z 30 listopada 1808 roku. O Kozietulskim i o samej bitwie wielokrotnie pisał mój Tata, wyjaśniając wiele mitów, które wokół narosły. Pierwszym z nich jest w ogóle sama bitwa, która – wraz z Kirchholmem, Wiedniem czy Rokitną – jest wpisana w kanon największych w dziejach dokonań polskiej kawalerii. W zbiorowej wyobraźni funkcjonuje więc „wąwóz" Somosierra, wyglądający jak na wizji ujętej na obrazie Suchodolskiego: skaliste zbocza, urwiska, skały, a pośród skał pędzący szwoleżerowie. Sytuacja była zgoła inna – wszystko odbywało się na bardziej wypłaszczonym terenie, zaś „wąwozem" w istocie była droga, na której stały cztery osławione baterie hiszpańskich dział. Tylko ową drogą dało się je szarżować, tymczasem dodatkowo zza okalających ją murków, do jeźdźców strzelała hiszpańska piechota. W szarży pod Somosierrą, owszem, wziął udział Kozietulski, lecz… padł pod nim koń, jeszcze przed pierwszą baterią. Dalej szarżę prowadzili Dziewanowski, a później Niegolewski. Jednak ponieważ to Kozietulski w chwili rozpoczęcia szarży dowodził szwadronem, toteż jemu przypadła chwała. Utrwaliła się ona też przez tytuł książki Mariana Brandysa, który brzmi „Kozietulski i inni". Słusznie pisał mój Tata, Waldemar Łysiak, iż powinna nosić tytuł „Dziewanowski i inni" albo „Jerzmanowski i inni". Ten ostatni to w ogóle postać wyjątkowa – związana z historią Szwadronu Elby, czyli oddziału polskich szwoleżerów, który w 1814 roku udał się wraz z Cesarzem na miejsce zesłania – niewielką wysepkę leżącą u wybrzeży Toskanii. Jerzmanowski wraz z kolegami bił się u boku Napoleona aż do Waterloo, dając świadectwo tego, iż słowa „honor" i „lojalność" są wpisane w kod genetyczny polskiego oficera i żołnierza.

Ponieważ to Kozietulski w chwili rozpoczęcia szarży dowodził szwadronem, toteż jemu przypadła chwała. Niesłusznie.

OKONIEM

Katarzyna
Gójska

FELIETON

ALBICLA.COM POSZERZA PRZESTRZEŃ WOLNOŚCI SŁOWA

Wolność słowa staje się dobrem deficytowym. Nawet miejsca, w których wymiana myśli i informacji postrzegana była jako nieskrępowana i nieobarczona narzucanym przez media kontekstem – czyli portale społecznościowe – stają się areną ostrej walki ideologicznej, na którą wpuszczana jest bezwzględna cenzura. To, co miało gwarantować swobodę, jest wypaczane i używane do ograniczania prawa do wypowiedzi. Rzecz jasna, wszystkie te represje dotykają wyłącznie tych osób lub środowisk, których poglądy stoją w kontrze do lewicowego kanonu jedynie słusznych prawd. Tych z kolei nie krępuje już nic: ani rozum, ani logika, ani zwyczajna przyzwoitość. Ta sytuacja wymaga od nas działania. Bierność będzie jedynie zachęcała propagandowy walec do coraz bardziej zdecydowanej jazdy. Dziś trzeba upominać się o każdy centymetr wolności, o każde medium, w którym nie obowiązuje dogmat nieomylności lewicowych aktywistów. Strefa Wolnego Słowa powiększyła się o kolejną platformę wolnej wymiany opinii. Portal albicla.com jest dedykowany wszystkim tym, którzy nie chcą swoją obecnością w innych mediach społecznościowych uwiarygodniać prowadzonych przez nie akcji cenzorskich. Jesteśmy, rzecz jasna, dopiero na początku drogi budowania zasięgu tego przedsięwzięcia, ale jego sukces w pierwszych dniach funkcjonowania pokazuje, jak duży ma potencjał. Oczywiście Albicla wymaga jeszcze wielu modernizacji, uruchomienia i usprawnienia funkcji, lecz ruszyła, jest i działa – będzie się rozwijać, wzmacniając wolność słowa. Ale potrzebuje ona nie tylko pracy informatyków, lecz także zaangażowania jej użytkowników – Państwa twórczości, aktywności i promowania jej wśród innych. Mamy bowiem prawdziwą szansę na stworzenie miejsca, w którym nikt nikogo nie będzie blokował za nazywanie aborcji zabijaniem bezbronnych dzieci, nikt nie będzie dyscyplinował za krytykę ideologii LGBT czy cytowanie Pisma Świętego. Miejsca, które będzie wolne od lewicowego szaleństwa i zakłamania. Już niebawem wystartuje również anglojęzyczna wersja albicla.com, bo w Europie nie ma medium społecznościowego dedykowanego użytkownikom o konserwatywnych poglądach. W Stanach Zjednoczonych takie przedsięwzięcia raczkują, na Starym Kontynencie Albicla będzie pierwsza. To stwarza ogromną szansę, tym bardziej że pierwsze dni działania nowego portalu społecznościowego pokazały, iż budzi on duże zainteresowanie wśród osób spoza Polski. Ale by ten projekt mógł być dalej rozwijany, konieczne jest wspieranie przez Państwa istniejących już mediów Strefy Wolnego Słowa – dziennika „Gazeta Polska Codziennie", tygodnika „Gazeta Polska", niniejszego miesięcznika, a także Telewizji Republika oraz portalu niezależna.pl. To dzięki tym mediom możemy iść dalej i budować Albiclę. **GP**

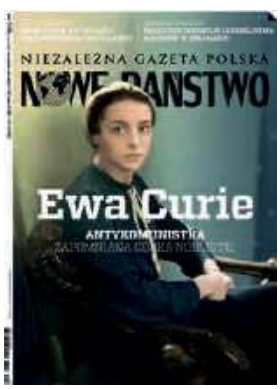

Tekst z najnowszego numeru miesięcznika „Nowe Państwo".
W sprzedaży od 4 lutego!

GAZETA POLSKA

Michał
Rachoń

Nie wiem, czy ostatecznie rozwiązany został problem, który przed paroma miesiącami nagłośniły „Wysokie Obcasy", mianowicie część środowisk żądających prawa do swobodnego zabijania dzieci w łonach matek obraziła się na organizację pani Lempart, że ta nazywa się „Ogólnopolski Strajk Kobiet".

ABORCJA PRAWEM DO ŻYCIA, A KRADZIEŻ PRAWEM WŁASNOŚCI

Zdaniem środowisk trans ta nazwa wyklucza osoby, które nie czują się kobietami, a mogą zachodzić w ciążę. Dlatego działaczka zaproponowała – zgodnie z modą, jaka kilka lat temu zaczęła się u bardziej postępowych środowisk lewicowych za granicami naszego niewystarczająco postępowego kraju – żeby organizację nazwać „Ogólnopolskim Strajkiem Osób z Macicami". Być może właśnie ta kwestia była powodem kilkumiesięcznego milczenia pani Lempart. Bo kiedy w minionym tygodniu Trybunał Konstytucyjny ogłosił uzasadnienie do swojego orzeczenia, a Lempart wróciła na ulicę, wśród wielu głębokich myśli wypowiedziała również tę, że aborcja dotyczy kobiet, ale nie tylko, bo również wszystkich innych osób, które jej potrzebują. Najwyraźniej w ciągu tych kilku miesięcy ciszy wokół czerwonych piorunów musiały odbywać się świetnie zakonspirowane warsztaty, w czasie których wykuwały się nowe zręby ideologicznych podstaw protestu. W ramach teoretycznych podstaw w trakcie manifestacji w Gdańsku wypowiedziała się pani, która sama o sobie mówi, że „jest profesorką i filolożką", a więc wytłumaczy nam wszystkim, co znaczy „wypie*dalać". W języku polskim oznacza to, że „wybory mają być natychmiast, a nie za trzy lata". Ideologiczny postęp strajkujących osób z macicami widać było świetnie również na manifestacji w Szczecinie. Tak osoba z macicą o wdzięcznym pseudonimie Pacyfka wyjaśniła, z jakiego powodu dzieci chore i niepełnosprawne należy zabijać jak najwcześniej. Z wypowiedzi o treści: „Ty szmato jedna, co tak się pięknie fotografujesz ze swoim niepełnosprawnym synem, którego pewnie z mężowskiej pensji jesteś w stanie utrzymać, powiedz, co zrobiłaś dla tysięcy niepełnosprawnych dzieci w Polsce. Nic nie zrobiłaś, więc wypie*dalaj" należy wnioskować, że niepełnosprawność dziecka jest zjawiskiem wykluczającym społecznie. To znaczy bycie rodzicem dziecka niepełnosprawnego wyklucza społecznie osoby z macicami, które chciałyby dokonać zabójstwa dziecka niepełnosprawnego i z tego powodu takie osoby powinny, jak powiedziała pani Pacyfka, oddalić się w szybkim tempie. Efektem pracy ideologicznej w ciągu ostatnich tygodni jest też nowa koncepcja, będąca rozwinięciem starej. Przypomnijmy. Zdaniem czerwonych piorunów, zabijanie dzieci jest jednym z podstawowych „praw człowieka", a konkretnie „praw kobiet" (oraz osób z macicami). Jednak z ostatnich treści dystrybuowanych w czasie manifestacji wynika, że najnowszy trend idzie dalej. Otóż aborcja jest, jak powiedziała jedna z uczestniczek, „podstawowym prawem do ochrony życia". Tym samym ruch czerwonych piorunów domagający się „aborcji na żądanie, kropka" przeszedł na pozycje pro life i tylko patrzeć, jak w ramach swoich protestów przejmie całość argumentacji dotychczasowych przeciwników, nie rezygnując przy tym oczywiście ze swojego głównego postulatu.

> Aborcja jest, jak powiedziała jedna z uczestniczek manifestacji czerwonych piorunów, „podstawowym prawem do ochrony życia".

Również sama Lempart zgodnie ze swoim wykształceniem – a jest przecież prawnikiem – postanowiła w ramach nowej fali manifestacji rozwinąć skostniałą doktrynę szeroko pojętej teorii państwa i prawa. Lempart zaproponowała nową wykładnię funkcji i znaczenia prawa w życiu publicznym, mówiąc, że „prawica i Kościół to kretyni", bo uważają, że jeśli zabroni się aborcji, to aborcja zniknie, a nie zniknie, bo w Polsce dokonuje się, jej zdaniem, 150 tysięcy aborcji. To, uważa Lempart, koronny dowód na to, że zakaz zabijania dzieci ze względu na własne widzimisię nie powinien obowiązywać. Bardzo ciekawe słowa. Jeżeli jednak ktoś wypowiadałby je serio, to musiałby być skrajnym kretynem. Kimś, kto nie zdaje sobie sprawy z tego, że w Polsce rocznie dokonuje się ponad 100 tysięcy kradzieży, a jednak nikt nie organizuje manifestacji w celu zalegalizowania złodziejstwa i nie krzyczy podczas protestów, że kradzież jest podstawowym prawem własności. **GP**

Zostań w domu i odwiedź **WYSTAWĘ ONLINE**

Od Zwierciadła Polskości po Laur Niepodległości

W wystawie wykorzystano materiały z albumu **„Zwierciadło polskości XIX stulecia”**. Publikacja ta w 2019 r. została wyróżniona nagrodą **FENIKSA**.

Zapraszamy od **20 stycznia** na **muzeum.niezalezna.pl**

Patronat honorowy:

Honorowy patronat Prezesa Rady Ministrów Mateusza Morawieckiego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

niepodległa

Partner strategiczny:

PGNiG

Mecenas:

PGE Fundacja